POLSKA PARKIEM NARODOWYM

MARSZ NIEPODLEGŁOŚCI NA MANOWCACH

KIEDY SPORT IGRA ZE ŚMIERCIĄ

Kraków 13 listopada 2022 nr 46 (3827) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

Tajemnica Adama Michnika

RELACJA: CONRAD FESTIVAL 2022

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

„UKOS ŚWIATŁA" na 20. WJFF!

Wyprodukowany przez Fundację Tygodnika Powszechnego film „UKOS ŚWIATŁA" w reżyserii Wojciecha Szumowskiego będzie filmem otwarcia dwudziestej, jubileuszowej edycji **Warszawskiego Festiwalu Filmów o Tematyce Żydowskiej „Kamera Dawida"**.

Zapraszamy na warszawską premierę filmu w **Muzeum Historii Żydów Polskich POLIN 14 listopada o godzinie 20:00**. Po projekcji odbędzie się spotkanie z bohaterem, reżyserem i producentem filmu.

15 listopada o godzinie 18:00 w ramach Festiwalu odbędzie się drugi pokaz filmu w warszawskim kinie **Kinogram**.

Bilety dostępne na **www.wjff.pl**

REKLAMA // FOT. JACEK TARAN

KS. ADAM

Boniecki: *Święto narodowe*

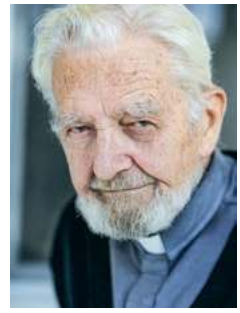

Niepodległość po 123 latach zaborów. To było coś niezwykłego, wymarzonego, dla wielu niespodziewanego. 11 listopada jako ustawowe święto państwowe obchodzony był jednak w II Rzeczypospolitej tylko dwa razy, w latach 1937 i 1938. Potem była wojna. W Polsce Ludowej ten dzień przestał być świętem narodowym – aż do przywrócenia mu, w 1989 r., tego charakteru. No i od tej pory znów mamy Święto Niepodległości 11 listopada.

Piękne jest to, że u swoich początków Święto nie było zdominowane przez wspomnienie utraty statusu niezależnego państwa i wspomnienie tych, którzy do tego doprowadzili lub wprost się do tego przyczynili. Radość z odzyskania statusu własnej państwowości była stanem dominującym i punktem odniesienia. Myślę, że nad podobnym stanem ducha powinniśmy pracować dzisiaj.

Ale im dalej od jego początków, tym silniej odzywały się straszliwe spory o święto. Odzyskany status niezależnego państwa stawał się źródłem kontrowersji, licytacją realnych zasług – co można ostatecznie zrozumieć i wybaczyć – ale też agresywnej mitomanii, wyniszczającej oraz prowadzącej do wielkich strat energii. Jak to w tępej walce o władzę dla władzy.

Święto narodowe w roku 2022 obchodzimy w cieniu niebywałej inflacji i – co znacznie gorsze – w cieniu wojny toczącej się tuż za naszymi granicami. Nasz wpływ na jedno i drugie zjawisko jest znikomy. Inflacja sprawia, że nasze konsumenckie nawyki, ledwie i bynajmniej nie powszechnie nabyte, będą musiały wyhamować. Takie doświadczenia już mieliśmy. Wychodziliśmy z nich nawet mentalnie zdrowsi i odrobinę mądrzejsi. Tak może być i tym razem. Oczywiście, nie zajmuję się tutaj ekonomicznymi kompetencjami rządzących ani wyobraźnią prezesa NBP.

Co innego wojna. Mnóstwo przewidywań upoważnia do konkluzji, że po prostu nie wiadomo, jaki będzie jej finał. Polskie zaangażowanie w pomoc Ukrainie jest na tyle duże, że nie sposób nie myśleć o konsekwencjach, jakie obmyśla dla nas strona, której nie wspieramy. Żyjemy niby normalnie, ale przecież każdy dzień upływa nam w wielkim cieniu. Jedni modlą się o sprawiedliwy pokój, inni chcą się do niego przyczynić i się angażują, jeszcze inni wreszcie chcą żyć tak, jakby nic się nie działo – ale tak się nie da. Wojna się toczy i prawdę o niej – jak to z wojną bywa – dopiero poznamy. ©℗

29 Inne życie
ANNA GOC
Mówi się, że głusi żyją w świecie ciszy. Tyle że świat jest jeden.

44 Gdyby nie Polacy
FILIP RUDNIK ZE LWOWA
Prócz wsparcia od polskiego rządu, ukraińskiej armii pomaga polskie społeczeństwo. Choć nie tak spektakularna jak czołgi, pomoc ta jest kluczowa dla walczących – tak mówią Ukraińcy.

70 Najlepszy spektakl świata
ROZMOWA Z ANNĄ JADOWSKĄ, REŻYSERKĄ:
Starsza kobieta w filmie to trudny bohater, dlatego wkłada się ją zwykle w nawias humoru. Nie wolno jej być mędrcem, tylko wiedźmą. Ma budzić strach albo śmiech.

41 Dziewczyna z Watykanu
EDWARD AUGUSTYN
Historię Emanueli Orlandi znamy od dawna. Serial Netfliksa porządkuje dotychczasową wiedzę i sugeruje, że rozwiązanie zagadki jej zaginięcia znajduje się za murami watykańskiego państwa.

56 Zagadka pierwszego człowieka
ŁUKASZ KWIATEK
Odkrycie skamieniałości pitekantropa pod koniec XIX w. miało być przełomem w wyjaśnianiu historii ludzkości. Okazuje się ona jednak bardziej zagmatwana, niż ktokolwiek mógł sądzić.

86 Łamanie skrzydeł
MAREK RABIJ
Mityczny Ikar nieprzypadkowo spada do morza jedynie na oczach ojca. W porażce zawsze jesteśmy sami. O ile sponsorzy nie zadecydują, że ma być inaczej.

ARCHIWUM PRYWATNE WERONIKI PAWELEC // FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES // WIKIPEDIA.ORG // GETTY IMAGES // WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER // ARCHIWUM PRYWATNE SERHIJA BONDARUKA

6 Trzy marzenia
AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

83 Tygodnik czytelników

KRAJ

20 Tajemnica Michnika
MICHAŁ OKOŃSKI: *Wśród kojarzonych z naszą niepodległością figur trudno znaleźć bardziej polską*

27 Fałszywa alternatywa
STEFAN SĘKOWSKI: *Rządzący, bagatelizując wzrost cen, skazują nas na przeciągającą się stagnację gospodarczą i narastające bezrobocie*

29 Inne życie
ANNA GOC

WIARA

34 Marsz przez manowce
TOMASZ P. TERLIKOWSKI: *U fundamentów myślenia organizatorów marszu narodowców leżą poglądy nie do pogodzenia z chrześcijaństwem*

38 Dziura w tożsamości
ROZMOWA Z S. KATARZYNĄ KOWALSKĄ NDS *o zaangażowaniu kobiet w dialog międzyreligijny*

41 Dziewczyna z Watykanu
EDWARD AUGUSTYN

ŚWIAT

44 Gdyby nie Polacy
FILIP RUDNIK ZE LWOWA

48 Pościel, co ratuje życie
WOJCIECH PIĘCIAK Z UKRAINY: *1300 kilometrów: taką drogę pokona na front w Bachmucie siatka maskująca*

ADAM ŁAWNIK / EAST NEWS

TEMAT TYGODNIKA

12 Natura narodu
ADAM ROBIŃSKI:
Państwo polskie nie umie i nie chce powoływać parków narodowych. Czego od nich chcemy? Dlaczego się ich boimy? Czego o nich nie wiemy?

16 Przejdziem Wisłę
ROZMOWA Z JANEM MENCWELEM, AKTYWISTĄ:
Jako naród zgadzamy się, że dzika Wisła jest ogromną wartością. Ale to bardzo krucha gwarancja, bo jednocześnie zwątpiliśmy w piękną ideę parku narodowego. A nic innego tej rzeki nie obroni.

DODATEK

67 CONRAD FESTIVAL 2022: RELACJA

FELIETONY

32 TOMASZ STAWISZYŃSKI **43** ZUZANNA RADZIK
84 OLGA DRENDA **85** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ
90 BARTOSZ MINKIEWICZ

NA OKŁADCE: ADAM MICHNIK
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Redaktor prowadzący: MACIEJ MÜLLER

50 Powolny zmierzch putinizmu
ANNA ŁABUSZEWSKA: *Jak zmienia się polityczny krajobraz Rosji po ośmiu miesiącach kampanii, która miała trwać kilka dni?*

53 Albańscy łącznicy
MARCIN ŻYŁA *o przemytnikach migrantów przez La Manche*

54 Od pucybuta do głowy państwa
DOMA MATEJKO: *Kim jest nowy-stary prezydent Brazylii Lula da Silva?*

HISTORIA

56 Zagadka pierwszego człowieka
ŁUKASZ KWIATEK

NAUKA

60 Czy ruch istnieje
MARTA BIELIŃSKA: *W świecie kwantów dzieją się rzeczy, które śniły się filozofom*

64 Splątane piękno
ROZMOWA Z FRANKIEM WILCZKIEM, FIZYKIEM, *o tym, jak działa materia*

KULTURA

70 Najlepszy spektakl świata
ROZMOWA Z ANNĄ JADOWSKĄ

74 Pomyślny upał
JAN MARIA KŁOCZOWSKI Z RZYMU: *Van Gogh malował od świtu do nocy, pomimo ataków choroby, o której do dzisiaj nie wiemy nic, choć napisano o niej tysiące książek*

77 Arcydzielny minimalizm Hanny K.
TOMASZ FIAŁKOWSKI: *W tej książce jest i przeszłość, i współczesność, i polityka, i sprawy publiczne, ale zawsze ujrzane przez pryzmat czyjejś historii i czyjejś pamięci*

80 Szafa gra
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Rimini" Ulricha Seidla*

ZMYSŁY

86 Łamanie skrzydeł
MAREK RABIJ

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Co obejrzeć w weekend
Jeśli w filmie pojawia się plac zabaw lub szkolne podwórko, z góry wiadomo, że nie będzie zabawnie – **ANITA PIOTROWSKA** poleca filmy i seriale na VOD | **TygodnikPowszechny.pl/weekend**

Strona świata
Jeszcze nie tak dawno Uganda uchodziła za oazę wolności i porządku w sercu Afryki – o tym, jak kraj zamienia się w satrapię, pisze **WOJCIECH JAGIELSKI** | **TygodnikPowszechny.pl/stronaswiata**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ▪ /TYGODNIK ▪ /TYGODNIK ▪ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

TRZY MARZENIA

Program budowy elektrowni jądrowych ruszył w zeszłym tygodniu z kopyta. I od razu stanął na głowie, choć pierwszy reaktor ma stanąć w Polsce za 11 lat.

AGATA KAŹMIERSKA, MICHAŁ GIKOWSKI

Reaktor ciśnieniowy trzeciej generacji w elektrowni we Flamanville w Normandii. Francja, 14 czerwca 2022 r.

Dopracowywane od lat rządowe plany strategiczne zakładały, że powstaną u nas dwie elektrownie atomowe. Pierwszym krokiem miało być stworzenie modelu ich sfinansowania, a dopiero później wybór firmy, która je wybuduje. W zeszłym tygodniu strategie niespodziewanie trafiły do kosza. Rząd wybrał amerykańską technologię Westinghouse AP1000, ale tylko do budowy jednej elektrowni. W sprawie drugiej decyzja ma zapaść później. Jeśli idzie o finansowanie, czyli krok pierwszy, to – jak stwierdził premier – „jest kolejka chętnych", ale sprawa jest „nie na dziś, ani nie na jutro, lecz raczej na pojutrze". Tymczasem wicepremier Jacek Sasin podpisał w Seulu list intencyjny w sprawie trzeciej elektrowni, dotąd nieuwzględnianej, którą budować ma konsorcjum składające się z Korea Hydro&Nuclear Power, Polskiej Grupy Energetycznej oraz ZE PAK Zygmunta Solorza.

Jedynym punktem wcześniejszego planu, którego rząd się trzyma, jest deklaracja, że prąd z polskiego atomu popłynie w 2033 r. Tyle że to akurat jest najmniej prawdopodobne – budowa większości z powstających dziś na świecie 56 nowych reaktorów jądrowych notuje opóźnienia. Zwykle, w miarę dojrzewania technologii i zdobywania doświadczenia, projekty wprowadza się szybciej, a ich koszty spadają. Ale nie w przypadku energetyki atomowej, bo tu na-

stąpiło załamanie krzywej uczenia się, a nakłady rosną.

– Projekty jądrowe stają się coraz bardziej skomplikowane, powodując opóźnienia i wyższe koszty – twierdzi dr Joana Portugal Pereira z Centre for Environmental Policy w Imperial College London, główna autorka badania „Better late than never, but never late is better". Doskonałym przykładem może być flagowa elektrownia nowej generacji Flamanville francuskiego giganta energetycznego EDF, która miała ruszyć przed dekadą, ale nie zostanie załadowana paliwem do połowy przyszłego roku, a prognozowane koszty już wzrosły do 12,7 mld euro, czyli są cztery razy wyższe, niż zakładano. Podobnie Hinkley Point C, która miała ruszyć w Anglii w 2017 r., ale już ma 10 lat opóźnienia i będzie droższa niż planowano o 3,7 mld dolarów.

Westinghouse, wybrany do budowy naszej pierwszej elektrowni atomowej, ma na koncie nawet ogłoszenie bankructwa w związku z serią uchybień związanych z projektem w Karolinie Południowej. Do ośmioletnich opóźnień, spowodowanych wspomnianym bankructwem, doszło też w elektrowni Vogtle, gdzie koszty uruchomienia dwóch reaktorów AP1000 wzrosły dwukrotnie, do 30 mld dolarów. W naszej elektrowni reaktory mają być trzy, a premier wstępnie szacuje, że budowa będzie kosztować 20 mld dolarów.

Na horyzoncie energetyki jądrowej jest jeszcze jedna, być może największa rafa – zasoby. Od 2015 r. wydobycie uranu spadło o jedną trzecią, do 50 tys. ton rocznie. A ponieważ same tylko Chiny planują budowę 150 reaktorów, producenci, licząc na rekordowe zyski, wracają do kopalń, które dotąd uważali za nieopłacalne. Kolejka klientów będzie więc długa. Sytuację dodatkowo komplikuje wojna w Ukrainie, bo choć udział Rosji w światowym wydobyciu wynosi zaledwie 7 proc., to zarazem spółki powiązane z Rosatomem odpowiadają za ponad jedną trzecią wzbogacania uranu niezbędnego do elektrowni.

Nie wiadomo, jak rząd zamierza nas przed tym kolejnym uzależnieniem od Rosji zabezpieczyć. Mamy wprawdzie własne uranowe rudy, ale ich wydobycia dotąd nie uznawano za opłacalne i takich planów w naszej strategii, niestety, również nie ma. ©

KPO w uścisku toksycznego związku

MAREK KĘSKRAWIEC

Liczba sprzecznych komunikatów, jakimi rząd i PiS zalewają Polaków w sprawie pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy, każe wątpić, czy nasze władze posiadają strategię opartą na czymś solidniejszym niż emocje. Raz główną narracją są krzykliwe plakaty z przechwałkami o setkach miliardów zdobytych w Brukseli przez ekipę Morawieckiego, kiedy indziej lekceważące opinie, przedstawiające KPO jako drobniaki, zmieniające się czasem niemal w judaszowe srebrniki, za które mamy oddać suwerenność. Teraz w grze są kolejne opowieści: Mateusz Morawiecki zapowiada rychły wniosek o wypłatę pieniędzy, Jarosław Kaczyński zaś tłumaczy opóźnienia działaniami opozycji, szczującej w Brukseli na własny kraj. Jakkolwiek dziecinnie brzmiałoby to ciągłe zrzucanie na innych winy za własne błędy, odnotowania warty jest wysyp sygnałów, wedle których KPO to jednak nie jest „margines" środków potrzebnych Polsce do dalszego rozwoju.

Wygląda na to, że na szczytach władzy dokonano szczegółowych wyliczeń i rachunek się nie zgodził. W sytuacji, w której kolejne sondaże dokumentują trwały kryzys PiS, a do działaczy zaczyna docierać, że utrzymanie większości w przyszłorocznych wyborach jest bardzo niepewne – środki z KPO mogą się okazać może nie ostatnią deską ratunku, ale nadzieją na przetrwanie środowiska, które obsadziło tysiące posad w urzędach i spółkach Skarbu Państwa. A zarazem wielką ulgą dla społeczeństwa w obliczu kryzysu i rosnących kosztów energii, perspektywy kolejnej fali uchodźców z pozbawionej infrastruktury krytycznej Ukrainy oraz braku funduszy na kolejne tarcze antyinflacyjne. W tym kontekście to dobrze, że władze zaczęły uważać KPO za niezbędną kroplówkę, mogącą znacznie złagodzić skutki kryzysu, uratować inwestycje publiczne i pomóc załatać dziurę w dochodach z podatków po obniżeniu głównego progu.

Warunki, jakie stawia nam Unia, nie są zaporowe. Sprowadzają się do przedstawienia dowodów na załatwienie spraw sędziów dotkniętych szykanami ze strony zlikwidowanej Izby Dyscyplinarnej SN oraz zatrzymania reformy spłaszczającej strukturę sądów (dawałaby Zbigniewowi Ziobrze możliwość decydowania o wielu stanowiskach). Tak mało i zarazem tak dużo. Zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę, że bez szabel Solidarnej Polski PiS nie zachowa władzy.

Z tego powodu znowu słychać doniesienia o konieczności rozwiązania konfliktu na linii Morawiecki–Ziobro tak, by ten ostatni zgodził się na warunki ustalone przy zatwierdzaniu KPO. Problem w tym, że doniesienia z kilku ostatnich dni pokazują, iż relacje między premierem a ministrem sprawiedliwości w jego własnym rządzie stały się niemal patologiczne. Z kolejnych „dworczykowych" maili możemy dowiedzieć się, że Morawiecki najchętniej nasłałby na Ziobrę i jego partię prokuraturę; z innych źródeł wiadomo, że szef SP zbiera haki na Morawieckiego, sięgające czasów jego pracy w BZ WBK. Wiele wskazuje na to, że fundusze z KPO są możliwe tylko po zaspokojeniu choć części ambicji Ziobry lub rozstaniu się z nim. Inaczej znowu usłyszymy o „drobniakach". ©℗

Mateusz Morawiecki z wizytą w firmie „Alania" zajmującej się wyrobami cukierniczo-piekarniczymi. Kuligów, 7 listopada 2022 r.

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

SAMEER AL-DOUMY / AFP / EAST NEWS

Dzieciom grozi otyłość, nadciśnienie i depresja

MACIEJ MÜLLER

Częściej po chipsy sięgał w pierwszym roku pandemii co czwarty uczeń drugiej klasy, po słodycze – prawie co piąty. Dzieci zaczęły też zdaniem rodziców spędzać przed ekranem więcej czasu w ciągu tygodnia (44 proc.) i w weekendy (34 proc.). Że dziecko poświęca mniej czasu na ruch i zabawę z rówieśnikami, zauważyło 37 proc. z nich.

Niepokojące wskaźniki rosną jednak od dawna. Odsetek dzieci z nadwagą i otyłością wzrósł od 2018 r. o 3 pkt. proc. (do 35,3 proc.). Co czwarty chłopiec i co piąta dziewczynka ma nieprawidłowy wskaźnik obwodu talii. U prawie co czwartego dziecka zaobserwowano podwyższone ciśnienie krwi. Zarazem tylko połowa rodziców ocenia stan emocjonalny swych dzieci jako bardzo dobry. U 8 proc. dziewcząt i 6 proc. chłopców stwierdzono objawy mogące świadczyć o depresji.

To wyniki ubiegłorocznych badań Instytutu Matki i Dziecka w ponad stu szkołach z 16 województw (zbadano ponad 2 tys. ośmiolatków i ich rodziców). Minister Adam Niedzielski zapewnił, że o problemie rozmawiał już z premierem i wkrótce ruszą prace nad międzyresortowym planem naprawczym; założenia mamy poznać w lutym. Zanim przyjdą efekty, warto wziąć do serca jedną z rekomendacji raportu: postawy zdrowotne w dużej mierze kształtują się w rodzinie. Zdrowiu fizycznemu i psychicznemu dzieci dobrze zrobi choćby wspólne spożywanie posiłków i rozmowa przy stole. ©℗

Lex Czarnek jak bumerang

SEJM przyjął nowelizację ustawy o prawie oświatowym, którą w marcu zawetował prezydent, uzasadniając, że „w nieprawidłowy sposób kształtuje nadrzędną rolę kuratora względem roli rodziców". Uznał też, że ze względu na dzieci ukraińskich uchodźców nie jest to dobry czas na zmiany.

Nowelizacja wróciła jako projekt poselski, co pozwoliło pominąć konsultacje społeczne. Równolegle procedowano projekt Andrzeja Dudy, ale w przyjętych przepisach nie uwzględniono jego propozycji, m.in. tej o referendach, w których rodzice decydowaliby o zajęciach pozalekcyjnych. Nie uwzględniono również postulatów protestujących rodziców i nauczycieli.

Posłowie PiS przekonują, że nowelizacja ma zwiększyć wpływ rodziców na treści przekazywane w szkołach przez organizacje pozarządowe. Trudno jednak nie dostrzec sprzeczności tych słów z ustawą. Według przepisów ostateczna zgoda ma zależeć od kuratora, a procedura jej przyznawania rozciąga się na kilka miesięcy.

©℗ JACEK TARAN

KRAJ W SKRÓCIE

SZYJA

Aniśmy się obejrzeli, a niniejsza rubryka zmieniła się w kronikę wypraw Jarosława Kaczyńskiego po Polsce. Tym razem, podczas spotkania w Ełku, prezes PiS wypowiedział się na temat płodności polskich kobiet: „Jeżeli się utrzyma taki stan, że do 25. roku życia dziewczęta, młode kobiety, piją tyle samo, co ich rówieśnicy, to dzieci nie będzie" – orzekł, zagłębiając się następnie w dywagacje na temat łatwości popadania w alkoholizm (mężczyźni – rzekomo – 20 lat, kobiety – 2 lata) i sięgając po kolokwialne zwroty typu „dawanie w szyję".

PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

NOGA

Wśród innych tematów refleksji prezesa był zbliżający się mundial w Katarze – szanse reprezentacji na medal, klasa Lewandowskiego i fantazja o takiej Polsce, w której napastnik Barcelony grałby „w Legii Warszawa na przykład". O trzeźwości mówcy świadczyła uwaga: „No, ale na razie takiej Polski nie mamy, chociaż musimy do tego dążyć także i w tej dziedzinie".

RĘKA

Im więcej Kaczyński podróżuje, tym gorsze sondaże PiS: wedle ostatniego badania IBRiS dla „Rzeczpospolitej" partia rządząca otrzymałaby wprawdzie 33,7 proc. głosów, ale ugrupowania opozycyjne uzyskałyby nad nią miażdżącą przewagę (KO – 27,6 proc., Polska 2050 – 10,9 proc., Lewica – 10,1 proc., PSL – 5,7 proc.).

MICHAŁ DĄBROWSKI, DYREKTOR TOZ:

Więcej interwencji

ANNA GOC: Dwa lata więzienia, dziesięć lat zakazu posiadania zwierząt i nawiązka finansowa dla schroniska dla zwierząt – to wyrok dla 32-latka, który zagłodził psa. Czy jest on przełomowy?

MICHAŁ DĄBROWSKI: Na pewno jest jednym z wyższych, choć zwiększanie kar dla sprawców przestępstw wobec zwierząt to proces, który obserwujemy od ponad dwudziestu lat.

Liczba zgłoszeń też rośnie?

Z roku na rok dostajemy ich coraz więcej. Wciąż dla niektórych zgłoszenie, że sąsiad źle traktuje psa, jest nie do pomyślenia. Zwiększa się jednak świadomość, że interwencja w takiej sytuacji jest czynem obywatelskim.

Tylko w ubiegłym roku otrzymaliśmy 34 tys. zgłoszeń.

Wydaje się, że to dużo.

Spora część z nich nie skończyła się odebraniem zwierzęcia. Właściciele często nie tyle robią krzywdę zwierzęciu, co nie radzą sobie z zapewnieniem mu opieki. W czasie pandemii masowo adoptowaliśmy zwierzęta. *Lockdown* się skończył, a przyzwyczajone do naszej obecności zwierzęta zachowywały się tak, że budziły czujność sąsiadów. Jeśli jednak widzimy psa, który zamiast 35 kg waży 17, nie mamy wątpliwości, że zwierzę trzeba odebrać.

Jak duża część spraw dotyczy zwierząt gospodarskich?

Około 17 proc. wszystkich zgłoszeń. Bywa, że zwierzę nie jest w najlepszej formie, bo jego właściciela coraz mniej stać na zapewnienie mu najpotrzebniejszych rzeczy, nawet jedzenia. Wtedy też staramy się pomóc.

Takich przypadków – w związku z rosnącymi cenami – jest coraz więcej. ©℗

ARCHIWUM PRYWATNE

MICHAŁ DĄBROWSKI *jest dyrektorem zarządzającym Zarządu Głównego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami w Polsce.*

WIN MCNAMEE / GETTY IMAGES

NOWY UKŁAD SIŁ W USA? Pierwsze za kadencji danego prezydenta wybory do Kongresu rzadko mu sprzyjają. Także tym razem: Joe Biden, dotąd dysponujący w parlamencie federalnym niewielką przewagą Partii Demokratycznej, może ją stracić, co znacznie utrudni mu prowadzenie polityki. Przed zaplanowanym na 8 listopada głosowaniem spekulowano też, że Donald Trump (na zdjęciu: na lotnisku w Latrobe w Pensylwanii, trzy dni przed głosowaniem) może wykorzystać te wybory do ogłoszenia zamiaru swojego powrotu do Białego Domu za dwa lata. O wyborach w USA piszemy na bieżąco na naszej stronie internetowej. ©℗ ŻYM

Chleb i igrzyska: początek rządu Meloni

PAWEŁ BRAVO

Europa żyje w tożsamościach swoich narodów" – tak Giorgia Meloni, nowa włoska premier (nie życzy sobie, by używać wobec niej feminatywów), wpisała się w księdze gości Parlamentu Europejskiego, gdy wkrótce po objęciu urzędu złożyła wizytę w Brukseli.

Ten wpis dobrze oddaje delikatną równowagę między integracją a podkreślaniem suwerenności, jaką Meloni stara się zbudować w relacjach z Brukselą, na razie sceptycznie do niej nastawioną. Sceptycznie, bo w wypowiedziach Meloni nie brakowało dotąd pogróżek wobec unijnej biurokracji – choć postulat wyjścia ze strefy euro, głoszony przez nią w 2014 r., wszyscy traktują jako nieistotny dziś błąd młodości (podobnie jak czarne koszule i rzymskie saluty niektórych nowych podsekretarzy stanu, uwiecznione na zdjęciach z imprez studenckich). Meloni musi szybko zaspokoić przynajmniej część oczekiwań dotyczących wsparcia rodzin i firm w kryzysie energetycznym. A żeby móc się więcej zadłużyć na ten cel, potrzebuje zaufania rynków. Stąd rzeczowy ton spotkań w Brukseli, wybranej symbolicznie na cel pierwszej zagranicznej wizyty.

Choć więc chleb wymaga ugodowej postawy i kontynuacji większości polityk poprzedniego rządu (tak krytykowanego), tym bardziej nowa ekipa próbuje zyskać w igrzyskach. Jednym z pierwszych posunięć był projekt przepisów o zwalczaniu całonocnych muzycznych *rave parties*, organizowanych na dziko w wielu miastach. Ale zaspokojenie tęsknot elektoratu za ładem i porządkiem okazało się nieproste – nowe prawo sformułowano tak niechlujnie, że mogłoby objąć prawie każdą formę zgromadzenia. Teraz rząd kombinuje poprawki.

Drugim obszarem twardości na pokaz stała się imigracja przez Morze Śródziemne. Przez ponad tydzień rząd nie zgadzał się na zacumowanie dwóch statków organizacji pomocowych z wyłowionymi z morza uciekinierami z Afryki (*via* nieludzkie obozy przejściowe w Libii). W końcu częściowo uległ: pozwolono zejść na ląd kobietom i dzieciom; co do reszty Rzym uważa, iż przyjąć powinny ich kraje, w których zarejestrowano statki. Podobne działania utrudniające (na granicy prawa) działania na morzu podejmował w 2018 r. ówczesny minister Matteo Salvini, szef partii Liga, dziś mniejszościowego partnera koalicji. Jeśli historia miałaby się powtórzyć, pat w tej sprawie może trwać przez całą kadencję. ©℗

Triumfalny powrót Bibiego

ZALEDWIE TRZY DNI po opublikowaniu ostatecznych wyników wyborów w Izraelu Beniamin Netanjahu – dawny i przyszły premier (na zdjęciu z żoną) – prowadził już nieoficjalne rozmowy w sprawie kluczowych pozycji w nowym rządzie. Parlamentarną większość jego partia Likud, która uzyskała najlepszy wynik, zbuduje z prawicowymi, religijnymi i nacjonalistycznymi ugrupowaniami: Szas i Zjednoczonym Judaizmem Tory (zasiadały już wcześniej w Knesecie), a także z największym wygranym tych wyborów, bo trzecim ugrupowaniem pod względem liczby głosów – Religijną Partią Syjonistyczną Becalela Smotricza i wchodzącą w jej skład Żydowską Siłą Itamara Ben Gwira. Ten ostatni budzi najwięcej kontrowersji: radykalny polityk, wcześniej aktywista i adwokat Żydów oskarżanych o terroryzm, sam kilkadziesiąt razy stawał wobec aktów oskarżenia, a raz został skazany za podżeganie do nienawiści. Teraz Gwir deklaruje, że będzie się ubiegać o funkcję ministra bezpieczeństwa wewnętrznego.

Klęskę poniosła lewica, której członkowie oskarżają się teraz wzajemnie o to fiasko oraz o uśmiercenie jednej z lewicowych formacji – partia Merec, wyrosła z tradycji słynnej robotniczej Mapam, założonej w 1948 r., po raz pierwszy w swej historii nie wejdzie do Knesetu. Tym samym nowy rząd będzie najbardziej prawicowym w historii Izraela.

Znamienne, że gdy Netanjahu (ksywa Bibi) zaczynał rozmowy, Izrael upamiętniał 27. rocznicę zabójstwa premiera Icchaka Rabina. Został on zamordowany przez ultraprawicowego studenta Igala Amira na fali nienawiści, która wezbrała wobec niego w środowiskach prawicowych, gdy po podpisaniu Porozumień z Oslo kontynuował proces pokojowy. Stał się izraelskim symbolem marzeń o pokoju, a szczególną czcią otacza się go na lewicy. Jednym z uczestników ówczesnych wystąpień przeciw Rabinowi był Netanjahu. Becalel Smotricz, lider Religijnej Partii Syjonistycznej, w swoim przemówieniu winą za śmierć Rabina obarczył... służbę Szin Bet.

Ruszyła machina przepisywania historii, a stare wojny odżyły w nowej odsłonie.

© KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z Izraela

RONALDO SCHEMIDT / / AFP / EAST NEWS

Nie wystarczy przeczekać

ARTUR SPORNIAK

Średnio 20 proc. katolików było w niedzielę 9 października w kościele w diecezji bydgoskiej podczas corocznego liczenia wiernych – ujawnił bp Krzysztof Włodarczyk. Spadki są duże – w 2019 r. frekwencja w diecezji wynosiła 33,5 proc. Na oficjalne statystyki z całej Polski musimy poczekać do przyszłego roku.

„To efekt pandemii. Wielu wiernych nie wróciło. Nawet część ministrantów już nie wróciła – mówił biskup bydgoski „Gazecie Wyborczej". – Próbujemy zrozumieć, gdzie jest przyczyna. Ale nie chcemy biadolić, tylko wyjść naprzeciw. Tu potrzeba ewangelizacji, zaangażowania świeckich. Bo my sami nie dotrzemy do tych osób".

Sygnały z innych miejsc potwierdzają frekwencyjny kryzys. O. Marcin Mogielski w homilii głoszonej w dominikańskim kościele we Wrocławiu w ostatnią niedzielę przyznał, że do tej popularnej świątyni przychodzi o połowę mniej wiernych. Potwierdza to przeor o. Andrzej Kuśmierski: – Przed pandemią w niedzielę pojawiało się średnio 4 tys. ludzi. Podczas tegorocznego liczenia przyszło 2150. Jeszcze gorzej jest w niektórych parafiach – w jednej z większych, bo 25-tysięcznej, chodzi 1300 osób. Ale to specyfika Wrocławia, mamy najniższą w kraju średnią uczęszczania na lekcje religii w szkołach ponadpodstawowych, wynoszącą zaledwie 18 proc.

Dominikanin mówi o przyczynach: – Wrocław bardzo szybko rozwija się cywilizacyjnie, w związku z tym też się laicyzuje. To chyba najbardziej „zachodnie" miasto w Polsce. Z osobistych kontaktów wiem, że jeżeli chodzi o nasz kościół, bardzo dużo fajnych ludzi zniechęciła sprawa przestępstw Pawła M.

Przykładem reakcji na frekwencyjny kryzys jest anegdota opowiedziana przez ks. Krzysztofa Niedałtowskiego podczas odbywających się w sobotę Dialogów Świętojańskich „Stres pourazowy ludzi Kościoła". Gdy gdański duszpasterz środowisk twórczych podczas rozmowy z zaprzyjaźnionymi włoskimi księżmi mówił o spadkach praktyk w Polsce, usłyszał: „To bardzo dobra wiadomość – ilość przechodzi w jakość!". Czy rzeczywiście wystarczy przeczekać trudny czas, nie jestem pewien. ©℗

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

BAHRAJN

„Przybyłem tutaj jako siewca pokoju, aby przeżyć dni spotkania, aby uczestniczyć w Forum Dialogu między Wschodem a Zachodem na rzecz pokojowego współistnienia ludzi" – mówił Franciszek podczas czterodniowej wizyty w Bahrajnie. Upominał się m.in. o przestrzeganie praw człowieka.

INFIBULACJA

„Jak to jest, że dzisiaj na świecie nie możemy powstrzymać tragedii infibulacji młodych dziewcząt?" – pytał Franciszek w rozmowie z dziennikarzami podczas powrotu z Bahrajnu. Papież odniósł się do afrykańskiej praktyki okaleczania kobiecych genitaliów w odpowiedzi na pytanie o jego stosunek do protestu kobiet w Iranie.

WERNISAŻ

W krużgankach dominikanów w Krakowie 9 listopada odbędzie się wernisaż współczesnych obrazów Jezusa Miłosiernego w interpretacji dziesięciu polskich malarzy. Jest to pokłosie projektu „Namalować katolicyzm od nowa", którego celem jest ożywienie sztuki sakralnej. Wystawa potrwa do 6 stycznia.

NON-PROFIT

Na 168,6 tys. organizacji non-profit działających w Polsce, aż 65,5 tys. (czyli 39 proc.) działa przy parafiach – wynika z raportu GUS „Sektor non-profit w 2020 r.". Ale tylko 15,1 proc. z nich zostało założonych przez osoby świeckie.

RDC POLSKIE RADIO

DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA"

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl

Warszawa 101 FM | Siedlce 103,4 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM

Czy post uratuje planetę?

NAWYKI ŻYWIENIOWE brytyjskich katolików zbadano na Uniwersytecie Cambridge. Z opublikowanego 2 listopada raportu wynika, że słowa biskupów, którzy 10 lat temu zaapelowali o powrót do praktyki bezmięsnych piątków, wzięło sobie do serca 28 proc. wiernych, z czego 41 proc. całkowicie zrezygnowało w ten dzień z mięsa, a 55 proc. ograniczyło jego konsumpcję.

Autorzy badań obliczyli, że dzięki temu liczba spożywanych na Wyspach Brytyjskich posiłków mięsnych spadła o blisko 900 tys. tygodniowo, co z kolei jest równoważne zmniejszeniu zużycia węgla o 55 tys. ton rocznie. Szacują, że gdyby podobny (i równie skuteczny) apel wystosowali biskupi USA, korzyści byłyby 20 razy większe. A jeśli piątkową wstrzemięźliwość zachowaliby wszyscy katolicy (co szósty mieszkaniec świata), udałoby się zmniejszyć, choćby o ułamek procenta, emisję gazów cieplarnianych i spowolnić zmiany klimatu. Raport podkreśla rolę, jaką mógłby odegrać papież Franciszek, który nie raz mówił, że przed katastrofą klimatyczną uratować nas może jedynie zmiana stylu życia, oraz inni przywódcy duchowi (ingerencję w dietę przewiduje wiele religii).

Postne piątki – na pamiątkę męki Jezusa – praktykowane były już w pierwszych wiekach chrześcijaństwa. Skodyfikował je papież Mikołaj I (858-867), a zakaz, wpisany potem do przykazań kościelnych, przetrwał aż do Soboru Watykańskiego II, który oddał go w ręce lokalnych episkopatów. W USA zakaz zniesiono w 1966 r., na Wyspach Brytyjskich w 1985 r. W niektórych krajach, np. w Polsce, cały czas obowiązuje. ©℗ EDWARD AUGUSTYN

Kościelny program na kryzys

CORAZ CZĘŚCIEJ nie wierzymy temu, co Kościół mówi i naucza, przede wszystkim nie znamy treści wiary w Kościół. Kiedy świat coraz bardziej nastaje na Kościół, tym bardziej trzeba nam znać jego istotę, zadania, cele i sens – uzasadniał wybór tematu programu duszpasterskiego na rok liturgiczny 2022/2023 bp Andrzej Czaja, przewodniczący komisji duszpasterskiej przy episkopacie. Chcąc szybko zareagować na sytuację kryzysową, komisja zrezygnowała z opracowania tradycyjnego trzyletniego programu. Ten składa się z pięciu zeszytów, które wprowadzają w temat, proponują konspekty nabożeństw, homilii, katechez, a także modlitwy i komentarze liturgiczne. Nowością są materiały formacyjne skierowane do rodzin, które można pobrać na stronie kodr.pl.

Materiały dość oględnie odnoszą się do głównej przyczyny kryzysu, jakim jest skandal wykorzystywania seksualnego małoletnich. Krycie przestępców w sutannach przez biskupów nie jest wspominane. Nieobecny jest także, coraz głośniej wybrzmiewający wśród świeckich, problem dyskryminowania kobiet w Kościele. ©℗ ASK

KULTURA W SKRÓCIE

10 EURO

Najważniejsze francuskie wyróżnienie literackie zdobyła w tym roku Brigitte Giraud za powieść „Vivre vite" („Żyć szybko"). Nagroda Goncourtów posiada symboliczną wartość finansową, wynoszącą zaledwie 10 euro, ale gwarantuje międzynarodową sławę i uznanie. „Anomalia", zwycięska powieść Hervégo Le Telliera z 2020 r., osiągnęła już nakład ponad miliona egzemplarzy.

15 SPEKTAKLI

Rozpoczynające się w tym tygodniu 26. Międzynarodowe Spotkania Teatrów Tańca w Lublinie otworzy premierowy pokaz sztuki „Love matter", do którego choreografię zrealizowała Włoszka Elisabetta Consonni. W programie festiwalu jest 15 spektakli artystów z Ukrainy, Białorusi i Gruzji. Do Lublina przyjedzie także niemiecka choreografka Katja Heitmann z wystawą performatywną „Motus Mori: Museum".

24 GODZINY

Aż 84 wykonawców w wieku od 6 do 93 lat weźmie udział w Maratonie Chopinowskim organizowanym przez Polskie Radio z okazji Święta Niepodległości. Wydarzenie, podczas którego na żywo zostanie zagrany cały repertuar Fryderyka Chopina, potrwa ponad dobę. Maratonu będzie można posłuchać na antenie Polskiego Radia Chopin 10 i 11 listopada.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne
DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w radiu TOK FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy!
95,2 FM Gdynia | 97,7 FM Poznań
97,4 FM Łódź | 95,8 FM Wrocław
97,4 FM Katowice | 96,9 FM Opole
www.tokfm.pl

WOJCIECH PLEWIŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE

„WOJCIECH PLEWIŃSKI – fotograf, którego trzeba znać" – taki tytuł nosi otwarta właśnie w galerii Villa de Bondt w Gandawie wystawa fotografii współpracownika „Przekroju" i „Tygodnika Powszechnego". Zajmował się ze szczególnym upodobaniem sztuką portretową, stąd sławę przyniosły mu zdjęcia z okładek tygodnika „Przekrój" (było ich kilkaset) w latach 60. i 70. Przez wiele lat był związany ze Starym Teatrem w Krakowie, dokumentując spektakle Grzegorzewskiego, Jarockiego, Swinarskiego, Wajdy i Lupy. W „Tygodniku" publikował zdjęcia głównie jako reportażysta przyglądający się życiu codziennemu. ©℗

Twitter w rękach Elona Muska

PRACOWNICY niepokoją się, że stracą pracę. Użytkownicy (a także media i politycy) zastanawiają się, co ten zakup będzie oznaczać dla wolności słowa – jedni rezygnują z portalu, obawiając się wzrostu skrajnie prawicowej retoryki (i powrotu Donalda Trumpa), inni widzą w tym szansę na szerzenie rzekomo cenzurowanych poglądów.

Musk kluczy: reklamodawców uspokaja, że nie będzie skrajnych treści, jednocześnie twierdzi, że usunie cenzurę. Mimo to zapowiada stworzenie „rady mędrców", która ma rozstrzygać sporne kwestie. Inwestorzy zastanawiają się, czy Musk ma plan na uczynienie z Twittera rentownej firmy. Ten zapowiada subskrypcje, ale chce też zdobyć zaufanie reklamodawców, od których zależy teraz 90 proc. przychodu. Jasne jest jedno: Musk, kupując Twittera za 44 mld dolarów, przepłacił.

Czy to możliwe, że miliarder – słynący z publikacji nieprzemyślanych tweetów – stał się zakładnikiem jednego z nich? Wszystko zaczęło się wszak właśnie od twitterowej wiadomości z zapowiedzią, że kupi portal za cenę wyższą od rynkowej. W przypadku znanego miliardera nietrudno wyobrazić sobie taką sekwencję zdarzeń. Najpierw wypuścił tweeta dla efektu i zasięgów, później próbował się wycofać, ale gdy zorientował się, że sąd zmusi go do transakcji, dokonał jej na pierwotnych warunkach. A teraz zastanawia się, co dalej. ©℗ PATRYK STANIK

Wrony opanowały nawiasy

ZDANIE „Badacze uważają, że wrony są inteligentne" ilustruje obecność w języku rekurencji – możliwości osadzania jednych zdań w innych. Noam Chomsky uważa, że ta zasada pozwala wydłużać zdania w nieskończoność, a tym samym tworzyć nieskończenie wiele nowych. I twierdzi, że rekurencja jest podstawową cechą ludzkiego języka, która wyróżnia go spośród sposobów komunikacji zwierząt.

Diana Liao z zespołem sprawdziła, czy wrony nauczą się tworzenia sekwencji znaków zgodnych z samą, niezależną od języka, zasadą rekurencji. Ptaki miały do dyspozycji różne rodzaje nawiasów. Najpierw wskazywały na ekranie różne elementy dziobem, aż nauczono je poprawnego ciągu, np.: { ( ) }, w którym jeden nawias zawiera inny. Potem dostawały do wyboru inne ich rodzaje. Okazało się, że najczęściej wybierały je w kolejności oddającej rekurencyjność, np. [< >]. Radziły sobie z tym równie dobrze, co czteroletnie dzieci, i lepiej niż makaki królewskie. Wyniki sugerują, że zdolność opanowania zasady rekurencji może pojawić się niezależnie od myślenia symbolicznego lub je poprzedzać. © KATARZYNA DZIADOWICZ

TEMAT TYGODNIKA

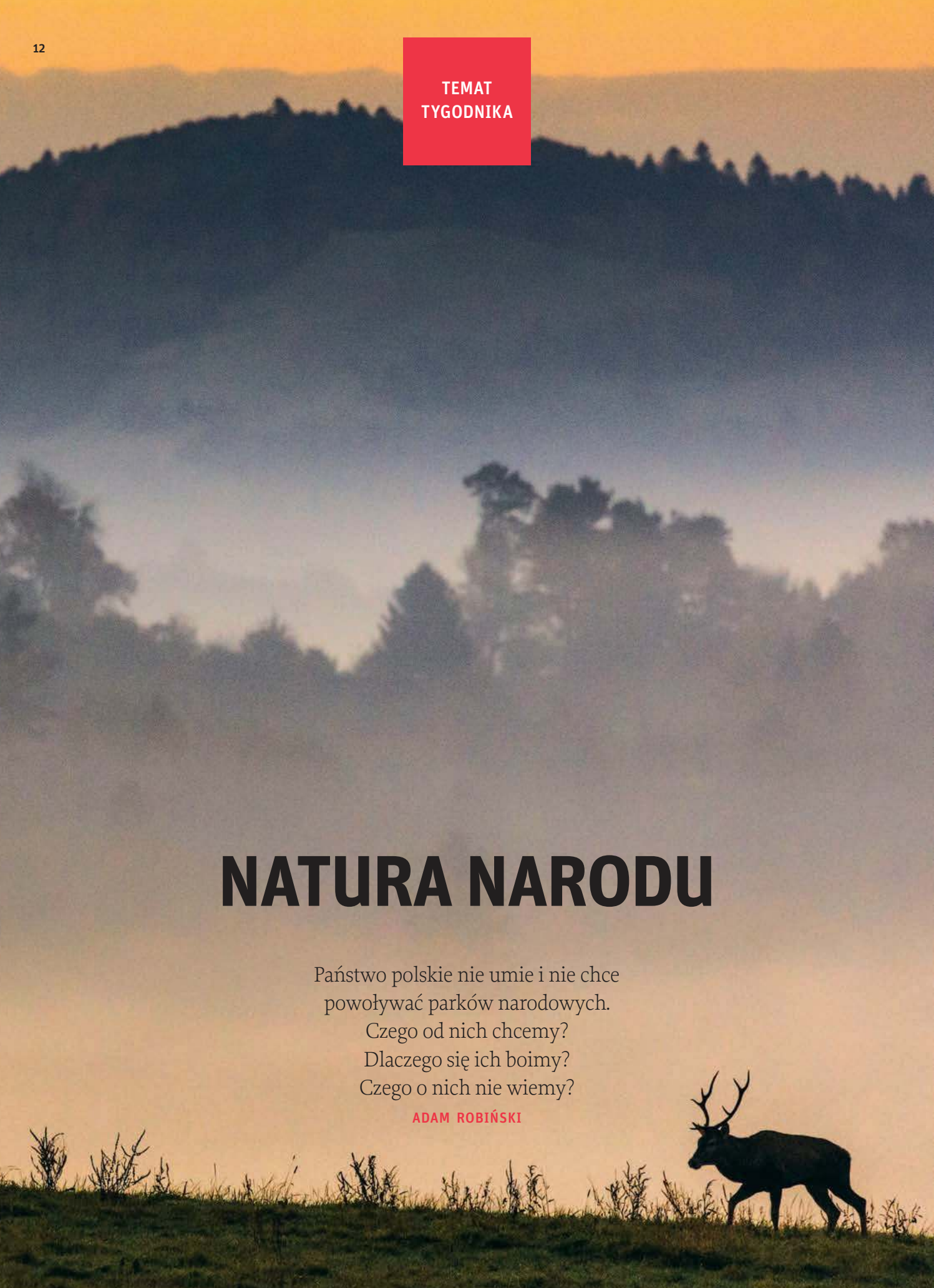

NATURA NARODU

Państwo polskie nie umie i nie chce powoływać parków narodowych. Czego od nich chcemy? Dlaczego się ich boimy? Czego o nich nie wiemy?

ADAM ROBIŃSKI

W połowie czerwca tego roku grupa krajoznawców z Towarzystwa Krajobraz na pokładzie kilku kajaków i kanadyjek spływała Wisłą z Kazimierza Dolnego w stronę Warszawy. Dorośli i dzieci, cztery dni na wodzie, noclegi pod gwiazdami.

W okolicach Góry Kalwarii ich trasę przeciął łoś. Łoś nie jest na Mazowszu niczym niezwykłym. Kilkaset zwierząt żyje w Puszczy Kampinoskiej, kolejne w innych, mniejszych kompleksach leśnych. Dużo z nich migruje, a że dobrze pływają, to ważnym kanałem przemieszczania się bywa dla nich Wisła. Ale co innego wiedzieć to w teorii, co innego zobaczyć na własne oczy, jak największe występujące w Polsce zwierzę wystawia znad wody głowę z pokrytym scypułem, dopiero odrastającym porożem, i dostojnie tnie nurt.

Dla krajoznawców na co dzień korzystających z Wisły, świadomych jej przyrodniczych atutów, ten był ostatecznym dowodem na to, że największa polska rzeka to skarb.

Kameralnej wystawie fotograficznej Towarzystwa Krajobraz, dostępnej od października w pawilonie Kamień nad Wisłą w Warszawie, towarzyszy z pozoru wywrotowy apel o utworzenie na rzece – również w centrum Warszawy – zupełnie nowego Parku Narodowego Wisła.

Korzenie tego pomysłu sięgają początku lat 90. XX wieku i również wiążą się ze spływem Wisłą. Jak wspomina jego uczestnik, przyrodnik – wówczas student leśnictwa – Adam Tarłowski, powszechna wiedza o rzece była wówczas o wiele mniejsza niż współcześnie.

– Wiedzieliśmy z literatury i rozmów z naukowcami, że Wisła od Dęblina do Warszawy i powyżej Warszawy zachowała charakter rzeki roztokowej, a więc takiej, którą stworzyły topniejące lodowce, i że jest zupełnym przeciwieństwem rzeki uregulowanej. Ale dopiero kiedy z kolegami ze studiów, z którymi działaliśmy w straży ochrony przyrody, spłynęliśmy nią kajakiem, zobaczyliśmy to wszystko na własne oczy: kolonie lęgowe rybitw i mew, zimorodki i inne ptaki związane ze skarpami, łachy, wyspy, lasy łęgowe, które są siedliskiem cennym i rzadkim, bo niekształtowanym ręką leśnika – mówi „Tygodnikowi" Tarłowski. Dodaje, że w powszechnej świadomości Wisła miała opinię ścieku. Niebezpodstawną, bo na Śląsku woda była pozaklasowa, w związku z czym nikt nie podnosił postulatów ochronnych. Jednak podczas tamtego spływu zobaczyli, że w jej dalszym biegu dochodzi do samooczyszczenia.

Wtedy apel o utworzenie Wiślańskiego Parku Narodowego miał działać na zasadzie szoku, wywołać zainteresowanie nowym tematem, szczególnie w mieście, które przez powojenne dekady rozwijało się plecami do rzeki. Były pikiety i plakaty, Ruch na Rzecz Utworzenia Wiślańskiego Parku Narodowego miał nawet swój logotyp z sylwetką rybitwy. Skutkiem obywatelskiego wzmożenia stało się powstanie kilka lat później, m.in. dzięki inicjatywie Ogólnopolskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków, szeregu rezerwatów.

Jesiotr w logotypie

Dziś jest ich siedem (ósmy, Ruska Kępa, powołany w celu ochrony nadwiślańskich łęgów, w międzyczasie stał się eksklawą Kampinoskiego Parku Narodowego), zaczynają się jeszcze poniżej Zakroczymia, kończą koło Góry Kalwarii, a każdy niemal płynnie przechodzi w kolejny. Największy – Ławice Kiełpińskie – ma powierzchnię ponad 800 hektarów. Jeden z nich (Wyspy Zawadowskie) znajduje się w granicach administracyjnych Warszawy. Obszar objęty rezerwatową ochroną ma w sąsiedztwie stolicy łącznie ponad 38 kilometrów kwadratowych – spośród wszystkich warszawskich dzielnic większą powierzchnię mają jedynie Wawer, Białołęka i Ursynów.

Jak przekonuje Jan Mencwel, aktywista i członek Towarzystwa Krajobraz, powstanie Parku Narodowego Wisła (dla odróżnienia współczesnego projektu od tego z lat 90. zmieniono jego nazwę) oznaczałoby *de facto* przede wszystkim przekształcenie istniejących rezerwatów w jeden organizm i nie byłoby żadną rewolucją.

Docelowo chodzi jednak o rozciągnięcie obszaru ochronnego na odcinek rzeki o długości 150 km, a potem również całą Wisłę [patrz rozmowa obok]. To byłaby już dla mieszkających nad Wisłą Polaków terapia szokowa – choć sąsiedztwo parku w praktyce prawdopodobnie tylko nieznacznie wpłynęłoby na ich codzienność. Według Mencwela chodzi o symbol – społeczną umowę, że zdziczała Wisła (w czasach zaborów większość rzeki została uregulowana, jednak na obszarze dawnego zaboru rosyjskiego doszło do jej wtórnego unaturalnienia) jest dobrem wspólnym. Postulowany park nie ma jeszcze granic, ma już za to logotyp z wizerunkiem jesiotra, dużej ryby, która dawniej masowo wpływała do Wisły na tarło. Jesiotry zniknęły po budowie tamy we Włocławku w drugiej połowie XX wieku.

– Każde działanie na rzecz ochrony Wisły jest cenne – mówi Jan Piotrowski, pełnomocnik prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego ds. Wisły. – Propozycję utworzenia parku narodowego traktujemy jako happening, działanie aktywistyczne, którego celem jest wywołanie dyskusji. Taka dyskusja jest wskazana i wpisuje się w to, co od ośmiu lat robimy jako władze miasta w ramach kampanii Dzielnica Wisła. Natomiast samo utworzenie parku narodowego jest niemożliwe, choćby z uwagi na przestrzeń, np. plaże, porty, bulwary, których nie można wyłączyć z eksploatacji.

Według Piotrowskiego wspomniane tereny są dziś eksploatowane w sposób zrównoważony. Zwraca uwagę na obszar Natura 2000, Warszawski Obszar Chronionego Krajobrazu, projekty unijne dotyczące ochrony przyrody, założenia dotyczące pielęgnacji przestrzeni czy ochrony dendrologicznej.

– Na odcinku 30 kilometrów monitorujemy nadwiślańską przestrzeń po obu stronach rzeki. To naprawdę duży obszar – tłumaczy Piotrowski.

Samorządowe weto

Park Narodowy Wisła byłby dwudziestym czwartym parkiem narodowym w Polsce i pierwszym utworzonym po 21-letniej przerwie. Obecnie parki zajmują 1 proc. powierzchni kraju (poniżej europejskiej średniej). Od kiedy w 2001 r. w województwie lubuskim powstał Park Narodowy Ujście Warty, wszelkie kolejne inicjatywy biorą w łeb. Problemem jest obowiązujące prawo. Wielokrotnie nowelizowana ustawa o ochronie przyrody (parki narodowe wciąż nie doczekały się własnej) dała na początku XXI wieku samorządom, i to każdego szczebla, prawo weta wobec inicjatyw powoływania nowych parków i powiększania już istniejących. Po 2001 r. żaden Sejm nie odważył się zasadzić na te przywileje samorządowców. Była na to szansa w 2010 r., kiedy pod obywatelskim projektem zmiany ustawy o ochronie przyrody podpisało ↦

ADAM ŁAWNIK / EAST NEWS

Pogórze Przemyskie, 2017 r.

↦ się prawie ćwierć miliona Polaków. Nowelizacja dotyczyła tylko jednego słowa – chodziło o zmianę „uzgadniania" na „opiniowanie". Skończyło się na dwóch publicznych czytaniach i pracach w podkomisji. Potem projekt trafił do sejmowej zamrażarki i przepadł wraz z końcem kadencji parlamentu. Na nic zdały się opinie prawne, według których obecnie obowiązujące przepisy są niekonstytucyjne – polityka ekologiczna wchodzi bowiem w sferę konstytucyjnych uprawnień i obowiązków rządu, w które władza lokalna nie powinna ingerować. Krótko mówiąc: jeśli park narodowy, to przecież nie samorządowy.

Szczegółową analizę polskiej XXI-wiecznej indolencji w tej kwestii przedstawia raport opracowany przez badaczy z Uniwersytetu Jagiellońskiego i Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych przy współudziale Polityki Insight i ClientEarth Prawników dla Ziemi („Polskie parki narodowe. Dlaczego w Polsce od 20 lat nie powstał park narodowy i jak to zmienić?"). Raport ukazał się w grudniu 2021 r. i – jak przekonuje Marta Klimkiewicz z ClientEarth – choć nie spotkał się z żadnym odzewem resortu środowiska, wzbudził duże zainteresowanie niemal wszędzie tam, gdzie trafił: organów samorządowych, parków narodowych i krajobrazowych oraz instytucji naukowych.

– Obowiązujące prawo jest tak skonstruowane, że kluczowe stają się blokady mentalne, które funkcjonują w społeczeństwie – mówi Klimkiewicz. – Jeśli samorząd nie uzgodni proponowanych granic projektowanego parku, ten nie powstaje. Samorząd przemawia głosem wyborców. Problem systemowy, prawny, a więc konkretny przepis, jest łatwy do zidentyfikowania. Weto samorządowe od 20 lat wychodzi z szafy przy okazji każdej rozmowy o nowym parku narodowym. Przyczyny są natomiast głębsze – to przede wszystkim ugruntowane jeszcze w czasach PRL przekonanie, że park narodowy oznacza ograniczenia, choćby inwestycyjne oraz w gospodarowaniu własnością prywatną.

Wsparcie dla gmin

Klimkiewicz wskazuje na ogromne zaniedbanie władzy, która przez ponad dwie dekady nie była w stanie wytłumaczyć obywatelom, czym jest park narodowy i co oznacza jego powołanie.

– Parki są wciąż mylone z innymi formami ochrony przyrody, również wyimaginowanymi – przekonuje Klimkiewicz. – Spotkałam się ze stwierdzeniem, że „puszcza" to obszar prawnie chroniony. Narodowe mylone są z krajobrazowymi, z rezerwatami, a nawet z Lasami Państwowymi, bo przecież i tu, i tu pracuje pan w zielonym mundurze. W rozmowach na temat powiększenia Białowieskiego Parku Narodowego wciąż pojawiają się argumenty kalibru „chcecie nam tu zrobić skansen". A przecież chodzi o coś zupełnie odwrotnego – dobrze przygotowany park narodowy wiąże się z ogromnym potencjałem rozwojowym. Przed powstaniem parku danym miejscem interesują się często wyłącznie ornitolodzy albo inni specjaliści, a potem prestiż miejsca tak wzrasta, że pojawiają się zwykli turyści. Tacy, którzy chcą po prostu zobaczyć ładne miejsce.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego przed rokiem 2020 polskie parki narodowe odwiedzało rocznie ponad 10 mln turystów (najwięcej Tatrzański PN – 3,5 mln). Wybuch pandemii i związane z nią ograniczenia w wyjazdach zagranicznych znacznie zwiększyły to zainteresowanie.

Autorzy raportu przekonują, że choć w większości przypadków obawy samorządów związane z parkami są wyol-

ADAM ŁAWNIK / EAST NEWS

Jak chronimy przyrodę i czemu to nie zawsze działa

PARKI NARODOWE to najwyższa forma ochrony przyrody w Polsce. Jednak ich struktura nie jest jednorodna. Najbardziej restrykcyjne przepisy dotyczą obszarów ochrony ścisłej (dawniej: rezerwatów w granicach PN), gdzie – z uwagi na ochronę naturalnych procesów – nie prowadzi się żadnych czynnych działań. Wyjątek stanowią badania naukowe oraz udrażnianie szlaków turystycznych. Na obszarach ochrony czynnej prowadzi się sporadycznie wycinkę drzew oraz poluje na zwierzęta w ramach tzw. redukcji. Jest to jednak działalność ochronna, np. związana z przebudową składu gatunkowego lasu, i wpisana do dokumentów regulujących funkcjonowanie parku narodowego.

NAJBARDZIEJ rozmytym terminem jest ochrona krajobrazowa, zarówno w parkach narodowych, jak i powoływanych specjalnie na jej potrzeby parkach krajobrazowych. Jej podstawową funkcją jest zachowanie krajobrazu, który sam w sobie jest pojęciem niejasnym. Jego składowymi są zarówno przyroda, jak i dziedzictwo kulturowe. W efekcie parki krajobrazowe to obszary intensywnej gospodarki i rekreacji, w których ochrona często pozostaje tylko na papierze.

REZERWATY to najwyższa forma ochrony poza parkami narodowymi. Ale rezerwat rezerwatowi nierówny. W niektórych obowiązuje ochrona ścisła, w innych dominuje czynna. Poruszanie się po nich – podobnie jak w przypadku PN – dozwolone jest wyłącznie szlakami.

OBSZARY Natura 2000 tworzą unijną sieć terenów chronionych, których celem jest troska o zagrożone wyginięciem siedliska oraz ponad tysiąc rzadkich gatunków. Te obszary często pokrywają się z krajowymi formami ochrony. Międzynarodowy patronat daje m.in. wsparcie finansowe dla ich realizacji.

W OGONIE systemu ochrony przyrody znajdują się formy punktowe, takie jak pomniki przyrody (np. stare drzewa lub głazy narzutowe) czy choćby tzw. ochrona strefowa, tworzona w lasach gospodarczych wokół gniazd chronionych gatunków ptaków czy np. niedźwiedzich gawr. W promieniu 50-100 metrów wokół nich zabronione jest prowadzenie gospodarki leśnej, jednak – jak pokazuje praktyka – bywa z tym różnie. © AR

brzymiane, to jednak niewątpliwie tkwi w nich ziarno prawdy. Najważniejsze wydaje się opracowanie nowych rozwiązań prawnych (przekształcenie modelu uzgodnienia granic parku, w którym głos samorządu jest dla władzy centralnej wiążący, w rozbudowaną ścieżkę konsultacji, na końcu których decydujący głos należy do resortu środowiska), ale według raportu ustawodawca powinien pomyśleć również o środkach rozwojowych, które zasilałyby dany region w okresie przejściowym. Wraz z powołaniem nowego parku zmienia się struktura wpływów do gminnego budżetu (np. w związku z ulgowym wymiarem podatku leśnego, który obowiązuje parki narodowe) oraz struktura zatrudnienia (co może mieć związek np. z zaprzestaniem intensywnej eksploatacji chronionego lasu). Każdy taki przypadek powinien być poprzedzony analizami związanymi ze specyfiką danego miejsca i rynku pracy.

– To mogą być różne rozwiązania, np. duże wsparcie rozwoju infrastruktury ochrony środowiska dla gmin: środki na gazyfikację, wodociągi, kanalizację. Chodzi o to, by państwo w ramach realizacji polityki ekologicznej, powiedziawszy „A", było skłonne powiedzieć również „B", i wesprzeć samorządy na pierwszym, paroletnim etapie funkcjonowania w nowych realiach. Docelowo wynikną z tego bardzo wymierne korzyści dla lokalnych społeczności, nie tylko związane z ładną tablicą informującą o parku narodowym. Przede wszystkim w znacznym stopniu podniesie się stopa życiowa mieszkańców parkowych gmin – mówi Klimkiewicz.

Złota era parków

Lista potencjalnych nowych parków narodowych jest długa. Choćby transgraniczny Park Narodowy Doliny Dolnej Odry – wspólny projekt, na który w latach 90. Polska umówiła się z Niemcami, przy czym tylko Niemcy dotrzymali danego słowa, powołując w 1995 r. Nationalpark Unteres Odertal. I parę innych, jak Jurajski PN w Jurze Krakowsko-Częstochowskiej czy Mazurski PN w Puszczy Piskiej, wokół Jeziora Nidzkiego.

Od lat najbardziej jednak zaawansowane prace projektowe dotyczą Pogórza Przemyskiego i postulowanego tu przez przyrodników i naukowców Turnickiego Parku Narodowego. Turnicki był o krok od powołania już w 1993 r., kiedy to walczył o niego ówczesny podkarpacki konserwator przyrody, nieżyjący już Jan Szafrański. Chodziło mu jednak przede wszystkim o Magurski PN, którego potem został dyrektorem – na walkę o jeszcze jeden park zabrakło sił, rąk i pieniędzy. Choć o Turnicki upominały się wówczas organizacje ekologiczne, to mimo sprzyjających okoliczności prawnych (lata 90. nazywane są złotą erą parków narodowych, bo między rokiem 1990 a 1996 powstało ich siedem, w tym nad Drawą, Narwią i w Górach Stołowych) projektu nie udało się zrealizować.

Od lat najbardziej zaawansowane prace dotyczą Pogórza Przemyskiego i postulowanego tu przez przyrodników i naukowców Turnickiego Parku Narodowego.

Temat powrócił w 2015 r. za sprawą podkarpackiej Fundacji Dziedzictwo Przyrodnicze, która stworzyła nową, zaktualizowaną dokumentację naukową dla przyszłego parku, dokonała inwentaryzacji przyrodniczej, przygotowała analizy społecznych i ekonomicznych uwarunkowań jego powstania. Projekt zakłada ochronę ponad 17 tys. hektarów na terenie trzech gmin: Bircza, Fredropol i Ustrzyki Dolne, przy czym są to grunty wyłącznie należące do skarbu państwa. Mowa o terenie reliktowej Puszczy Karpackiej o cechach lasu naturalnego, która do dzisiejszych czasów dotrwała już wyłącznie we fragmentach, ale wciąż można na jej terenie znaleźć kilka tysięcy drzew o wymiarach pomnikowych. Teren Turnickiego PN zamieszkują wszystkie duże drapieżniki Polski: niedźwiedź, wilk, ryś oraz żbik. Opór społeczny w parkowych gminach jest jednak tak duży, że zaawansowany projekt do dziś nie może wejść w fazę realizacji.

„Sama idea utworzenia parku narodowego na tych terenach jest pomysłem niezwykle ambicjonalnym, odstępującym od realiów ludzi tutaj żyjących – mówił w 2016 r. „Tygodnikowi" Grzegorz Gągola, ówczesny i obecny wójt gminy Bircza. – Mówi się o turystyce, ale z samej turystyki tyle rodzin wyżyć nie da rady. My tu nie mamy Giewontu czy Morskiego Oka. Dla ponurka, zgniotka czy innego robactwa park narodowy, a dla ludzi zagranica lub opieka społeczna? Czy przyrodę należy chronić dla człowieka, czy przed człowiekiem?".

Ton temu sprzeciwowi nadają przede wszystkim Lasy Państwowe, jeden z większych pracodawców w okolicy, który po utworzeniu parku narodowego przestałby zarządzać tym terenem.

Otulina kwitnie

Na początku 2022 r. do podmiotów zaangażowanych w prace na Pogórzu Przemyskim dołączyła Kwitnąca Otulina, nieformalny ruch wolontaryjny, którego celem jest zmiana nastawienia podprzemyskich gmin do Turnickiego PN. W jego skład wchodzi około stu osób, w większości mieszkańców Podkarpacia.

– Dotychczas wokół Turnickiego brakowało oddolnej energii, my to próbujemy odczarować – przekonuje Marcin Mystkowski, jeden z założycieli Kwitnącej Otuliny. – Od stycznia, kiedy zaczęliśmy rozmawiać z mieszkańcami Pogórza, udało nam się rozkręcić debatę. Dbamy o to, by działania wokół Turnickiego miały wymiar przede wszystkim lokalny. Oczywiście w niektórych aspektach generuje to negatywne emocje, ale pewnym novum jest to, że po raz pierwszy możemy powiedzieć, iż to lokalna społeczność zaczyna upominać się o park narodowy pod Przemyślem.

Wśród organizowanych przez Kwitnącą Otulinę wydarzeń są m.in. spacery przyrodnicze, koncerty, obserwacje rykowiska. Zapraszani są na nie przede wszystkim mieszkańcy okolicznych gmin. Zmianę nastawienia widać choćby na łamach wydawanej w Ustrzykach Dolnych „Gazety Bieszczadzkiej", dotychczas będącej w kwestiach przyrodniczych tubą okolicznych nadleśnictw, od jakiegoś czasu wpuszczającej na swoje łamy również zwolenników instytucjonalnej ochrony przyrody.

W mediach społecznościowych Turnicki PN przestał być „projektowany". Teraz jest „niewidzialny".

– Naszym celem jest podkreślenie, że Turnicki istnieje, że ma swoje granice, ma sześć i pół tysiąca drzew o wymiarach pomnikowych, ma swoich mieszkańców, zarówno ludzkich, jak i przedstawicieli fauny, flory, świata grzybów. Chcemy ↦

↦ zerwać z pojęciem projektu i postawić na narrację dokonania, ale też wypełnić ją konkretami – mówi Mystkowski.

Te konkrety to m.in. 19-kilometrowy szlak turystyczny z wykonanymi własnymi siłami tabliczkami informacyjnymi oraz startująca właśnie gra terenowa wykorzystująca popularny trend geocoachingu. W czerwcu odbył się internetowy plebiscyt na symbol Turnickiego, który mógłby wejść do przyszłego logotypu instytucji. Wygrał żbik. Park ma też już mapę turystyczną, którą opracowała inna organizacja działająca na jego rzecz – Inicjatywa Dzikie Karpaty.

– Teraz skupiamy się na konsultacjach społecznych, które planujemy zorganizować zimą i wiosną – zapowiada Mystkowski. – Będą miały formułę spotkań na terenie trzech parkowych gmin, one się od siebie bardzo różnią poziomem i temperaturą dyskusji. Ale zależy nam również na konsultacjach internetowych. Widzimy wśród mieszkańców duży lęk, obawę przed samym przyjściem do stołu, przy którym rozmawia się o Turnickim. Chcemy ośmielić osoby, które boją się ostracyzmu w swojej społeczności.

Ale zapytany o to, czy Turnicki powstanie, bo uda się przekonać samorząd, czy może dopiero wtedy, gdy zmieni się prawo, Mystkowski nie ma wątpliwości: – Nie jesteśmy naiwni. Wiemy, że powołanie parku bez zmian prawa będzie bardzo trudne. Chcemy jednak dobrze znać prawdziwe potrzeby i oczekiwania mieszkańców, zbudować infrastrukturę, która w przyszłości stanie się pełnoprawną częścią Turnickiego. Nasza gra obywatelska w park narodowy składa się z niewielkich, czasami błahych ruchów. Ale jak spojrzymy na nie kompleksowo, to się okaże, że z tej mgły wyłania się coś bardzo konkretnego.

■■■

Podczas pracy nad tekstem zapytałem rzecznika Ministerstwa Klimatu i Środowiska, czy rząd widzi potrzebę powołania gdzieś nowego parku oraz czy planuje reformę przepisów dotyczących tej procedury. W odpowiedzi pada kluczowe zdanie: „Obecnie w MKiŚ nie są prowadzone prace nad utworzeniem nowego parku narodowego”.

© ADAM ROBIŃSKI

Przejdziem Wisłę

JAN MENCWEL, AKTYWISTA:

Jako naród zgadzamy się, że dzika Wisła jest ogromną wartością. Ale to bardzo krucha gwarancja, bo jednocześnie zwątpiliśmy w piękną ideę parku narodowego. A nic innego tej rzeki nie obroni.

ADAM ROBIŃSKI: Skąd myśl, by powołać park narodowy na Wiśle, skoro od ponad 20 lat nie udało się tego zrobić w tylu innych miejscach?

JAN MENCWEL: Pracujemy nad tym już od jakiegoś czasu, ale katastrofa na Odrze pokazała, jak pilną sprawą jest właściwa ochrona rzek. Nam się może wydawać, że Wisła jest dzika i bezpieczna, ale jeśli nie zrobimy nic, by ją lepiej chronić, za chwilę może zostać zatruta i pełna martwych ryb. Albo może się znaleźć ktoś, kto zacznie forsować pomysł zabetonowania praskiego brzegu Wisły i pobudowania na nim parkingów. Kandydując na prezydenta Warszawy, Patryk Jaki postulował zbliżenie wałów przeciwpowodziowych do rzeki i budowanie nowych osiedli na terenach zalewowych. Żeby tego typu pomysły nigdy nie zostały zrealizowane, potrzebujemy parku narodowego.

Ale park narodowy obejmujący m.in. centrum Warszawy? Prowokacja?

Mówimy zupełnie serio. Ten park był już postulowany w latach 80. i 90. Dzięki temu powstały liczne rezerwaty przyrody na terenie rzeki w Warszawie i jej okolicach, chroniące łachy, wyspy i lasy nad jej brzegiem. Choćby Wyspy Zawadowskie, rezerwat między Wawrem a Wilanowem, a więc w granicach miasta. Dzika Wisła jak najbardziej kwalifikuje się, żeby myśleć o niej jak o parku narodowym. Przecież park narodowy to nie tylko obszary ochrony ścisłej, ale też pewna idea. Pokazanie, że coś jest szczególnie cenne, np. poprzez kontekst, w jakim funkcjonuje. Raz, że wspaniała przyroda, dwa, że tak blisko wielkiego miasta. Czyli jest narażona na jeszcze większą antropopresję.

Rezerwaty, o których mowa, zajmują dużą część środkowego biegu Wisły. Taka ochrona to za mało?

Wisła jest dużą i swobodną rzeką, dlatego dobrze radzi sobie z problemami takimi jak zanieczyszczenia, już nie przemysłowe, ale pochodzące choćby z rolnictwa. Są jednak sprawy, o których się nie mówi. Choćby to, że w Warszawie działa kilka komercyjnych piaskarni; wydobycie piachu z rzeki jest ogromne. Albo że trafiają się sytuacje taka jak ta, gdy po budowie mostu Południowego Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad zostawia w rzece wbite w dno potężne pale, które wpływają na ekosystem, żłobią koryto i mogą sprawić, że przestaną odradzać się wiślane łachy i wyspy.

A nadbrzeżne lasy lęgowe?

Ostatnio nakryłem quadowców, którzy jeździli po rezerwacie Wyspy Zawadowskie. W powszechnym mniemaniu ten teren jest bezpański! Wody Polskie odpowiadają za nurt i to, co z nim płynie, Regionalna Dyrekcja Ochrony Środowiska za rezerwaty, Warszawa za bulwary... Odpowiedzialność jest rozproszona. Park narodowy, który skupiłby pod sobą cały ten teren, miałby straż parkową, a tym samym możliwość ograniczenia szkodliwych dla rzeki procederów.

Przecież parki mają problemy finansowe, straż leśna nie wyrabia, ludzie łamią regulaminy. Podczas grzybobrania, które w Kampinoskim Parku Narodowym jest nielegalne, każdy wjazd do lasu jest zastawiony, a ludzie chodzą po nim jak chcą.

Niedofinansowanie parków narodowych to osobny problem. Przede wszystkim, wszyscy zwątpiliśmy w piękną

ideę. Być może gdybyśmy choć trochę ją wzmocnili – a pomysł powołania parku na Wiśle traktuję właśnie jako takie wzmocnienie – to łatwiej byłoby potem walczyć o lepsze warunki ekonomiczne funkcjonowania wszystkich parków narodowych w Polsce? Przecież na tyle bzdur wydaje się dziś publiczne pieniądze, często niszcząc przy okazji przyrodę. Zwiększenie budżetów parków narodowych wydaje się przy nich niewielkim kosztem.

Ten park miałby ogromne znaczenie symboliczne.

Na pewno. I tak niewiele stoi na przeszkodzie... Nikt nie ma pomysłu, by rzekę eksploatować. W szufladach leży projekt drogi wodnej E40, ale on jest tak absurdalny, że nigdy nie zostanie zrealizowany. Jako naród zgadzamy się, że dzika Wisła to ogromna wartość. Ale to bardzo krucha gwarancja. Park narodowy przesądziłby o statusie tego miejsca.

Jaki miałby mieć kształt?

Proponujemy, by na początek objął swoim zasięgiem mniej więcej 150 km długości rzeki. Zaczynałby się w okolicach Góry Kalwarii, kończył przed Płockiem. To jest ta część rzeki, która pokrywa się z większością Doliny Środkowej Wisły. Docelowo jednak cała Wisła powinna stać się parkiem narodowym, bo cała zasługuje na lepszą ochronę przed katastrofami wywołanymi przez człowieka.

Z uwagi na sprzeciw samorządów od 2001 r. nie powstał żaden park.

On często bierze się z obaw o blokady inwestycyjne. Urzędnicy boją się, że tam, gdzie będzie park, nikt już nic nie wybuduje. Tymczasem w przypadku Wisły tego problemu po prostu nie ma. Postulowany obszar parku to rzeka i jej brzegi, które dziś i tak są terenami zalewowymi. Samorządy nie mają żadnego interesu w tym, by ich nie chronić. Gdy już zaczniemy na serio rozmawiać o parku narodowym, może się okazać, że ten opór jest zaskakująco niewielki.

Tym bardziej że nikt nie będzie tym razem pytał o zdanie Lasów Państwowych.

Przy stole nie będzie miejsca dla instytucji, która w całym kraju przyczynia się do blokowania pomysłów powołania nowych parków, bo chce w spokoju wycinać jak najwięcej drzew. Ulga.

ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

JAN MENCWEL (ur. 1983) jest animatorem kultury, aktywistą miejskim, współzałożycielem stowarzyszeń Miasto Jest Nasze oraz Towarzystwa Krajoznawczego Krajobraz.

Chyba znaleźliście wytrych: skoro to samorządy nie chcą parku, trzeba zrobić go tam, gdzie samorząd nie będzie przeciwny. W mieście.

Prezydent Trzaskowski mówi o ekologii, ostatnio objął funkcję przewodniczącego Komisji Środowiska, Zmiany Klimatu i Energii w europejskim Komitecie Regionów. Według mojej wiedzy nie planuje inwestycji, które ingerowałyby w teren proponowanego parku. Owszem, powstaje właśnie kładka rowerowa przez rzekę, pod jej budowę trzeba było wyciąć trochę drzew, ale o niczym więcej się nie mówi. Mam poczucie, że park narodowy na Wiśle świetnie wpisałby się w myślenie o zielonej Warszawie. Mamy nadzieję, że uda nam się dotrzeć do prezydenta z tym pomysłem. Ale zaczynamy od najniższych szczebli urzędniczych.

To jakie widzicie przeszkody?

Podstawowy problem to rozproszona odpowiedzialność i wojna pomiędzy instytucjami, które podlegają władzy centralnej – np. Wodami Polskimi – a samorządami. Jest to wojna partyjna, jedni zwalają winę na drugich. W czasie awarii oczyszczalni ścieków Czajka w Warszawie Wody Polskie *non stop* piały, że to wina Trzaskowskiego. Ofiarą pada dobro ogółu, np. dobrostan rzeki.

Postulowanemu parkowi na drodze stanie więc partyjna polityka?

Jest to najgłupsza ewentualność, ale najbardziej prawdopodobna. Problemem może być też brak świadomości społecznej, czym tak naprawdę parki są. Chcielibyśmy przy okazji mówienia o tym pomyśle przypomnieć samą ideę ochrony. Mieszkańcy Warszawy i okolic lubią korzystać z Wisły w sposób swobodny. To generuje pewne problemy, jak choćby śmieci. Ale nie jest też tak, że powstanie parku na Wiśle oznaczałoby wyrzucenie ludzi znad rzeki. Parki narodowe mają różne regulaminy, ich powierzchnie nie są jednorodne. Część każdego parku przeznaczona jest na ochronę ścisłą, inna na czynną, jeszcze inna to tereny rekreacyjne. Park Narodowy Gór Stołowych chwali się, że jest obszarem przyjaznym psiarzom. Mieszkańcy parkowych gmin zwykle mogą zbierać na ich terenie grzyby. Powstanie parku na Wiśle nie oznaczałoby odcięcia warszawiaków od rzeki, ale to, że umawiamy się, iż dzika Wisła ma ogromną wartość i chcemy ją chronić dla przyszłych pokoleń.

Z zachowaniem jej funkcji rekreacyjnych?

W pewnych rejonach tak. Ale w rezerwatach, np. na Wyspach Zawadowskich, już nie. Tam, zgodnie z przepisami, rekreacja dozwolona nie jest. I ktoś powinien wreszcie tego przypilnować, szczególnie w czasie ptasich lęgów. Dziś akcje ochrony inicjują przyrodnicy, w czynie społecznym przybijając tabliczki z informacją o zakazach. Powinny to robić służby opłacane z publicznych pieniędzy.

Na warszawskim odcinku Wisły dużo jest też działalności komercyjnej. W cieplejszej połowie roku po rzece pływa coraz więcej motorówek.

Pływają szybko, bo z uwagi na charakter rzeki na odcinku miejskim, gdzie nie ma mielizn, jest to łatwe. Poza miastem jest trudniej. Oczywiście park narodowy mógłby to jakoś uregulować, co nie znaczy, że usunąć. Trzeba by pomyśleć o wydawaniu licencji związanych z poziomem hałasu pojazdu albo emisji spalin.

Środowisko wodniackie może stanąć parkowi na drodze?

Nie utożsamiajmy komercyjnych rejsów ze środowiskiem wodniaków. Od wielu lat działają na rzecz ochrony Wisły, choćby wokół Portu Czerniakowskiego. Pływają po rzece przez cały rok, a nie tylko latem, rzeka zaś jest ich sposobem życia, a nie zarabiania. Powtarzają, że Wisła nie ma dziś gospodarza i że bardzo tego gospodarza potrzebuje.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Babel

Nazwanie ma istotny wpływ na ludzką podświadomość – twierdził Zygmunt Freud. Biblia hebrajska obfituje w znaczące imiona i nazwy własne, nierzadko podane do wiadomości czytelnika wraz z ich etymologią ludową. „Przeto nazwano imię jego Babel; gdyż tam pomieszał (hebr. *balal*) Wiekuisty mowę całej ziemi" (Rdz 11, 9; Cylkow) – tak poznajemy nazwę nieukończonego kompleksu złożonego z miasta i wieży, która w zamyśle jej konstruktorów miała sięgać nieba. Nie trzeba daleko szukać bardziej prawdopodobnej etymologii – wystarczy, pozostając w rodzinie języków semickich, wyjść krok poza hebrajski, i już mamy „bramę boga". Właśnie tak w Sumerze, kojarzonym z biblijnym Szin'arem (zob. wers 2), nazywano zikkuraty – świątynie mające umożliwić bogom zejście na ziemię. W swoim założeniu – co można wyczytać z zachowanych inskrypcji – winny sięgać nieba. Wnętrze zikkuratów budowano z suszonych na słońcu cegieł, warstwę zewnętrzną zaś stanowiły cegły wypalane w piecu (por. wers 3 – w Kanaanie do budowy używano kamienia).

Gdzie zaczęto wznosić „wieżę Babel"? Przez wieki utożsamiano ją z ruinami świątyni boga Nabu w Borsippie, gdzie odnaleziono inskrypcję króla Nabuchodonozora II, traktującą o porzuconej niegdyś budowie, dokończonej przez monarchę. Pod koniec XIX wieku odkryto wśród pozostałości miasta Babilon budowlę sakralną poświęconą Mardukowi. Nieopodal znajdował się wysoki na blisko 100 m zikkurat z dwoma sanktuariami – w podstawie i na szczycie. Wzniesiono go najprawdopodobniej za czasów Hammurabiego, kilkakrotnie ulegał zniszczeniu, a odbudowywał go też Nabuchodonozor II. Opis tego zikkuratu znajduje się w „Dziejach" Herodota. Pisze on o budowli poświęconej Zeusowi Belusowi – czyż nie ciekawie zhellenizował imię boga Bela? Historyk twierdzi, że na szczycie znajduje się pomieszczenie z pięknym ponadwymiarowym łożem i złotym stołem, a nocuje w nim kobieta, którą bóg sam sobie wybrał spośród wszystkich kobiet tej ziemi.

Wbrew dość powszechnemu wśród niespecjalistów przekonaniu, motyw pomieszania języków pojawia się w literaturze starożytnego Bliskiego Wschodu. W sumeryjskim eposie „Enmerkar i pan Aratty" bóg Enki, na prośbę króla Uruku, miesza języki ludziom, którzy dotychczas posługiwali się jedną mową. Wedle 10. rozdziału Księgi Rodzaju, Babel znajdował się w królestwie Nimroda – myśliwego. Enmerkar, król Uruku, to „Enmer – myśliwy", który rozpoczął budowę zikkuratu Eridu. Budowla nie została ukończona, a jej pozostałości znajdują się na południe od Ur.

Trzy hipotezy dotyczące lokalizacji – tymczasem wieża Babel jest przede wszystkim w nas samych, pysznych i pielęgnujących podziały między ludźmi. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Bez złudzeń, proszę

Paweł Apostoł w Liście do Tesaloniczan, wspominając swój pobyt u nich, pisze: „U nikogo nie jedliśmy za darmo chleba, ale pracowaliśmy w trudzie i zmęczeniu, we dnie i w nocy, aby dla nikogo z was nie być ciężarem". Rzeczywiście, wyrabiając namioty, apostoł zarabiał na swoje utrzymanie i towarzyszy. Następnie pisze: „Kto nie chce pracować, niech też nie je. (...) Przeto nakazujemy i napominamy, w Panu Jezusie Chrystusie, aby pracując ze spokojem, własny chleb jedli". Autorzy lekcjonarza ten tekst, jak by nie było, o prozie życia, zestawili z taką oto wypowiedzią Jezusa: „Uważajcie, abyście nie zostali wprowadzeni w błąd! Pojawi się bowiem wielu takich, którzy w Moje imię będą mówić: »Ja jestem« oraz: »Nadchodzi czas«. Nie idźcie za nimi! A kiedy usłyszycie o wojnach i rozruchach, nie trwóżcie się. (...) Będą was wydawać nawet rodzice i bracia, krewni i przyjaciele. A niektórych z was zabiją". Niechętnie, najdelikatniej mówiąc, słucha się tego rodzaju proroctw. Nawet spuentowanych w taki sposób: „Ale nie zginie nawet włos z waszej głowy. Dzięki swej wytrwałości zyskacie wasze życie".

Całe wieki przyzwyczaiły nas do Boga, który w odpowiedzi na nasze prośby (im bardziej intensywne i dłużej trwające, tym lepiej) wylewa na nas „strumienie łask", w tym najbardziej pożądaną – łaskę zdrowia. Wystarczy być na tzw. mszy zbiorowej lub na nowennie do któregoś ze świętych, by się o tym przekonać. Jak refren powtarzają się prośby o zdrowie, o wiele innych rzeczy i dopiero na końcu „o Boże błogosławieństwo i wszystkie potrzebne łaski", najczęściej z dopiskiem za „pośrednictwem Matki Boskiej". Taka kolejność próśb wskazuje na to, co w życiu jest dla nich najważniejsze. Tymczasem, gdy decydujemy się na związanie swego losu z Bogiem, powiedzenie Bogu: „jesteś moim Ojcem" wiąże się z wielkim ryzykiem. Pamiętamy przecież, co spotkało w życiu Syna Bożego Jezusa i jego Matkę, pierwszą chrześcijankę. A więc, chcąc być uczciwym względem Boga, wcześniej lub później swój sposób myślenia i postępowania trzeba będzie postawić na głowie. Paradoksalnie, dzięki temu okaże się, że wreszcie stoimy na nogach.

Jeśli wypowiedzi Jezusa i Pawła Apostoła nas zaniepokoją albo rozdrażnią, to znaczy, że wreszcie dotarło do nas Słowo Boże i Bóg naszymi rękoma zaczyna odzierać nas „z dobrego o sobie mniemania", ze złudzeń wynikających z przekonania, że dzięki Bożej łasce i błogosławieństwu, wyproszonym przez nas i innych, będzie się człowiekowi żyło dłużej, łatwiej i przyjemniej. Los Jezusa i jego świętych świadczy o czymś wprost przeciwnym, oni przecież żyli i działali na dnie przeróżnych piekieł – jak choćby dzisiaj na białoruskiej granicy i w Ukrainie. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Rachunek z posiadania władzy

„Co ja pocznę, skoro mój pan odbiera mi zarządzanie?”. Wiele razy czytałem Jezusową przypowieść o „niegodziwym” rządcy (zob. Łk 16, 1-8), ale nigdy to pytanie nie uderzyło mnie tak mocno, jak podczas ostatniej lektury. Może dlatego, że wypadła ona w piątą rocznicę mojego ingresu do katedry łódzkiej...

„Co ja pocznę, gdy przestanę być zarządcą?”. To pytanie, które łatwo może nas dopaść. Niepokoić. Zdekonspirować. Obnażyć. Zmobilizować. Postawić do pionu. Nawrócić.

Kim będę, gdy zostanie mi zabrana władza? Pozycja? Kierownictwo? Funkcja? Rola? – pytanie liderów, dyrektorów, proboszczów, biskupów, kierowników katedr, ministrów... Wszystkich, których dopadł wiek emerytalny. Czy będę jeszcze kimś? Czy będę cokolwiek znaczył? Czy będę komuś potrzebny?

To przedziwne! Zawsze, gdy czytałem tę przypowieść, rozmyślałem niemal wyłącznie o tym, co jest (niewątpliwie) jej przekazem zasadniczym – to znaczy o tym, że przychodzi w życiu moment, gdy „kończy się mamona” (Łk 16, 9). Dziś jednak usłyszałem, że nie tylko mamona się kończy; kończy się również władza – „zarządzanie”. Tak. Z całą pewnością w niebie nie ma hierarchii; nie ma rządzących i rządzonych – wszystko doskonale poddane jest jedynie Bogu, i wszystkim we wszystkich jest Chrystus. Niebo jest „demokratyczne”.

Co więcej, w jakiejś mierze demokratyczna jest również dopiero co wspomniana emerytura: na niej przestajesz już rządzić; liczy się nie tyle, ilu i jakich masz podwładnych, lecz po prostu to, kim jesteś. Jakim jesteś człowiekiem – sam w sobie, nie przez kontrast w stosunku do innych. Jaką masz pasję? Czemu (Komu!) oddajesz życie? Co robisz z wolnym czasem? Czy jeszcze się rozwijasz?

I to jest moment daleko i głęboko skrutacyjny – prześwietla nie tylko twoje „teraz”, ale i cały okres poprzedni – cały czas, kiedy byłeś „rządcą”.

Kiedy przychodzi „zdać sprawę ze swojego zarządu”, liczy się nie to, ilu ludzi ci podlegało i ile na tym zyskałeś; liczy się, komu pomogłeś. Ilu zyskałeś prawdziwych przyjaciół. Komu twoje „zarządzanie” przyniosło dobro.

W ostateczności – bez używania równie górnolotnych, co moralizatorskich fraz – przypowieść mówi po prostu, że władza jest służbą. I jest nią na chwilę (dłuższą, krótszą). Bez niej nie jesteśmy mniej warci i niepotrzebni. ©

Podczas rozmowy trzymajcie napastliwość z dala.

PRZYPISYWANE ANTONIEMU WIELKIEMU

Cisza napięta, gdy wszystko w nas się gotuje, zabija nas. (...) Cisza dobrowolna, świadoma, zamierzona, to cisza szlachetna. W szlachetnej ciszy jest jakaś lekkość.

THICH NHAT HANH

Wybrał PIOTR SIKORA

CZYTANIA LITURGICZNE (13-20 XI)

33. niedziela zwykła: Ml 3, 19-20a; Ps 98; 2 Tes 3, 7-12; Łk 21, 5-19;
Poniedziałek: Ap 1, 1-4; 2, 1-5a; Ps 1; Łk 18, 35-43;
Wtorek: Ap 3, 1-6. 14-22; Ps 15; Łk 19, 1-10;
Środa: Ap 4, 1-11; Ps 150; Łk 19, 11-28;
Czwartek: Ap 5, 1-10; Ps 149; Łk 19, 41-44;
Piątek: Ap 10, 8-11; Ps 119; Łk 19, 45-48;
Sobota: Ap 11, 4-12; Ps 144; Łk 20, 27-40;
Niedziela, uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata: 2 Sm 5, 1-3; Ps 122; Kol 1, 12-20; Łk 23, 35-43.

SAMUEL DE ROMAN / GETTY IMAGES

KRAJ

TAJEMNICA MICHNIKA

Wśród kojarzonych z naszą niepodległością figur trudno znaleźć bardziej polską. Są w niej romantyczne porywy, młodzieńczy heroizm, ale również wielkopańska pycha, krocząca przed upadkiem. Czy jest też mądrość, przychodząca, kiedy nikt nie słucha?

MICHAŁ OKOŃSKI

Prorokiem we własnym kraju nie jest już od lat i pewnie niejeden z czytelników powiedziałby, że to dobrze, zwłaszcza jeśli się przeanalizuje losy wielu jego proroctw, z których ostatnim, jakie odbiło się szerokim echem, było to z 2015 r. – wedle niego Bronisław Komorowski miał przegrać wybory prezydenckie tylko w przypadku, gdyby pijany przejechał na pasach zakonnicę w ciąży. Zasadnicze teksty publikuje rzadko i żaden z nich nie zbliża się rangą do tych, które przed kilkudziesięcioma laty zapewniły mu miejsce wśród klasyków polskiego eseju. Ostatni duży wywiad we własnej „Gazecie Wyborczej" – przeprowadzony w 2021 r. przez Dominikę Wielowieyską pod tytułem „Wierzę w tajemnicę" – spotkał się z polemikami nawet na jej łamach. W roli czarnego luda polskiej prawicy zastąpił go Donald Tusk. Wydane w ciągu ostatnich dwóch lat książki na jego temat – „Demiurg" Romana Graczyka i „O Michniku" Roberta Krasowskiego – nie stały się przedmiotem debat odzwierciedlających zarówno cechującą autorów pasję, jak realne znaczenie bohatera dla historii Polski minionych sześciu dekad.

Wygląda na to, że 76-letni Adam Michnik słuchany jest dziś wyłącznie za granicą, gdzie otrzymuje kolejne nagrody i gdzie wygłasza przy okazji mowy, w których diagnozuje kondycję demokratycznego świata, zagrożonego od lat przez te same demony: „agresywnego populizmu, nacjonalizmu, autorytaryzmu", „pogardy wypowiadanej językiem totalitarnej lewicy bądź totalitarnej prawicy", „wrogości do tego, co najcenniejsze w tradycji europejskiej – do miłosierdzia tradycji chrześcijańskiej oraz do rozumu tradycji wieku świateł", że zacytuję ubiegłotygodniową mowę z okazji przyznania mu Nagrody Księżniczki Asturii.

Na gali Nagrody Księżniczki Asturii. Teatr Campoamor w Asturii, Hiszpania 28 października 2022 r.

Złoty chłopiec

Dlaczego przestał być słuchany w Polsce, powiedzieć pewnie łatwo – zacznijmy jednak od tego, dlaczego wcześniej słuchany był tak uważnie i dlaczego jego głos znaczył tak wiele. Pierwszy raz usłyszał o sobie jako o wrogu ideologicznym PRL-u już w lipcu 1963 r., jako 17-letni przywódca młodzieżowego Klubu Poszukiwaczy Sprzeczności. Jego działalność napiętnował na plenum KC PZPR Władysław Gomułka – a powiadomiony o tym fakcie przez Jacka Kuronia, Michnik miał powiedzieć: „Daj mi spokój z głupstwami, mam poprawkę z fizyki". Jego rodzice, jak sam opowiadał, „wywodzili się ze środowisk żydowskich i byli przed wojną komunistami" (ojca za sanacji więziono), później jednak poznali prawdziwe oblicze ustroju podczas wojny, spędzonej w stalinowskim ZSRR.

W PRL-u nie mieli już złudzeń, ale z pewnością należeli do uprzywilejowanych; dzieciństwo Michnik spędzał tyleż w zamieszkałej przez elitę systemu warszawskiej alei Przyjaciół, co na obozach zorganizowanego przez Kuronia tzw. hufca walterowskiego. „Wpajano nam: ważny jest zespół, a w tym zespole ważny jest drugi człowiek. Każdy ma prawo do własnej opinii i każda opinia musi być wysłuchana" – opowiadał o formacji, jaką odebrał w „czerwonym harcerstwie". Graczyk twierdzi, że właśnie tam mały jąkała wyzbył się nieśmiałości i stał się liderem rozdyskutowanej młodzieży.

Uzdolniony był wybitnie; już jako ósmoklasista chłonął zakazywane w PRL-u, ale dostępne w domowej bibliotece lektury, m.in. wydawanego na emigracji Miłosza. Jako 18-latek dostał, najpewniej dzięki wpływom rodziców, paszport i odbył pierwszą podróż na Zachód. Z dzisiejszej perspektywy trudno sobie wyobrazić, jakiej brawury wymagały od owego „ślicznego blond aniołka" (tak zapamiętała go Zofia Romaszewska) odwiedziny u Jana Nowaka Jeziorańskiego w siedzibie Radia Wolna Europa i Jerzego Giedroycia w Instytucie Literackim. W każdym razie była to zapowiedź epoki, w której nazwisko „Michnik" brzmiało wręcz jak „Kmicic", w rozumieniu: synonim odwagi nieliczącej się z konsekwencjami.

Po raz pierwszy do aresztu trafia jako 19-latek zaprzyjaźniony z autorami „Listu otwartego do członków partii", Kuronia i Karola Modzelewskiego. W trakcie serii przesłuchań, mimo kompletnego braku doświadczenia (zasady postępowania ↦

↦ w przypadku aresztowania i śledztwa miały się wykształtować wśród uczestników raczkującej opozycji dopiero w następnej dekadzie), milczy lub zaprzecza. Nie będzie to ostatni raz, kiedy Adam Michnik znajdzie się o krok przed wszystkimi.

Lew i jeleń

Co było dalej, można przeczytać w podręcznikach mówiących o naszej historii i teraźniejszości. Ferment wywoływany na Uniwersytecie Warszawskim przez grupę, do której należy – nazywaną już wówczas „komandosami" („Jego charyzma polegała na tym, że mówił to, co my wszyscy myśleliśmy – ale tylko myśleliśmy – lub myśleliśmy, że możemy pomyśleć – wspominał jeden z jej uczestników, Bronisław Świderski. – Pociągało w nim to, że mówił – jąkając się, a zatem pokonując i władzę, i siebie – rzeczy, których wtedy nie wolno było wypowiadać na głos"). Protest przeciwko zdjęciu z repertuaru Teatru Narodowego „Dziadów" Kazimierza Dejmka. Usunięcie z uczelni. Wydarzenia marcowe, po których staje się głównym obiektem ataków przystrojonych w narodowe szaty i grających antysemicką kartą propagandzistów PRL-u. Więzienie, w którym spędza półtora roku, instruując za pomocą grypsów mniej doświadczonych kolegów, jak zachować się w śledztwie („Prawdopodobnie zafundowałeś kilku osobom proces i wyrok. Masz jeszcze ostatnią szansę uratowania honoru i twarzy, bo dupy [podobnie jak i ja] i tak nie uratujesz. Musisz natychmiast odwołać wszystkie zeznania dotyczące innych osób..."). Po wyjściu – zbliżenie z nastawionymi opozycyjnie katolikami z kręgów „Tygodnika Powszechnego", „Więzi" i KIK-u, a także rola nieformalnego sekretarza Antoniego Słonimskiego, będącego od czasów międzywojnia ikoną liberalnej inteligencji.

To wtedy staje się lwem warszawskich salonów: błyszczy erudycją i dowcipem, komplementuje aktorów i pisarzy, podbija serca męskie i łamie kobiece; z pewnością nie da się stworzyć portretu Adama Michnika bez owego rysu uwodziciela, tłumaczącego zresztą także i to, dlaczego niejeden z zakochanych w nim przed laty, dedykujących mu swoje utwory albo z zachwytem realizujących jego pomysły luminarzy polskiej kultury atakować go będzie w przyszłości z taką intensywnością.

ARCHIWUM ZESZYTÓW LITERACKICH / FOTONOVA

Z Sewerynem Blumsztajnem, Barbarą Toruńczyk, Grażyną Kuroń i Jackiem Kuroniem w Łazienkach, Warszawa, 1967 r.

„Namiętna miłość do samego siebie", o której pisała w tym kontekście na kartach swojego dziennika Halina Mikołajska, czy bycie „jeleniem na rykowisku" (jak przedstawia go cytowana przez Graczyka Anka Kowalska) to wszakże inny temat, podejmowany zresztą skwapliwie przez autorów mu niechętnych; w tamtym czasie na pierwszy plan wybijała się z pewnością niepodległość Michnika.

Rana na czole

Kiedy czyta się – cytowane przez Graczyka – sprawozdania z rozmów, jakie esbecy odbywają z nim w latach 70., trudno nie być pod wrażeniem hardości, z jaką traktuje funkcjonariuszy systemu: zaproszony na rozmowę przez telefon, w 1973 r. odpowiada, że „absolutnie nie dysponuje czasem, nie ma do nas żadnego interesu i nie ma przyjemności z nami się widzieć, na wezwanie telefoniczne nie zgłosi się". „Wyjadę do Izraela na drugi dzień po tym, jak pan wyjedzie do ZSRR" – odpowiada bezczelnie przy innej okazji. Do Izraela, mimo presji funkcjonariuszy, oczywiście nie wyjeżdża, za to w 1976 r., kiedy niespodziewanie znów dostaje paszport, wyrusza na Zachód i spędza tam blisko rok, stając się ambasadorem rozwijającej się właśnie działalności KOR.

Jest już wówczas po pisarskim debiucie, choć ze względu na kontrowersje, jakie budzi jego nazwisko, w „Więzi" czy paryskiej „Kulturze" publikuje pod pseudonimem. Od początku specjalizuje się w eseistyce historycznej, w której losy bohaterów sprzed wieku czy dwóch będą stanowić przesłanie dla współczesnych. Niejeden czytelnik opublikowanego po latach w „Gazecie Wyborczej" tekstu „Rana na czole Adama Mickiewicza" będzie się oburzać na tę metodę z powodu zaprzęgania „Dziadów" i filomatów do sprawy pogruchotania przyjaciół Michnika podczas śledztw pomarcowych. Jednak w 1975 r., kiedy pisze „Spór o pracę organiczną" czy „Cienie zapomnianych przodków", wydaje się ona olśniewająco świeża.

Inna sprawa, że gdy Michnik zauważa, iż „naród żyjący w niewoli nie może się składać wyłącznie z bohaterskich konspiratorów", ale „biada takiemu narodowi, który swych spiskowców uważa za niedowarzonych młodzików czy wynarodowionych demagogów" – to w akapicie tym można dopatrzyć się tyleż odniesienia do dylematów Piłsudskiego z pierwszych lat XX wieku, co własne zestawienie z Piłsudskim; od początku mierzył wysoko.

A był wówczas i tak przed najważniejszą – także z perspektywy dzisiejszego odrzucenia – książką.

Dzieło życia

Wydany po raz pierwszy w 1977 r. u Giedroycia „Kościół – lewica – dialog" to tyleż rozliczenie (także osobiste) ze stosunku „lewicy laickiej" do katolicyzmu w Polsce po 1945 r., co wezwanie do jego przepracowania. Po latach krytycy Michnika – co ciekawe, i z prawej, i z lewej strony barykady – uznawać będą to dzieło za z gruntu polityczne, w tym sensie, że położyło podwaliny pod – będący kluczem do sukcesu Solidarności, trwający w latach 80. i umożliwiający przełom 1989 r. – sojusz inteligencji, robotników i ludzi Kościoła.

Autor diagnozuje przy okazji postawę częstego i dziś, pełnego pychy przekonania, że tylko wyznawcy światopoglądu oświeceniowego znają prawdziwą drogę postępu, i przypomina, że postawa ta prowadziła do stosowania przemocy i zamykania „nieuświadomionych o potrzebie nieuchronności Nowego Ładu" w łagrach. Prawie pół wieku później, w kompletnie zmienionych okolicznościach historycznych, będzie zresztą te diagnozy powtarzał, sprzeciwiając się np. *cancel culture* albo dystansując wobec radykalnego języka protestów przeciwko zaostrzeniu prawa antyaborcyjnego przez Trybunał Konstytucyjny Julii Przyłębskiej.

Konsekwencje tamtego zbliżenia z Kościołem będą dla ustroju III RP faktycznie spore: w rozmowie z Wielowieyską Michnik tłumaczyć się będzie nawet z wprowadzenia religii do szkół czy konkordatu. Zarzuty bardziej fundamentalne postawi mu w „Prześnionej rewolucji" Andrzej Leder, pisząc, że skutkiem programu Michnika było oddanie przez lewicę pola w sporze natury kulturowej: że „wyrzeczenie się laickości i antyklerykalizmu otworzyło drogę do sytuacji, w której quasi-monopol na nazywanie dylematów moralnych uzyskała myśl katolicka".

„Dlaczego uparcie uważasz, że nie ma moralności bez Ewangelii?" – to pytanie, które Wielowieyska zadawała mu „w imieniu młodych ludzi w naszej redakcji", ale przecież w czasach, gdy na młodzieżowych imprezach „Barkę" śpiewa się dla beki, nie ogranicza się ono do środowiska skupionego wokół jednej gazety.

Kłopot i krzyż

Ciekawy jest ten mechanizm koncentracji oburzenia – znany Michnikowi skądinąd z ataków niejednego hierarchy i niejednego prawicowego publicysty, pojawiających się już wtedy, gdy np. w pochodzącym z 1987 r. eseju „Kłopot" przestrzegał przed scenariuszem, w którym „państwem rządzić będzie totalitarny aparat władzy, a społeczeństwem obywatelskim katolicki kler", z nauk Jana Pawła II zaś pozostaną frazesy. W jego publicystyce od początku obecne były przecież oba te bieguny – afirmacji dla ewangelicznej nauki i krytyki kościelnej praktyki.

Z pewnością więc nie da się Michnika uczynić „głównym winowajcą" zarówno tego, że polskie społeczeństwo jest w większości katolickie i szuka w kościołach odpowiedzi na pytania o sens życia, a polska tradycja i kultura pozostaje spleciona z chrześcijaństwem, jak i tego, że w obliczu ociekającego hipokryzją państwowo-kościelnego rytuału coraz więcej młodych postanawia się „odjaniepawlić". Ciekawe zresztą, czy patrząc na dzisiejszych kontestatorów, widzi samego siebie z czasów antyklerykalnych gestów czerwonego harcerstwa i ma w uszach konkluzję ks. Józefa Tischnera, że „wyście tego narodu kompletnie nie rozumieli"?

W gruncie rzeczy w swoim pisaniu i mówieniu o Kościele Adam Michnik opowiada o przeżyciu najgłębiej osobistym – choć w latach 70. było ono udziałem wielu przedstawicieli tamtego pokolenia, nie tylko w Polsce. „Być nieposłusznym w pewnym określonym stylu to jest to, czego ja z chrześcijaństwa się nauczyłem – mówi Wielowieyskiej (celowo cytuję rozmowę z 2021 r., bo odbywa się ona już w kontekście protestów przeciwko zaostrzaniu ustawy antyaborcyjnej czy upowszechnienia wiedzy na temat roli Jana Pawła II w tuszowaniu skandali pedofilskich). – I ja nie umiałbym powiedzieć, że jestem ateistą. Ja wierzę w tajemnicę".

„Boję się odrzucenia Dekalogu i odwrócenia od tradycji, boję się, że uczniowie nie będą wiedzieli, kim był Jezus. To nieusuwalny składnik naszej tradycji i oś europejskiego systemu wartości" – mówi dziś Adam Michnik. Cytuje Zygmunta Baumana, że „ludzkość bez Boga jest nie do wyobrażenia". I pyta młodą lewicę: „Chcecie tradycję wykorzenić? To jest nasz naród, on ma taką, a nie inną historię i rugowanie tego jest absurdem. I zwracam uwagę, że nawet jeśli będziecie budować osobny system wartości poza wiarą, to w gruncie rzeczy on przecież i tak będzie się pokrywał z najbardziej fundamentalnymi postulatami samej Ewangelii i z Dekalogiem".

Zgroza?

Wysokie loty

A może raczej konsekwencja? Mówił to przecież i pisał, zanim jeszcze upadł komunizm. We wspomnianym „Kłopocie", nawiązując do przywoływanych przez Leszka Kołakowskiego figur kapłana i błazna, próbuje zintegrować unoszące się nad polską kulturą lat 80. figury kardynała Stefana Wyszyńskiego i Witolda Gombrowicza. Zwracając się do „bezdomnego, niepokornego inteligenta", który jak Wyszyński widzi potrzebę narodowego *sacrum* i jak Gombrowicz chce z niego szydzić, radzi: „Bądź tedy pobożny, niepokorny inteligencie, ale nie wyrzekaj się sceptycyzmu – choćby w świecie politycznych zaangażowań. Uczestnicząc w antytotalitarnej wspólnocie, chroń swoją bezdomność; dochowując wierności narodowym korzeniom, pielęgnuj permanentne niezakorzenienie; w świat rozchwianych norm moralnych wnoś jasną prostotę ewangelicznych nakazów (»tak – tak«; »nie – nie«"), a gładki świat wartości urzędowo skodyfikowanych nasycaj śmiechem błazna i wątpieniem libertyna. Bowiem przeznaczeniem twoim nie jest ani świętowanie politycznych wiktorii, ani schlebianie własnemu narodowi. Masz dochować wierności sprawom przegranym, mówić rzeczy nieprzyjemne, budzić sprzeciw. Masz zbierać cięgi od swoich i od obcych, »bo tylko tak zdobędziesz dobro, którego nie zdobędziesz«".

Cytując „Przesłanie Pana Cogito" znów mierzył wysoko – ale też pisząc te słowa faktycznie był bardzo wysoko. W karnawale Solidarności jego wpływy na realną politykę związku nie były wprawdzie wielkie, ale na emocje uczestników ruchu spore, zwłaszcza kiedy objeżdżał kraj z serią świetnie przyjmowanych wykładów. Spore było również znaczenie, jakie jego ówczesnej aktywności przypisywali przywódcy Związku Sowieckiego: o tym, że nazwiska Kuronia i Michnika Leonid Breżniew wymieniał potępieńczo w rozmowach z przybyszami z Warszawy, wspominał ówczesny I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania. Nic dziwnego, że po wprowadzeniu stanu wojennego spędził w więzieniu – z niewielką przerwą – cztery i pół roku.

Honor Polaków

Niewielu spośród jego krytyków jest w stanie zatrzymać się w tym miejscu. Przyznajmy: może i dlatego, że sam Michnik wielokrotnie mówił, iż czas osadzenia znosił fantastycznie, że był to dla niego okres płodny pisarsko i że miał również owo szczególne poczucie wyjątkowości, przebijające z wyznania, iż czuł się człowiekiem, „któremu na pięć minut Pan Bóg powierzył honor Polaków". Dyskutując jednak nad kwestią, czy tego poczucia kiedykolwiek w przyszłości się wyzbył, albo czy nie nazbyt hojnie obdzielał owym honorem komunistycznych generałów po roku 1989, trudno zaakceptować łatwość, z jaką np. Robert Krasowski ↦

↦ dyskwalifikuje jego ówczesne bohaterstwo jako niespełniające kryteriów „cichego, pokornego, anonimowego, właściwego ludziom, dla których liczy się osąd własnego sumienia”.

Owszem, po latach więzienne didaskalia z ówczesnych tekstów Michnika mogą wydawać się nadmierne, a znowuż zapewnienia, że się nie ugnie, że „woli być wolnym w więzieniu niż niewolnikiem poza jego murami” – brzmią patetycznie. Jednak można je uznać również za formę autoterapii. Zwierzał się zresztą, że miewa więzienne koszmary, a kiedy siedział, umierał mu ojciec. O tym zaś, że jego prześladowcy byli skłonni do przemocy, świadczy nie tylko zachowany w archiwum IPN film, na którym jest bity przez zirytowanych stawianym przezeń oporem klawiszy.

KRZYSZTOF MILLER / AGENCJA WYBORCZA.PL

Cena poklasku

Był wówczas ikoną antykomunistycznego radykalizmu – idolem już nie tylko warszawskich salonów, ale właściwie całej zepchniętej do podziemia Solidarności, a zwłaszcza jej najmłodszych sympatyków. Im bardziej go wówczas kochali, z im większym zapałem cytowali choćby słynny list do Kiszczaka, w którym odrzucał ofertę zwolnienia z więzienia w zamian za wyjazd za granicę (list rozpoczyna się mottem z pisma księcia Józefa Poniatowskiego do targowiczanina Seweryna Rzewuskiego, co kolejny raz pokazuje horyzont ról, w jakich się obsadzał) – z tym większą niechęcią przyjmowali niezrozumiałą dla nich „fraternizację” z dawnymi wrogami w pierwszych latach III RP. Trudno w tym miejscu nie zauważyć przestróg zaprzyjaźnionego z nim Tischnera: „Posyłając do Kiszczaka list, mogłeś opublikować jego treść albo pozostawić sprawę między wami dwoma... Już wtedy pomyślałem sobie: »Oj, zapłacisz ty, Adasiu, za ten poklask mas, drogo za to zapłacisz«”.

Inna sprawa, że czytając po latach kaznodziejskie niemal frazy z tamtego dokumentu, można zatrzymać się przy jednym z końcowych fragmentów i kolejny raz uznać późniejsze zachowania Michnika za przejaw zwyczajnej konsekwencji. W grudniu 1983 r., tuż przed świętami, pisze tak: „Sobie zaś życzę, abym – tak jak zdołałem w Otwocku dopomóc w uratowaniu życia kilku Pańskim podwładnym [w maju 1981 r. powstrzymał przed samosądem tłum szturmujący tamtejszy posterunek milicji – MO] – umiał być na miejscu w samą porę, gdy będzie Pan zagrożony i zdołał także Panu dopomóc. Abym umiał raz jeszcze być po stronie ofiar, a nie wśród oprawców”.

Problem w tym, że dekadę później Adam Michnik nie był już bezbronnym więźniem systemu, tylko człowiekiem, który miał zasadniczy wpływ na kształtowanie nowego polskiego państwa. A obywatele tego państwa – niezależnie od osobistej zdolności do przebaczenia – domagali się także sprawiedliwości.

Sen Nowosilcowa

U szczytu popularności i sławy był w 1989 r. „Przy Okrągłym Stole miałem przekonanie, że złapałem Pana Boga za nogi – wspominał. – Byłem tak sobą zachwycony, jak nigdy przedtem i nigdy potem”. Wkrótce wystarał się u Lecha Wałęsy o posadę redaktora naczelnego opozycyjnej gazety, na której wydawanie zgodzono się podczas rozmów z władzami. W wyborach czerwcowych został posłem. Pisząc artykuł „Wasz prezydent, nasz premier” stał się w oczach Polaków architektem kluczowej dla zmiany ustroju decyzji; jak pisze Krasowski „twórcą królów, rozgrywającym polskiej polityki”, zwłaszcza że zaraz po publikacji tego tekstu z jego tezami polemizował człowiek, który za chwilę stanął na czele rządu – Tadeusz Mazowiecki. Choć pomysł rodził się wcześniej w głowach wielu opozycjonistów, choć później kluczowe negocjacje prowadzili bracia Kaczyńscy, fakt, że o wszystkim napisał opozycyjny dziennik, okazał się przełomowy. A autor tekstu przekonał się, jak potężnym narzędziem może być w tamtym czasie gazeta.

Napisałem, że był to szczyt popularności i sławy, choć mogłoby się wydawać, że w następnych latach Michnik będzie jeszcze potężniejszy. Redagowane przezeń pismo wyznaczało trendy politycznych dyskusji jak dzisiaj Twitter i ustalało kulturalne mody i hierarchie jak dzisiaj influencerzy. „Żyliśmy w czasach, w których Adam Michnik wybornie znał się na poezji”, podsumował to zjawisko Marcin Świetlicki. Naczelnego „Gazety” słuchali także niedawni przeciwnicy – w czasach prezydentury Aleksandra Kwaśniewskiego traktowano go niemal jak wiceprezydenta. Jeszcze na początku XXI wieku w wielu środowiskach spojrzenie ukosem i zmarszczenie brwi Michnika wydawało się pochodzić ze snu Nowosilcowa. Wydawca dziennika, koncern Agora, był wtedy potęgą na rynku mediów, a w dodatku wejście spółki na giełdę i połączona z nim emisja akcji wśród pracowników uczyniły wielu dziennikarzy „Gazety” ludźmi bardzo bogatymi – Michnik w swoim stylu odmówił przyjęcia udziałów, które uczyniłyby go milionerem.

Walki z wiatrakami

Politycznie jednak w latach 90. naczelny „Gazety” ponosił klęskę za klęską. W zasadzie jedynym projektem, za którym się opowiadał i który udało się zrealizować, okazało się wstąpienie Polski do UE i NATO, był to jednak projekt przekraczający partyjne czy ideowe barykady, w których wznoszeniu wiódł w owych czasach

TOMASZ GZELL / PAP

Podczas przesłuchania przez sejmową komisję śledczą w tzw. sprawie Rywina. Warszawa, 8 lutego 2003 r.

Po lewej: w drukarni nad szczotkami pierwszego numeru „Gazety Wyborczej". Dom Słowa Polskiego, Warszawa, noc z 7 na 8 maja 1989 r.

prym. Każde jego kolejne poparcie dla kandydatury polityka czy partii okazywało się pocałunkiem śmierci. A wojna ze zwolennikami ustawy lustracyjnej i twórcami IPN zakończyła się poparciem dla obu tych projektów nawet polityków z najbliższej mu Unii Wolności – trudno o bardziej dobitną ilustrację traconego przez Michnika rządu dusz.

„Nie był w polityce sprawczy, był jedynie głośny" – podsumowuje to Krasowski, ale najciekawsza w jego pamflecie na Michnika wydaje się obserwacja poczyniona mimochodem. Obliczem demokracji jest trywialna normalność, tyle że szef „Gazety" odmawiał przyjęcia jej do wiadomości: „był jak żołnierze japońscy ukrywający się przez wiele dekad w dżunglach Azji Południowo-Wschodniej, wciąż myślący, że wojna jeszcze trwa".

Można z niego szydzić, można widzieć w nim herosa albo mieszkańca La Manchy – pewne jest jedno: po 1989 r. nic się w jego myśleniu o świecie nie zmieniło. Wciąż obawiał się nacjonalizmu i antysemityzmu, straszył duchem Moczara. Krasowski oskarża Michnika, że swoimi jeremiadami wzmocnił tylko postawy, które usiłował zwalczać, poczynając od osławionego „ciemnogrodu", któremu dał tożsamość i protektorów. Jak pisze – gdyby nie jego tyrady, ów „omszały ludek" bredziłby coś o masonach, a tak elektorat Rydzyka, Jankowskiego czy Giertycha zyskał przeciwnika z krwi i kości.

Czy szare jest piękne

Opisując w 1997 r. niedoskonałości demokratycznego świata, tytułował swój tekst „Szare jest piękne" – tak przedstawiał świat, w którym mogą funkcjonować zwolennicy różnych światopoglądów, politycznych programów, wizji przeszłości itd. W swojej publicystyce na tematy polsko-żydowskie, wbrew np. Janowi Tomaszowi Grossowi, potrafił te odcienie szarości pokazywać. „W naszych czasach największym wrogiem prawdy są generalizacje, gdy jednym tchem mówi się »Polacy« albo »księża«" – mówił podczas debaty w 20-lecie publikacji „Sąsiadów". Tu również wydawało się, że jest konsekwentny: kiedy np. w 1986 r. na łamach „Tygodnika Powszechnego" pisał pod pseudonimem o Tomaszu Mannie, wskazywał, iż pisarz ten „wiedział, że każda racja ma swoją kontrrację, że każda konkluzja jest zubożeniem, że przyrodzoną i wspaniałą cechą człowieczej egzystencji jest otwartość, wieloznaczność i wielowarstwowość. Wiedział, że tylko język ironii i życzliwy osąd wszystkich formułowanych racji pozwala na harmonijne uczestnictwo w kulturze".

Tamten tekst nosił tytuł „Don Kichot i wyzwiska". Zważywszy na to, że postać Don Kichota przywołał także odbierając Nagrodę Księżniczki Asturii i cytując zdanie Miguela de Unamuno („Na więcej bowiem szacunku zasługuje błąd, w który ludzie wierzą, niż prawda, w którą nie wierzy nikt"), można chyba powiedzieć, że figura błędnego rycerza należy do wyjątkowo mu bliskich. W toczonych przez siebie bojach rzadko jednak o pięknie szarości pamiętał, przeciwnie: wychodził na manichejczyka, a przykładów, w których wykluczał, piętnował, dzielił świat i ludzi wedle jednej grubej linii, było tak wiele, że aż czuję się zwolniony z obowiązku ich przywoływania. Akurat tu wystarczy obserwacja Rafała A. Ziemkiewicza, który wśród potoku inwektyw na jego temat zawarł trzeźwą uwagę: „Rys autentycznego tragizmu Michnikowi nadaje fakt, że Michnika-intelektualistę zabił nikt inny, tylko Michnik-polityk".

Największą jego klęską była oczywiście ta związana z aferą Rywina, kiedy chyba nie do końca świadomie został obsadzony w roli lobbysty medialnego koncernu, któremu partia rządząca uniemożliwiała wówczas zakup telewizji. Podczas obrad wyjaśniającej aferę sejmowej komisji śledczej upowszechniła się również wiedza o tym, co szef największej w kraju gazety robi po wyjściu z redakcji: z kim pije i jakie interesy dobija. Odmawiając wówczas odpowiedzi na pytania posłów prawdopodobnie chciał być *fair* nawet wobec person pokroju Jerzego Urbana, ale wypadł fatalnie: jego zasłanianie się niepamięcią brzmiało jak robienie idiotów z widowni, która transmisje posiedzeń komisji oglądała wówczas niemal tak łapczywie jak skoki Małysza. Zobaczyła człowieka jak najdalszego od „jasnej prostoty ewangelicznych nakazów", człowieka unurzanego w politycznym błocie. To naprawdę był upadek z cokołu. ↦

Upadła klasa

↦ W ślad za tą klęską człowieka przez lata uważanego za symbol najlepszych tradycji polskiej inteligencji przyszedł – niebędący jej skutkiem, ale być może z nią powiązany – kryzys, jeśli nie kres tej formacji. Gdyby spytać o poczucie przynależności do niej młodsze pokolenia, także wykonujące zawody tradycyjnie z inteligencją wiązane, odpowiedzą szyderstwem, jeśli nie aktem oskarżenia.

„Polska inteligencja jako klasa społeczna jest potworna, nawet jeśli składa się również z ludzi inteligentnych, zacnych i przyzwoitych" – powie np. Szczepan Twardoch, podkreślając, że polski inteligent zawsze będzie wyzywał innych od „chamów". „Inteligencja sprawuje dzisiaj kulturową hegemonię, blokując podmiotowość i możliwość partycypacji innych kategorii społecznych" – streszczał tę postawę przed kilkoma laty na łamach „Znaku" Piotr Kulas.

Co Michnik ma do powiedzenia temu pokoleniu, oprócz oczywiście przestróg (o których aktualności przekona się ono być może w obliczu egzystencjalnych dramatów), by nie rugować zbyt łatwo z własnego życia obszaru transcendencji? Życzliwy mu z pewnością Andrzej Brzeziecki zestawia go z Szymonem Gajowcem z „Przedwiośnia", który musi wysłuchać pretensji tych, którym zapowiadano szklane domy, a którym deweloper uciekł z kasą. „Co ma do powiedzenia ludziom, którzy są za młodzi, by ich papiery leżały w IPN-ie, ale których za to »lustruje« analityk bankowy i w ten sposób decyduje o ich przyszłości?" – pyta autor biografii Mazowieckiego. Krasowski jest brutalniejszy: „Wieś jęczała z głodu, robotnicy z gniewu, Kulczyk z radości, a Michnik ciągle mówił o generałach" – pisze, przywołując klimat intelektualny lat 90. Z pewnością *bête noire* Michnika, Jarosław Kaczyński, więcej rozumiał z tego, na co wówczas chorowała III RP.

> Gdyby spytać młodsze pokolenia o poczucie przynależności do inteligencji, odpowiedzą szyderstwem, jeśli nie aktem oskarżenia.
> **Czy Michnik ma im coś do zaoferowania?**

Takie czasy

Jest w tym arcypolskim losie moment dotąd nieopisany, ba: kompletnie dotychczasowych biografów Michnika nieinteresujący, choć trwający przez niemal dwa lata: na 500 stronach Graczyka mamy o nim jeden akapit, oparty w większości na aktach IPN, na ponad 400 stronach książki Cyrila Bouyeure'a – równie mało. Po pierwszym wyjściu z więzienia i z wilczym biletem Adam Michnik pracuje jako robotnik w Zakładach Wytwórczych Lamp Elektrycznych na warszawskiej Woli. Jak wspomina tamto doświadczenie i czy na jego podstawie miałby jeszcze coś do powiedzenia ludziom, którzy dziś go osądzają – przyznam, że chętnie zapytałbym o to Adama Michnika przy jakiejś okazji.

Bo myślę sobie, że z Michnikiem jest jak z innymi dużymi tematami polskiej historii najnowszej, weźmy np. powstanie warszawskie albo pontyfikat Jana Pawła II. Pamiętam lata i rocznice – wybuchu powstania, wyboru papieża – wobec których przechodzono obojętnie. Pamiętam takie, w których opisywano wyłącznie „czarne karty". Pamiętam takie, w których postawienie pytania o sens zrywu albo słabości pontyfikatu wydawało się herezją. Pamiętam takie, w których zza lukru kremówek i kiczu festiwalowych pieśni nie widać było żywych ludzi, z całą ich niejednoznacznością. Pamiętam puste, okolicznościowe akademie, kombatanckie wspominki, ale też świadectwa prawdziwego dramatu.

Co zaś się tyczy kwestii „dochowywania wierności sprawom przegranym", zauważę tylko, że dziś Adam Michnik sprzeciwia się światu, w którym nie ma miejsca na życzliwość dla Kościoła katolickiego – nawet jeśli tylu jego ludzi okazało się przestępcami seksualnymi albo politykami w sutannach. Takie czasy, taka niepodległość.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Małgorzata Nocuń, Michał Okoński, Marek Rabij, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyński
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepioło, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA
S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny" dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Fałszywa alternatywa

STEFAN SĘKOWSKI

Rządzący, bagatelizując wzrost cen, skazują nas na przeciągającą się stagnację gospodarczą i narastające bezrobocie. To będzie jak jazda autem, w którym kierowca jednocześnie wciska gaz i hamulec.

ADAM STĘPIEŃ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Warszawa, lipiec 2022 r.

Po wielu miesiącach bicia rekordów inflacji rządzący znaleźli wytłumaczenie tej sytuacji: co prawda mamy znaczne wzrosty cen, ale gdybyśmy chcieli im zaradzić, rzesze Polaków straciłyby pracę. „Rodzi się pytanie: czy wolicie 17-procentową inflację, czy 17-procentowe bezrobocie. Liberałowie krzykną, że bezrobocie, ale po cichu dodadzą, że pod warunkiem, iż to nie oni będą bezrobotni" – stwierdził 20 października podczas Krynicy Forum prezydent Andrzej Duda. Wtórował mu premier Mateusz Morawiecki, który w wywiadzie udzielonym „Dziennikowi Gazecie Prawnej" oświadczył, że „jeśli ktoś chce mnie namawiać na duszenie inflacji poprzez bardzo wysokie bezrobocie, to mu się to nie uda".

Kto zapłaci najwięcej

Albo inflacja, albo bezrobocie – to fałszywa alternatywa i chwyt retoryczny mające zamknąć usta tym, którzy krytykują rząd za marne efekty walki z galopującymi cenami (we wrześniu inflacja sięgnęła w Polsce 17,2 proc.). Do słownika władzy wróciło określenie „wstrętny liberał", czyli człowiek nieczuły na los ludzi tracących zatrudnienie. Bezrobocie zaś, choć wciąż jedno z najniższych w Unii Europejskiej, znowu oddziałuje na wyobraźnię milionów Polaków. Lepiej przecież mieć pieniądze, nawet tracące na wartości, niż nie mieć ich wcale.

Takie myślenie może nas doprowadzić do sytuacji, w której będziemy mieć i jedno, i drugie. Przedłużająca się, podwyższona inflacja ma bowiem negatywny wpływ na aktywność gospodarczą. Jest jak mgła, z powodu której trudno spojrzeć dalej i planować przyszłe posunięcia, łatwo za to zniechęcić się do podejmowania odważnych kroków na rynku. Inflacja oznacza też rosnące koszty prowadzenia działalności, z którymi mogą sobie nie poradzić zwłaszcza małe i średnie firmy. A na nich opiera się nasza gospodarka. Zwolnienia przyjdą przede wszystkim w branżach, w których koszty działalności rosną szybciej, a cen nie da się łatwo podnieść, nie tracąc klientów. Chodzi przede wszystkim o usługi, małe sklepy czy gastronomię, w której już widać załamanie, przekładające się na liczne upadki restauracji w ostatnich tygodniach.

Trzeba też pamiętać, że w Polsce ponad 9 mln osób pobiera emerytury i renty. Dla dużej części z nich to jedyny dochód, a w 2021 r. udział comiesięcznych, niezbędnych wydatków w nim wzrósł: dziś wynosi on dla rencistów 79,7 proc., dla emerytów zaś 69,6 proc. Waloryzacje świadczeń poniżej stopy inflacji, a nawet kolejne dodatki uchwalane przez Sejm sprawy nie załatwią. Jeśli inflacja będzie nadal rosła w takim tempie, przedstawiciele tych grup społecznych będą musieli ograniczać wydatki, przejadać oszczędności lub wpadną w spiralę zadłużenia.

Decydenci nie chcąc wytoczyć inflacji epickiej bitwy, skazują nas na długotrwałą wojnę podjazdową, której efektem będzie przeciągająca się stagnacja gospodarcza i wzrastające bezrobocie. Na dodatek sporą część kosztów walki rządu o ochronę miejsc pracy poniosą ci, którym już należy się zasłużony odpoczynek albo ci, którzy z powodu stanu zdrowia pracować nie mogą.

Krzywa przekłamana

Założenie rządzących, że mamy do czynienia z prostą zależnością między inflacją a bezrobociem, opiera się na wulgaryzacji tzw. krzywej Phillipsa. W 1958 r. nowozelandzki ekonomista William ↦

↦ Phillips napisał artykuł, w którym na podstawie brytyjskich danych statystycznych z lat 1861-1957 dowodził, że niskie bezrobocie zazwyczaj towarzyszyło wysokiej zmianie płac nominalnych, i odwrotnie. W tym miejscu wkradają się dwa przekłamania. Zmiana, w tym przypadku utrata wartości zarobków nominalnych, jest tylko inflacją płac, a nie wzrostem cen towarów i usług konsumpcyjnych, co powszechnie określa się jako inflację. Oba zjawiska mają ze sobą związek, nie są jednak tożsame. Sam Phillips nie twierdził, że są zależne od siebie, tylko że ze sobą współwystępują. Jednak w państwach o gospodarce rynkowej zakorzenione zostało przeświadczenie, że mają one ze sobą nierozerwalny związek. I to pomimo, że od odkrycia Phillipsa minęło już ponad sześć dekad, a liczne wydarzenia w historii gospodarczej ukazały, iż relacja ta nie występuje zawsze i wszędzie. Dla przykładu, już kilkanaście lat po publikacji artykułu Zachód nawiedziła stagflacja, czyli splot inflacji i stagnacji gospodarczej, który doprowadził do wzrostu bezrobocia.

Z dzisiejszej perspektywy ważniejsze są jednak doświadczenia pandemii COVID-19. To ona zakończyła długi okres, w którym w licznych gospodarkach Zachodu (m.in. USA, Wielka Brytania, Niemcy) niskiej inflacji towarzyszyło niskie bezrobocie. Z pandemią jest bowiem związany jeden z ważnych czynników proinflacyjnych, czyli zwiększenie podaży pieniądza na rynku, za którym nie idzie odpowiedni wzrost gospodarczy. Miało to miejsce w latach 2020-2021, kiedy to w wielu krajach – w tym w Polsce – ilość pieniądza na rynku wzrosła znacznie bardziej niż PKB. Państwa na całym świecie prześcigały się wtedy w pompowaniu w rynek pieniędzy w ramach kolejnych pakietów pomocowych, żeby przedsiębiorstwa, zmuszone restrykcjami do przestojów, nie musiały zwalniać ludzi lub całkowicie zamykać działalności. Udało się, jednak obecnie płacimy za to wysoką cenę. Gospodarka z rosnącą inflacją jest jak rozpędzający się samochód na ulicach miasta. W końcu trzeba wcisnąć hamulec.

Rządzący i bankierzy centralni mogą odpowiedzieć na to podnosząc stopy procentowe (Rada Polityki Pieniężnej), podwyższając podatki albo przeprowadzając cięcia w wydatkach (rząd). Gdy tak się dzieje, konsumenci mniej wydają na swoje potrzeby, a producenci mniej inwestują. Ma to wpłynąć na spowolnienie wzrostu cen, ale może także spowodować ograniczenie działalności gospodarczej, a więc i zatrudnienia. Wolniej też rosną wtedy marże firm i wynagrodzenia pracowników. Można rzec, że dzięki przełożeniu nogi z gazu na hamulec, samochód jedzie wolniej. Jeśli jednak kierowca naciśnie go zbyt mocno, pasażer wyleci przez szybę. Nadmiernie ostra polityka monetarna może doprowadzić do recesji i wzrostu bezrobocia.

> Dalsze podwyższanie stóp procentowych wydaje się konieczne, ale będzie miało poważne konsekwencje dla kredytobiorców, którzy zadłużali się w ubiegłym roku. **Słono zapłacą za optymizm Adama Glapińskiego.**

Właśnie takim scenariuszem straszą nas Andrzej Duda i Mateusz Morawiecki. Niewiele jednak wskazuje na to, że mają rację. Bezrobocie jest w Polsce wciąż bardzo niskie (5,1 proc., prawie najniższe w historii III RP), wzrost gospodarczy (5,3 proc. w II kwartale) też niczego sobie. Produkcja we wrześniu urosła o 9,8 proc. rok do roku. W tym czasie RPP podniosła stopy procentowe jedenastokrotnie, a stopa referencyjna wynosi już 6,25 proc., najwięcej od 2002 r. Mimo to inflacja nie zwalnia, we wrześniu mieliśmy wręcz najwyższy jej wzrost (miesiąc do miesiąca) od maja – 1,6 proc.

Co można zrobić

Trudno oczywiście stwierdzić, że podwyżki stóp nie działają. Gdyby nie one, inflacja mogłaby być znacznie wyższa. Statystyki pokazują, że zmiany stóp zniechęciły firmy, jak i osoby prywatne do zadłużania się. Drastycznie spada zwłaszcza wartość udzielanych Polakom kredytów hipotecznych (w sierpniu, rok do roku, o 70,9 proc.). Jednocześnie, jak wynika z analiz GUS, rośnie odsetek Polaków, którzy uważają, że inflacja będzie wciąż rosła – we wrześniu było to aż 74 proc. badanych. To niedobrze, bo na samą inflację wpływają także oczekiwania społeczeństwa, które działają jak samospełniająca się przepowiednia.

W efekcie, ponieważ oczekiwana inflacja jest wyższa od stóp procentowych, i to o kilkanaście procent, nie mają one takiego wpływu na gospodarkę, jakiego się po nich spodziewają rządzący. To w dużej mierze wina prezesa NBP Adama Glapińskiego, który swoją nieudolną i wprowadzającą w błąd komunikacją nadwyrężył zaufanie Polaków do polityki monetarnej. Dlatego żeby dziś zbić inflację, być może potrzebna jest ostrzejsza reakcja. Do tego namawia prof. Joanna Tyrowicz z Rady Polityki Pieniężnej. Ale także ona nie chce osiągnąć tego pułapu od razu – oznaczałoby to bowiem podwyżkę do co najmniej 18 proc. Chce, by czynić to stopniowo, co dałoby sygnał, że RPP inflacji nie odpuści.

Taka polityka miałaby jednak poważne konsekwencje dla kredytobiorców, którzy chętnie brali kredyty jeszcze w połowie ubiegłego roku, gdy stopy procentowe wynosiły zaledwie 0,1 proc. Robili to nie z naiwności, ale kuszeni optymizmem Adama Glapińskiego, który w styczniu 2021 r. uważał, że grozi nam nie podwyższona inflacja, lecz... deflacja, a w marcu 2021 r. to potwierdził mówiąc, że prawdopodobieństwo podwyżek stóp procentowych wynosi zero.

Dziś, niestety, dalsze podwyżki są konieczne, jeśli nie chcemy latami męczyć się z wysokim wzrostem cen. Na szczęście nie znaczy to, że musimy wrócić do radykalnej polityki monetarnej z lat 90., zwłaszcza jeśli dzięki stopniowym, ale jednoznacznym podwyżkom zacznie w końcu topnieć inflacja.

Oczywiście ważne jest też, by władze kierowały się spójną polityką. Dziś jest tak, że nawet gdy RPP lekko wciska hamulec, to rządzący rozpędzają samochód kolejnymi dodatkami. A to może się skończyć źle w czasach, w których mimo dobrych wyników naszej gospodarki, musimy przygotować się na ogólnoświatową recesję. Tę zaś lepiej powitać bez inflacyjnego balastu. Na ceny surowców energetycznych nie mamy większego wpływu, jednak po odjęciu cen żywności i energii inflacja wynosi już tylko 10,7 proc. I tu rządzący oraz bank centralny mogą zrobić wiele. Nie tylko podwyższając stopy, ale też bardziej restrykcyjnie spinając budżet i uważnie konstruując wydatki. Na to jednak, z powodu zbliżających się wyborów, nie ma chyba co liczyć.

© STEFAN SĘKOWSKI

ARCHIWUM PRYWATNE WERONIKI PAWELEC

Weronika Pawelec

Inne życie

ANNA GOC

Mówi się, że głusi żyją w świecie ciszy. Tyle że świat jest jeden.

Weronika Pawelec weszła pewnym krokiem na casting jedenastej edycji „Top Model". Zatrzymała się przed jurorami, przedstawiła.

„Przyjechałaś gdzieś ze świata? Bo masz inny akcent" – zaciekawił się Marcin Tyszka, fotograf modowy.

„Mówię trochę inaczej, a wynika to z tego, że od urodzenia mam niedosłuch" – wyznała Weronika.

„Masz aparat? Co się dzieje?" – dopytywała Katarzyna Sokołowska, reżyserka pokazów mody.

„Mam aparat i procesor, dzięki nim słyszę. Jeśli je zdejmę, jestem kompletnie głucha" – wyjaśniła.

Weronikę Pawelec będą odtąd obserwowali i głusi, i słyszący. Ci pierwsi w jej historii odnajdą być może własne doświadczenia tego, jak się głuchym żyje wśród słyszących.

1 Pierwszy odcinek: stacja emituje krótki reportaż o Weronice. Przenosimy się z kamerą do jej rodzinnej wsi w województwie świętokrzyskim. Wokół domów pola truskawek, które uprawiają także rodzice Weroniki. Jest późne lato. Dziewiętnastolatka wskakuje na przyczepę, siada obok ojca, między skrzynkami z truskawkami. Za kierownicą ciągnika matka Weroniki.

– Mama też niedosłyszy – powie mi Weronika, gdy połączymy się między jej zdjęciami. – Gdy miała trzydzieści lat, zdecydowała się na operację wszczepienia implantu ślimakowego. Jakiś czas po operacji powiedziała: – Słyszę, jak klekocą bociany.

Aparat słuchowy wzmacnia dźwięk, implant działa lepiej: wychwytuje dźwięk, przetwarza go i wysyła do nerwu słuchowego.

Operator pokazuje Weronikę ze słuchawkami na uszach, w wysokiej trawie, z przymkniętymi oczami, kołyszącą się. Albo pozującą nad strumykiem, w jasnej, przylegającej do ciała sukience. Fotograf, który robi jej zdjęcia, mówi, że Weronika jest połączeniem Marilyn Monroe i Marii Skłodowskiej-Curie. Rodzice mówią jednak o modelingu z niepewnością. „Weronika była dzieckiem bardzo skrytym, nieśmiałym. Nie miała wielu koleżanek i kolegów" – wyznaje do kamery matka. A ojciec dodaje: „Zawsze była odtrącana".

„Miałam przyjaciółki: kurki, które brałam ze sobą gdzieś i z nimi rozmawiałam" – opowiada Weronika.

Urodziła się głucha. Zdiagnozowano niedosłuch 90 dB, który nazywany jest głębokim. Dziecko z taką wadą prawie na pewno nie rozumie mowy, ma poważne problemy z nauczeniem się języka mówionego. Nie słyszy własnego głosu. I nawet jeśli ciężko nad nim pracuje, nie potrafi kontrolować tego, jak mówi.

Głusi już jako dorośli przyznają, że to po reakcjach słyszących na ich piskliwy, zbyt głośny albo zbyt cichy, prawie zawsze niezrozumiały głos, orientowali się, jak może on brzmieć. Dlatego nierzadko wstydzą się własnego głosu.

Pierwsze aparaty słuchowe Weronika dostała jako czterolatka. – Mama opowiadała mi, że wcześniej nie potrafiła nawiązać ze mną kontaktu – mówi. – Z aparatem było trochę lepiej, choć wciąż nie za wiele słyszałam, nawet swojego głosu.

Weronika poszła do szkoły ze słyszącymi dziećmi. Obserwowała rozmawiające na przerwach koleżanki. Próbowała do nich podejść, ale widziała tylko miny, zmieniające się grymasy twarzy. Starała się siadać w pierwszej ławce, ale z lekcji też niewiele rozumiała, nawet wtedy, gdy włączali wzmacniacze dźwięku. Jeden miał przy sobie nauczyciel, drugi Weronika – zawieszony na szyi.

– Czułam, że niektórzy obserwowali mnie z boku i skoro się nie odzywałam, to wysnuwali wniosek, że jestem wycofana. Później już nie starali się ze mną nawiązać kontaktu. Miałam więc swój świat, otaczałam się zwierzętami, dużo z nimi przebywałam: z psami, kotami i kurkami – mówi Weronika.

Głuche dzieci nierzadko trafiają do szkół ze słyszącymi. Opowiadają, ile wkładali wysiłku w naukę języka: jak uczyli się mówić i rozumieć, co mówią ludzie, którzy byli dookoła. Co czuli, będąc jedyną głuchą osobą w całej szkole. I jedyną głuchą w domu, gdy rodzina siadała przy stole. Rozmawiali ze sobą, żartowali, a głusi mogli jedynie domyślać się, dlaczego nagle wszyscy się śmieją.

Niektórzy przyznają, że im częściej nie udawało im się nawiązać kontaktu ze słyszącymi, tym rzadziej próbowali. ↦

↦ Wśród głuchych są też ci, którzy z różnych powodów nie opanowali języka polskiego albo nie posługują się nim biegle: nie mówią, nie czytają i nie potrafią pisać. Na co dzień używają polskiego języka migowego (PJM). Język polski jest dla nich językiem obcym.

2 Po pierwszej klasie gimnazjum Weronika przeniosła się do szkoły dla głuchych. Przeprowadziła się do internatu, w którym spędziła kolejnych sześć lat: dwa w Kielcach, w gimnazjum, i cztery w Krakowie, w technikum. Tam poznała innych głuchych i od nich zaczęła się uczyć migać. Dziś miga dobrze, ale nie biegle. Gdy po castingu dostała cztery głosy na „tak" od jurorów, zamigała „dziękuję". Ten znak, być może dla słyszących nierozpoznawalny, będzie powtarzała w kolejnych odcinkach.

Głuche dzieci spędzają w szkołach i przyszkolnych internatach całe dzieciństwo. Wyjeżdżają z domów zwykle w niedzielne popołudnie, wracają w piątek, po lekcjach. Niektórzy opowiadają, że pierwszą noc spędzili w internacie jako siedmiolatkowie, ostatnią – będąc już pełnoletni. Potem wracają do rodzin, gdzie często bywają jedynymi głuchymi. I do społeczeństwa.

– Po skończeniu szkoły dla głuchych czujemy się we własnym kraju jak cudzoziemcy – opowiadała mi głucha absolwentka, niedługo po tym, jak opuściła szkolne mury. – Nauczyciele powtarzali nam, że musimy nauczyć się języka polskiego, jeśli chcemy żyć wśród słyszących. Przekonywali, że ci głusi, którzy nauczą się pięknie mówić, będą mieli lepsze życie. Nie wyjaśnili nam jednak, jak się żyje w Polsce. I jak się żyje wśród słyszących. Przydałaby się nam strona internetowa z wiedzą o codzienności słyszących. I druga, na której byłyby informacje o nas, głuchych, opracowane dla słyszących.

Weronika uczyła się mówić, zanim jeszcze poszła do podstawówki. Ciągłe wizyty u logopedy, godziny ćwiczeń w gabinecie, a potem kolejne w domu. Głoska za głoską. Słowo za słowem. Pierwsze zdania, krótkie opowieści. Wciąż powtarzane te same słówka. Zwłaszcza z głoską „r", jedną z najtrudniejszych. – Irytowało mnie to „r". Wiem, że nie udało mi się go wyćwiczyć. Było dla mnie za trudne – mówi Weronika. – Ale mówię, to już dla mnie dużo.

Weronika na chwilę znika sprzed kamerki, wraca po kilku minutach. – Znalazłam mój zeszyt, w którym zapisywałam słowa do powtórzenia: i te, z którymi miałam kłopot, i te, z którymi radziłam sobie świetnie.

Pochyla głowę nad zeszytem, przewraca kolejne strony. Mówi głosem delikatnie ściszonym: „tra", „try", „tro". „Strata", „strona", „stratuje", „Arnold", „stryj", „nastrój", „brama", „Adrian", „Adriatyk", „wersalka". Uśmiecha się do wierszyków: „Jola lojalna, Jola nielojalna" albo „Król Karol kupił królowej Karolinie korale koloru koralowego". – Mam w tym zeszycie wszystko porządnie rozpisane, dlatego go zachowałam. Wciąż czasami go otwieram i ćwiczę – mówi.

Wątek szkół dla głuchych wraca w kolejnych odcinkach programu. Mówi o nich Weronika, zwracają na niego uwagę uczestnicy. „Chodziła do szkoły specjalnej, gdzie w klasie było po sześć-siedem osób. Nie miała kontaktu z ludźmi. Może dlatego jej ciężko otworzyć się przed ludźmi, bo nigdy z nimi nie żyła (...)" – mówi o Weronice jedna z uczestniczek „Top Model".

„W szkole dla niesłyszących żyłam w takiej zamkniętej bańce. Otaczałam się tylko niesłyszącymi i słabosłyszącymi osobami. Teraz wychodzę poza ten świat, jestem ze słyszącymi. I jest inaczej. Muszę się tego nauczyć. Nauczyć się rozmawiać z ludźmi" – mówi Weronika w programie.

W podobnej sytuacji są co roku setki głuchych. – Co dalej? – zapytałam grupę dziewczyn, które właśnie miały skończyć jedną ze szkół dla głuchych. Siedziałyśmy w sali gimnastycznej, była z nami tłumaczka.

Dziewczyny miały od siedemnastu do dwudziestu lat. Urodziły się głuche, kilka z nich pochodziło z rodzin głuchych dynastycznych, czyli takich, gdzie głuchota sięga kilku pokoleń wstecz. Ich pierwszym językiem jest polski język migowy, którym posługują się na co dzień. Nie wszystkie zdecydowały się przystąpić do matury. Jedna z nich próbowała w ubiegłym roku, ale nie zdała egzaminu z języka polskiego, wciąż ma problemy z opanowaniem gramatyki.

Dziewczyny mówiły krótkimi zdaniami, jakby przyszłość nie zasługiwała na więcej. Jedna rozważała studia, ale pod warunkiem, że zbierze się grupa głuchych, a uczelnia zapewni im tłumacza. Nie chciałaby znaleźć się sama wśród słyszących. – Moi starsi głusi znajomi mówią, że dla głuchych nie ma pracy – zamigała siedząca obok niej koleżanka.

Kolejne mówiły o tym, że głusi, z którymi czasami trudno się skomunikować, są gorzej traktowani przez pracodawców albo w ogóle pomijani. – Wyjadę za granicę. Tam przynajmniej będę cudzoziemką naprawdę – powiedziała jedna z dziewczyn.

3 „Dziś będziecie pływać po niebie nad romantyczną taflą wody w bardzo cyrkowych i burleskowych stylizacjach" – przedstawiał kolejne zadanie uczestnikom programu Marcin Tyszka.

Na księżycu zwieszonym na linach usiadła pierwsza z dziewczyn. Po chwili jej ręce ześlizgnęły się z obręczy figury akrobatycznej, wpadła do wody. Weronika zaczęła się niepokoić. Dziewczyna podniosła się, próbowała dalej, ale znów się nie udało. „Boję się" – mówiła Weronika siedzącej obok uczestniczce. „Procesor może mi spaść, a jak spadnie, to się zepsuje w wodzie. Nie będę słyszeć" – mówiła.

Fotograf uspokajał: Weronika może zdjąć aparat i implant na czas zadania, dadzą sobie radę. Dziewczyna nie decyduje się jednak na to, chwyta tylko obręcz, przyjmuje pozę. Pod koniec programu okaże się, że tego dnia jej zdjęcia były najlepsze.

Jeśli Weronika zdejmie aparat, słyszy dalej dość dobrze, ale jeśli wyjmie zewnętrzną część implantu, nie słyszy prawie nic. „Nie lubię być w ciszy, wolę być w kontakcie z otoczeniem" – mówi do kamery Weronika.

„Wera jest cały czas tak bardziej z boku" – przyznaje na offie jedna z uczestniczek.

A druga: „Ona za bardzo się od nas oddziela. Tak się zastanawiałam, czy to wynika z tego, że czuje przy nas dyskomfort, czy jej nie odpowiadamy?".

Problem z implantem wraca. Kolejny odcinek i nowe zadanie: duże akwarium, w którym uczestnicy mają się zanurzyć i pozować w stylizacjach syrenich. Tym razem Weronika zdejmuje aparat słuchowy i zewnętrzną część implantu. Gdy nadchodzi jej kolej, siada na brzegu akwarium, zanurza ciało do połowy. Michał Piróg, który towarzyszy uczestnikom, daje

ARCHIWUM PRYWATNE WERONIKI PAWELEC

Weronika Pawelec podczas nagrania programu Top Model

jej znak, że może wpłynąć pod wodę. Weronika się waha. Próbuje, ale nie potrafi. Zaczyna płakać.

„Nie no? Co ona?" – niepokoi się jedna z uczestniczek.

„Nie daje rady" – mówi inna.

„Da radę!" – stara się krzyczeć do Weroniki na zachętę.

„Ona i tak cię teraz nie usłyszy" – zauważa ta druga.

Uczestnicy wiedzą, że gdy Weronika jest bez aparatu i implantu, mogą się z nią porozumiewać jedynie za pomocą gestów. Idą w stronę akwarium, dodają jej otuchy. Pierwsza próba nie udaje się. Weronika wychodzi z wody, uczestnicy podbiegają do niej, ktoś ją przytula, jedna z dziewczyn mówi: „Musimy iść wysuszyć uszy, żeby założyć aparat".

Weronika próbuje jeszcze raz. Tym razem udaje się zrobić zdjęcie pod wodą. Po programie wrzuca w mediach społecznościowych komentarz: „Całkiem niedawno, w czerwcu 2020 roku, miałam operację wszczepienia implantu ślimakowego. (...) Po wszczepieniu przyszedł ciężki okres, kiedy przez miesiąc rana mi się nie goiła. Musiałam przyjmować dużo leków, a głowy nie wolno mi było moczyć wodą ani wystawiać na słońce. (...) Od tamtego czasu jestem przeczulona na implant i procesor. Zawsze uważam, żeby coś im się nie stało. Gdy brałam prysznic, to nie dopuszczałam, aby za dużo wody wlało się w miejsce, gdzie jest implant. (...) Nawet teraz uważam, żeby przypadkiem nie uderzyć w to miejsce. Gdy leżę na łóżku, opierając głowę o to miejsce, gdzie jest implant, czuję taki nacisk i dyskomfort. Myślę, że ten okres gojenia nadal trwa i jeszcze trochę potrzebuję czasu, aż będę mogła być spokojna i nie martwić się, że coś się stanie".

4

„Czasami czuję się trochę ograniczona, bo inni mówią szybko i raczej ciężko mi coś wyłapać. Chyba zamykam się w swoim świecie – tak mi się wydaje" – powiedziała Weronika w programie.

Gdy się łączymy, wyznaje, że nie zawsze rozumie, co mówią prowadzący i inni uczestnicy. Jeśli dyskusja jest spokojna, głos zabierają kolejne osoby, w tle nie ma szumu i nadmiernego hałasu, Weronika rozumie wszystko.

– Ludzie czasem myślą, że wystarczy wszczepić implant, żeby osoba niesłysząca zaczęła odbierać, co ktoś do niej mówi. Moja nauka rozumienia mowy trwa, ciągle muszę dużo ćwiczyć – dodaje.

Kamera „Top Model" zatrzymuje się czasem na Weronice. Bywa, że mięśnie jej twarzy są napięte, oczy wpatrzone w mówiącego, uwaga skupiona. Weronika nie spuszcza z osób mówiących oczu, stara się stać w pierwszym rzędzie.

– Jeden z projektantów oceniał naszą pracę. Mówił po angielsku, jego słowa były tłumaczone na polski. Był jakiś szum z głośnika, nie zrozumiałam nic. Na nagraniu widziałam, że się uśmiecham, a potem okazało się, że on mnie w tym czasie krytykował. Było mi głupio, bo moja reakcja wyglądała dziwnie.

– Po wszczepieniu implantu ciągle ćwiczysz rozumienie mowy. Jak te ćwiczenia wyglądają? – dopytuję Weronikę.

Wspomina o nagraniach, które odsłuchuje. Są tam np. wyrazy, które różnią się tylko jedną literą. Weronika sprawdza, czy udaje jej się wychwycić różnicę. I o studiach, które właśnie zaczyna – kulturoznawstwo na Uniwersytecie Adama Mickiewicza w Poznaniu.

– Mowę najlepiej ćwiczy się wśród innych – mówi.

A w programie wyznaje: „Cieszę się, że tu jestem (...) Tak jakbym się otwierała na inny świat. Myślę, że muszę popracować nad tym, żeby bardziej się otwierać na ludzi".

©℗ ANNA GOC

TOMASZ

Stawiszyński:
Zupa jako panaceum

Z grubsza dwojako reagowano na rozprzestrzeniające się w mediach społecznościowych informacje, że młodzi aktywiści klimatyczni oblali w Londynie zupą pomidorową „Słoneczniki" van Gogha, a niedługo później, w Poczdamie, obrzucili tłuczonymi ziemniakami obraz Moneta. Z jednej strony, denerwowano się i oburzano, zastanawiając się, jakie to jeszcze kolejne akty pustej transgresji czekają nas ze strony owych nieletnich „ekoterrorystów". Czasami, z mniej lub bardziej autentyczną troską, dodawano również, że tego rodzaju wybryki nie tylko nikogo do działań na rzecz walki z globalnym ociepleniem nie zachęcą, ale właśnie przeciwnie – sprawią, że wielu rozsądnym ludziom ta ważna sprawa będzie się kojarzyć z hucpą. Z drugiej strony, brano kulinarno-klimatycznych performerów w obronę. Wskazywano, że ich intencje były najczystsze z możliwych, a praca budzenia pogrążonych w letargu sumień musi się odbywać metodami równie ekscesywnymi, co charakter zagrożenia. Poza tym – uzupełniano – od tego właśnie są aktywiści, żeby wywoływać wściekłość, niepokój, a czasami nawet niesmak, nie są natomiast wcale od tego, żeby prowadzić przemyślane polityczne kampanie albo wdrażać długofalowe strategie. *Ergo* dobrze się stało, że zupa i ziemniaki wylądowały na tych znamienitych obrazach, powleczonych wszakże specjalnymi ochronnymi materiałami, nic się więc tutaj trwale nie uszkodziło. (Nawiasem mówiąc, podobnie układały się reakcje na inne głośne i kontrowersyjne zachowania klimatycznych aktywistów, np. przyklejanie się do podłogi w salonie Porsche w Niemczech albo oblewanie fekaliami pomnika kapitana Toma – weterana wojennego, który w wieku stu lat zyskał wielką popularność, organizując w pandemii akcję zbierania funduszy dla wsparcia brytyjskiej służby zdrowia).

Przyznam, że nie przekonuje mnie żadne z powyżej naszkicowanych stanowisk. Nie uważam bowiem ani że te działania kogokolwiek do sprawy klimatu zniechęcą, ani że kogokolwiek do sprawy klimatu zachęcą, ani też, że na sprawę klimatu zwrócą w ogóle czyjąkolwiek uwagę. Ot, przemkną po twitterowowych, instagramowych i facebookowych tablicach. Przez chwilę staną się kolejnym pretekstem do wielkiego a krótkotrwałego emocjonalnego wzmożenia i przerzucania się inwektywami, a następnie pogrążą w wirtualnym niebycie, z którego będzie się je od czasu do czasu wywoływać w charakterze widm mających zintensyfikować czyjś gniew lub oburzenie. Klimat od tego ani drgnie, wielkie korporacje nie przestaną pompować do atmosfery monstrualnych ilości gazów cieplarnianych, a miliarderzy nie przesiądą się z odrzutowców na rowery. Wbrew głębokiemu, jak przypuszczam, przekonaniu owych aktywistek i aktywistów, że rytualne obrzucanie dzieł sztuki jedzeniem (nawiasem mówiąc, to przecież demonstracyjne marnowanie żywności) jest aktem doniosłej dbałości o przyszłość Ziemi – obawiam się, że nic podobnego. Jeśli czymkolwiek obrzucanie dzieł sztuki jedzeniem (albo oblewanie fekaliami pomnika jakiegoś poczciwego staruszka) faktycznie jest – wyjąwszy okazję, żeby stać się na moment obiektem zogniskowanego zainteresowania – to nieledwie rozpaczliwą próbą odzyskania choćby szczątkowego poczucia sprawczości w świecie, w którym sprawczość dawno już stała się dobrem rzadkim i luksusowym. Ale w którym wciąż dominują narracje sprawczość stawiające w centrum, jej deficyt natomiast wiążące z jakimiś osobistymi mankamentami – niewystarczającą siłą woli, moralną szpetotą etc. I właśnie dlatego programowanie takiej opozycji: czyści i pełni najlepszych intencji aktywiści kontra cała reszta zobojętniałych, uśpionych cyników, których siłą trzeba wyrwać z drzemki, wydaje mi się bodaj najbardziej niepokojącym – bo nieprawdziwym i nieskutecznym – aspektem całej sprawy.

No może poza tym zupełnie już nieuzasadnionym i – mam wrażenie – bezrefleksyjnym wzięciem na cel najbardziej subtelnych wytworów ludzkiej cywilizacji. Bo, ostatecznie, jeśli cokolwiek jeszcze w ogóle może wywołać w nas motywację do prawdziwie radykalnych działań na rzecz klimatu (czyli do rozległych zmian systemowych), to chyba tylko... zachwyt nad pięknem świata. Niewiele zaś czynników intensywniej niż twórczość impresjonistów i postimpresjonistów potrafi ten zachwyt stymulować. Po co zatem oraz w imię czego impregnować tę twórczość zupą pomidorową i/lub ziemniaczanym purée?

Niestety, jak już wcześniej napisałem, i tak nie ma to najmniejszego znaczenia. Żyjemy w świecie, w którym liczą się już niemal wyłącznie intensywność przekazu oraz jego zdolność do ewokowania skrajnych emocji oraz doraźnego koncentrowania uwagi. Da się to osiągać rozmaitymi środkami, jak się okazuje – także popularnymi daniami kuchni europejskiej używanymi ekstrawagancko i niezgodnie z ich pierwotnym przeznaczeniem. Nikt mnie jednak nie przekona, że ma to jakikolwiek – choćby i luźny – związek z realnymi problemami, z jakimi się dziś borykamy, oraz realnymi sposobami poszukiwania rozwiązań tych problemów. Ani bowiem zupa pomidorowa, ani ziemniaczane purée – zwłaszcza stosowane bezpośrednio na dzieła sztuki – nie są dziś na nie żadnym, ale to żadnym panaceum. ©

OGŁOSZENIE

Przed Sądem Rejonowym w Stalowej Woli I Wydział Cywilny pod sygn. akt I Ns 119/22 toczy się postępowanie z wniosku Anny Maziarz o stwierdzenie zasiedzenia nieruchomości położonych w Kłyżowie stanowiących działki numer ewidencyjny 2666, 2695, 2696, 2149, 2157, 2159, 2275/1, 2276/1 o łącznej powierzchni 3,17 ha, na które zostały wydane akty własności ziemi na rzecz Macieja Słomianego i Rozalii Słomiany.

Wzywa się spadkobierców po Andrzeju Piwińskim, aby w terminie trzech miesięcy od daty ogłoszenia zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli i wykazali prawa do nieruchomości pod rygorem stwierdzenia zasiedzenia, jeżeli zostanie wykazane.

REKLAMA

NOWA KSIĄŻKA WOJCIECHA JAGIELSKIEGO

W czasach chaosu i dezinformacji potrzebujemy wiarygodnej opowieści o świecie

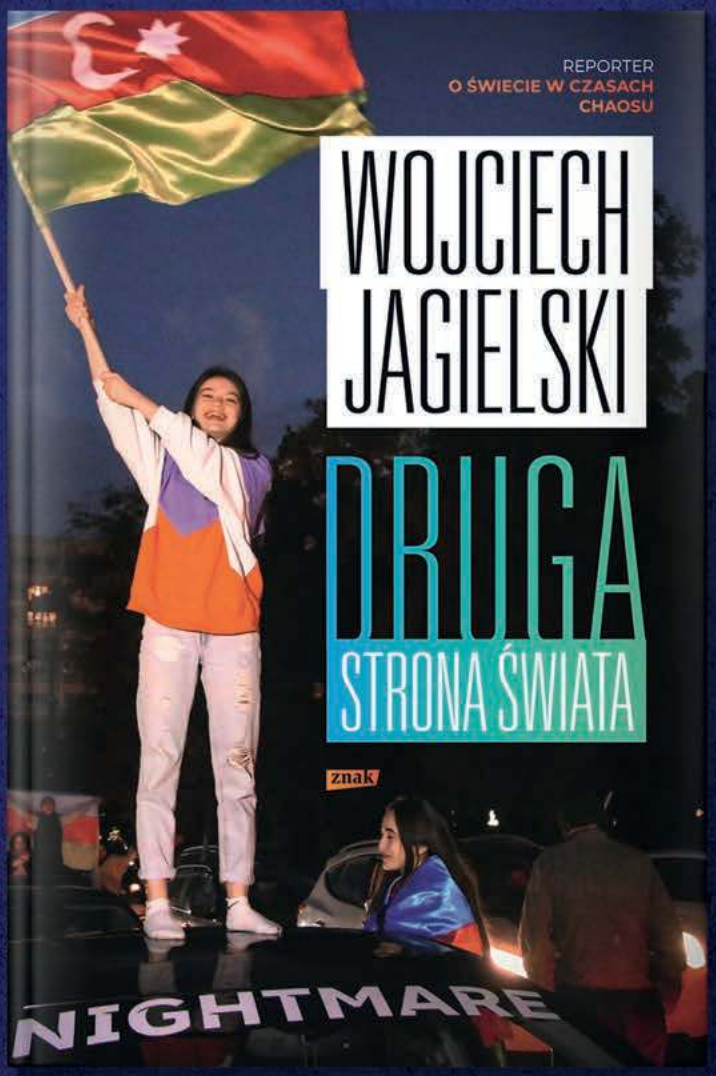

40% rabatu dla czytelników "Tygodnika Powszechnego"

kod: stronaswiata

Do wykorzystania na stronie znak.com.pl

TYGODNIK POWSZECHNY znak KSIĘGARNIA znak

MARSZ PRZEZ MANOWCE

Dla wielu jest on okazją do manifestowania patriotyzmu. Jednak u fundamentów myślenia organizatorów marszu narodowców leżą poglądy nie do pogodzenia z chrześcijaństwem.

TOMASZ P. TERLIKOWSKI

PAWEŁ WODZYŃSKI / EAST NEWS

Marsz Niepodległości. Warszawa, 11 listopada 2021 r.

Nigdy nie uczestniczyłem w Marszu Niepodległości. Gdy organizowano go po raz pierwszy w roku 2012, byłem nawet zaproszony (jak inni dziennikarze o poglądach prawicowych i konserwatywnych) do jego komitetu honorowego, ale odszedłem z niego, gdy ogłoszono, że znajdzie się w nim również Jan Kobylański, polonijny biznesmen znany z antysemickich poglądów. „Polskość, polska tradycja nigdy nie była wykluczająca. Było w niej miejsce dla Tatarów, Żydów, Ormian, czarnoskórych (znam wspaniałych czarnych Polaków), katolików, protestantów i Karaimów. Odkrywali się w niej Polacy z dziada pradziada i ludzie, których rodzice przyjechali do Polski. Wielu z nich oddało życie za Polskę, inni włożyli ogromny wkład w jej kulturę. I takiej właśnie polskości chcę nauczyć moje dzieci. Polskości otwartej na innych, wiernej jagiellońskiemu i papieskiemu spojrzeniu na kulturę i jej naczelną rolę w kształtowaniu narodu. ONR i Jan Kobylański nie są odpowiednimi wzorcami dla dzieci, którym chcemy przekazać najlepsze, choćby te wojtyliańskie, tradycje patriotyczne" – napisałem wówczas, deklarując, że nie będę uczestniczył w marszu.

Z każdym rokiem utwierdzam się w tej decyzji, mimo rosnącej profesjonalizacji organizatorów i frekwencji marszu. Powody są zaś zarówno polityczne (o których nie będę tu pisał), jak i – co ważniejsze – religijne. Ideowe źródła, na jakich budowane jest działanie liderów Marszu Niepodległości, mimo nieustannego podkreślania znaczenia katolicyzmu, są obce założeniom nie tylko Ewangelii, ale i społecznej nauki Kościoła.

Wielka Polska (nie)katolicka

Już pobieżny rzut oka na hasło tegorocznego marszu pozwala to stwierdzić z całą pewnością, a posłuchanie wyjaśnień organizatorów utwierdza w pierwszym wrażeniu. Hasło tegorocznego marszu to „Silny Naród Wielka Polska", a to odsyła do okresu międzywojennego i ówczesnego rozumienia „wielkiej Polski", jakie prezentował ruch narodowy.

Roman Dmowski, ideowy patron zarówno Obozu Wielkiej Polski, jak i jego obecnych spadkobierców, nie ukrywał nigdy, że jego ideałem jest stworzenie organizacji, u której źródeł jest nie tyle prawda, osoba ludzka, Ewangelia, ile – jak w myśli faszystowskiej – zabsolutyzowany czyn, który ujęty jest w system kadrowej, mundurowej organizacji. „Musimy się spieszyć, nie możemy trawić czasu na długich, zazwyczaj jałowych dyskusjach, bo nie wiadomo, jak daleką jest chwila, kiedy czyn nasz będzie potrzebny, kiedy jedynym ratunkiem ojczyzny będzie silna organizacja narodu. Dlatego to od innych obozów politycznych różnimy się przede wszystkim typem organizacji, opartym na zasadach hierarchii, dyscypliny i odpowiedzialności osobistej kierowników za każdy dział pracy" – wskazywał Dmowski. I choć można uznać, że ten język i ten model komunikacji był właściwy tamtym czasom, to jednak nie sposób nie dostrzec, że jest on ściśle związany z myśleniem włoskiego faszyzmu, który nie wydaje się najlepszym źródłem inspiracji chrześcijańskich.

I niech nas nie zwiedzie, że wyjaśniając ideowe wartości Dmowski zawsze wymieniał Kościół i chrześcijaństwo. „Polska może rozwiązać wielkie zagadnienia swego bytu, zarówno gospodarcze, jak polityczne, tylko na jednej drodze, tylko przez wzmocnienie i decydujące wysunięcie na czoło naszego politycznego życia tych czynników, które łączą ludzi w jedną mocnymi węzłami moralnymi związaną całość społeczną, które pogłębiają w człowieku przywiązanie do dóbr duchowych, moralnych i każą mu je stawiać wyżej ponad materialne, które są potężnym hamulcem dla pierwotnego egoizmu jednostki. Tymi czynnikami są religia, katolicyzm i poczucie narodowe, przywiązanie do ojczyzny polskiej" – pisał Dmowski i dodawał, że „katolicyzm nie jest dodatkiem do polskości, zabarwieniem jej na pewien sposób, ale tkwi w jej istocie, w znacznej mierze stanowi jej istotę. Usiłowanie oddzielenia u nas katolicyzmu od polskości, oderwania narodu od religii i od Kościoła, jest niszczeniem samej istoty narodu". Prezes Stowarzyszenia Marsz Niepodległości Robert Bąkiewicz zaś zaznacza, że wielką Polskę może budować tylko naród „silny moralnością i etyką". „Wielka Polska to również państwo, które odnosi się do cywilizacji łacińskiej, która była fundamentem naszej ojczyzny i ta wielka Polska w oczach naszych przodków, ale i nas dzisiaj jest konieczna" – podkreśla Bąkiewicz.

Na czym polega problem z tymi tezami? Dlaczego z punktu widzenia integralnie przemyślanego chrześcijaństwa nie może być zgody na takie myślenie? Warto przyjrzeć się potępieniu przez Piusa XI Action Française i jej lidera Charles'a Maurrasa. Organizacja ta – niemal tak samo jak Obóz Wielkiej Polski i jej lider – głosiła ogromną rolę Kościoła i katolicyzmu we francuskiej tożsamości narodowej, broniła interesów Kościoła, a jej przedstawiciele określani byli niekiedy wprost „wielkimi obrońcami wiary i Ojczyzny". Analogiczna była także sytuacja liderów Obozu Wielkiej ↦

↦ Polski i Action Française. Roman Dmowski i Charles Maurras, choć nieustannie bronili Kościoła i znaczenia religii dla tożsamości religijnej, byli agnostykami (obaj zresztą mieli się krótko przed śmiercią nawrócić), dla których religijność była jedynie narzędziem budowania i umacniania państwa i narodu. I właśnie to, jak się zdaje, było pierwszym zasadniczym powodem, dla którego potępiona została doktryna Action Française.

Z tej samej perspektywy ocenić trzeba idee Romana Dmowskiego, które przedstawiane są choćby w pracy „Kościół – naród – państwo". To naród i jego znaczenie poprzedzają nauczanie chrześcijaństwa, chrześcijaństwo zaś jest jedynie narzędziem, które naród i narodowość wzmacnia.

Absolutyzacja narodu

Potępienie Piusa XI – jak się zdaje – opierało się bardziej na intuicji niż na głęboko przemyślanych argumentach. Jednak uważna analiza sytuacji, a także rozwoju nacjonalizmów w XIX i XX wieku pozwala sformułować tezę, że chodziło głównie o to, iż tak pojmowany nacjonalizm w istocie zajmował miejsce religii i religijności, zabsolutyzowany Naród zaś zajmował miejsce Boga. Kultura nowożytna, szczególnie oświeceniowa – jak wskazuje brytyjski filozof Terry Eagleton – „jest poszukiwaniem Bożego wice-króla". „Rozum, przyroda, Geist, kultura, sztuka, wzniosłość, naród, państwo, ludzkość, Byt, społeczeństwo (...) wszystkie te rzeczy działały okresowo jako formy wypartej boskości" – zauważa filozof. Jednym z najskuteczniejszych surogatów wiary religijnej stał się zaś „wszechmocny, święty, autonomiczny i niepodzielny naród", którego głoszeniem zajmował się nacjonalizm.

Ostatnim krokiem na tej drodze był narodowy socjalizm, który sekularyzując chrześcijańską ideę Apokalipsy, sprowadził ją do poziomu spiskowej teorii nienawiści. „Teoria ta przejmuje wszystkie dawne mity o Antychryście i o tytanicznej walce między siłami Dobra i siłami Zła, przy czym konkretyzacją pierwszych są Aryjczycy, a drugich – Żydzi, wraz z orszakiem szaraczków, którzy z różnych względów nie zasługują na to, aby żyć. Głosi, że nadeszła pora walki, ów kairos, w którym wszystko staje się możliwe, zwłaszcza rewanż wybranych, na przestrzeni dziejów deptanych przez demony" – tak opisuje proces sekularyzacji chrześcijańskiej apokaliptyki w nazizmie Chantal Delsol w znakomitym „Czasie wyrzeczenia".

> Poczynając od Piusa XI, kolejni papieże wzywali do odrzucenia ciasnej postawy nacjonalistycznej, **która absolutyzuje naród.**

Ten model myślenia – i to zanim jeszcze został on doprowadzony do ostatnich wniosków – potępił Pius XI w encyklice „Mit brennender Sorge". „Kto ponad skalę wartości ziemskich wynosi rasę albo naród, albo państwo, albo ustrój państwa, przedstawicieli władzy państwowej albo inne podstawowe wartości ludzkiej społeczności, które w porządku doczesnym zajmują istotne i czcigodne miejsce, i czyni z nich najwyższą normę wszelkich wartości, także religijnych, i oddaje się im bałwochwalczo, ten przewraca i fałszuje porządek rzeczy stworzony i ustanowiony przez Boga-Człowieka i daleki jest od prawdziwej wiary w Boga i od światopoglądu odpowiadającego takiej wierze" – wskazywał Pius XI, a w dalszej części encykliki potępiał także używanie słowa „objawienie" na określenie „podszeptów krwi i rasy, dla wyrażenia promieniowania historii jakiegoś narodu".

Ani Dmowski i jego Obóz Wielkiej Polski (czy szerzej narodowa demokracja), ani Action Française nigdy nie zaszły tak daleko na drodze absolutyzacji narodu, ale obecne także u nich silne antysemickie emocje i ogromne eksponowanie znaczenia narodu jako nośnika wartości duchowych i moralnych mogły prowadzić w takim właśnie, w istocie antyreligijnym kierunku. Trudno uciec od wrażenia, że Dmowski w broszurze „Kościół – naród – państwo" przypisuje narodowi znaczenie absolutne. „Naród jest jedyną w świecie naszej cywilizacji postacią bytu społecznego, obowiązki wobec narodu są obowiązkami, z których nikomu z jego członków nie wolno się wyłamywać: wszyscy jego synowie winni dla niego pracować i o jego byt walczyć" – pisał.

Kościół zaś w tej myśli przestałby być strażnikiem wartości, instytucją, która sprzeciwiałaby się zapędom władzy, narodu, społeczeństwa, a przekształciłby się wyłącznie w uzasadnienie narodowego egoizmu, motywowanego religijnym poczuciem wyższości narodu (jako strażnika wartości chrześcijańskich w świecie). Pius XI, mocno krytykując agresywnie antyniemiecką politykę prowadzoną przez Francję i uzasadnianą przez Charles'a Maurrasa, zwracał uwagę, że egoizm narodowy, nieliczący się z emocjami przegranych, nie tylko jest niechrześcijański, ale musi doprowadzić do kolejnej wielkiej wojny. Jak się okazało, miał rację.

Negacja „innego"

Organizatorzy Marszu Niepodległości są niestety w tej sprawie nieodrodnymi synami Romana Dmowskiego. Ani lekcja Holokaustu, ani nauczanie Jana Pawła II nie zmieniło ich myślenia. Naród nadal jest w tym systemie wartością najwyższą (niekiedy uzupełnianą przez wartość przynależności do cywilizacji łacińskiej), a obrona ideologicznych jego podstaw w postaci rzymskiego katolicyzmu pozostaje środkiem nie tyle budowania przestrzeni wiary i solidarności, ile silnego narodu i jego obrony przed zagrożeniami z zewnątrz. Te zagrożenia – i to jest najpoważniejszy zarzut wobec Roberta Bąkiewicza i jego najbliższych współpracowników – mają zaś konkretną narodowość i wyznanie. To wyznawcy islamu, „nachodźcy", przed którymi Polska powinna się bronić, by zachować „cywilizacyjną tożsamość", by nadal być „przedmurzem chrześcijaństwa".

Opinie te – obecne nie tylko w wypowiedziach Bąkiewicza, ale także wielu polityków czy liderów opinii – są nie do pogodzenia z nauczaniem Kościoła. I nie chodzi tylko o nauczanie Franciszka, ale także o to, co na ten temat mówili poprzedni papieże od czasów Jana XXIII. „Do osobowych praw ludzkich zalicza się i to, że każdemu wolno udać się do tego kraju, w którym ma nadzieję łatwiejszego zaspokojenia potrzeb własnych i swej rodziny. Dlatego obowiązkiem sprawujących władzę w państwie jest przyjmowanie przybywających cudzoziemców i – jeśli to jest zgodne z nieprzesadnie pojmowanym dobrem społeczności, w której piastują władzę – przychylne ustosunkowanie się do ich prośby o włączenie w nową społeczność" – wskazywał Jan XXIII w encyklice „Pacem in terris".

„Jest rzeczą bezwzględnie konieczną przezwyciężenie ciasnej postawy nacjonalistycznej i uchwalenie ustawy przyznającej im prawo do emigracji, sprzyja-

jącej ich integracji, ułatwiającej im awans zawodowy oraz zdobycie przyzwoitego mieszkania, do którego w razie potrzeby mogliby sprowadzić swoje rodziny" – pisał o emigrantach Paweł VI w liście apostolskim do kardynała Maurice'a Roy.

Jan Paweł II zaś wzywał do odrzucenia wszelkich nacjonalistycznych resentymentów. „Lęk przed »odmiennością«, wzmacniany przez resentymenty natury historycznej i celowo podsycany przez osobników pozbawionych skrupułów, może doprowadzić nawet do negacji człowieczeństwa »innego«, na skutek czego ludzie zostają wciągnięci w wir przemocy, która nie oszczędza nikogo, nawet dzieci" – mówił do Zgromadzenia Ogólnego ONZ w 1995 r.

A w Katechizmie Kościoła Katolickiego znajdziemy jasne wskazanie, że „narody bogate są obowiązane przyjmować, o ile to możliwe, obcokrajowców poszukujących bezpieczeństwa i środków do życia, których nie mogą znaleźć w kraju rodzinnym. Władze publiczne powinny czuwać nad poszanowaniem prawa naturalnego, powierzającego przybysza opiece tych, którzy go przyjmują" (KKK 2241).

Do tego właśnie nauczania nawiązuje obecnie Franciszek. „Każdy cudzoziemiec, który puka do naszych drzwi, jest okazją do spotkania z Jezusem Chrystusem, utożsamiającym się z cudzoziemcem przyjętym lub odrzuconym każdej epoki (por. Mt 25, 35. 43). Pan powierza macierzyńskiej miłości Kościoła każdą osobę ludzką zmuszoną do opuszczenia swojej ojczyzny w poszukiwaniu lepszej przyszłości. Troska taka musi być wyrażona w sposób konkretny na każdym etapie doświadczenia migracyjnego: od wyruszenia w drogę, od początku do końca. To wielka odpowiedzialność, którą Kościół pragnie dzielić ze wszystkimi wierzącymi oraz ludźmi dobrej woli, którzy są powołani do odpowiedzi na wiele wyzwań stawianych przez współczesną migrację z wielkodusznością, skwapliwie, mądrze i dalekowzrocznie, każdy według swoich możliwości" – mówił Franciszek w Orędziu na Światowy Dzień Emigrantów i Uchodźców na rok 2018.

To wezwanie brzmi jeszcze mocniej, gdy mówimy nie o migrantach, lecz o uchodźcach, uciekających przed wojną, dla których Polska jest pierwszym miejscem, gdzie mogą się schronić.

Integracja nie jest asymilacją

Oczywiście – jeśli chodzi o uchodźców z Ukrainy – akurat Bąkiewicz będzie bardzo uważał na słowa, ale już inni narodowcy, choćby ci związani z Grzegorzem Braunem, będą przestrzegać przed „ukrainizacją Polski" czy tworzeniem „Ukropolin" i budować narrację, zgodnie z którą uchodźcy z Ukrainy są poważnym zagrożeniem dla polskiej tożsamości. Tego typu przekazu, obecnego także w myśleniu części organizatorów Marszu Niepodległości, nie da się pogodzić z chrześcijańskim modelem myślenia i działania.

Nie da się z nim także pogodzić nieustannie powracającego wezwania do błyskawicznej polonizacji Ukraińców, a także przestrzegania przed prawem do wolności religijnej (co oznacza także prawo do budowania własnych domów modlitwy czy instytucji religijnych), którego liderzy narodowców odmawiają migrantom z krajów islamskich.

„Promować to przede wszystkim starać się, aby wszyscy migranci i uchodźcy, jak i społeczności, które ich przyjmują, byli w stanie realizować się jako osoby we wszystkich wymiarach stanowiących człowieczeństwo według planu Stwórcy. Pośród tych wymiarów należy uznać należne znaczenie wymiaru religijnego, zapewniając wszystkim cudzoziemcom obecnym na danym terytorium swobodę wyznawania i praktykowania religii. Wielu uchodźców i migrantów posiada umiejętności, które należy odpowiednio poświadczyć i docenić" – wskazywał Franciszek we wspomnianym orędziu, dodając, że nie wolno kierować się w integrowaniu przybyszów logiką asymilacji: „Integracja nie jest asymilacją, która prowadzi do zniszczenia albo wymazania z pamięci własnej tożsamości kulturowej. Kontakt z drugim człowiekiem pozwala raczej odkryć jego »sekret«, otworzyć się na niego, aby przyjąć to, co jest w nim wartościowe, a w ten sposób przyczynić się do lepszego poznania każdego. Jest to proces długotrwały, którego celem jest takie kształtowanie społeczeństw i kultur, aby coraz bardziej stawały się odzwierciedleniem wielorakich darów, jakimi Bóg obdarza ludzi".

I już tylko to krótkie zestawienie, czego naucza obecnie Kościół katolicki, uświadamia z całą mocą, że wbrew powtarzanemu nieustannie argumentowi o ogromnym szacunku dla chrześcijańskich wartości i chrześcijańskiej tradycji narodu, organizatorzy Marszu Niepodległości mają do nauczania Kościoła stosunek nie tyle nawet wybiórczy, ile utylitarny. Tak samo zresztą, jak ich ideowi mistrzowie. © TOMASZ TERLIKOWSKI

OGŁOSZENIE

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego"

- **BIELSKO-BIAŁA,** czwartek 17 listopada, spotkanie z Marcinem Mieszczakiem i Jakubem Krzyżańskim, „100 najodważniejszych polskich piosenek" / stacjonarne /
- **GLIWICE,** czwartek 17 listopada, spotkanie z ks. Andrzejem Szostkiem, „Etyka w 8 Błogosławieństwach" / stacjonarne /
- **WARSZAWA,** czwartek 17 listopada, spotkanie z Grażyną Makarą, kierowniczką działu fotoedycji w „TP" / stacjonarne /
- **SŁUPSK,** piątek 18 listopada, spotkanie z ks. dr. Markiem Żejmą, „Oblicza współczesnego ateizmu" / stacjonarne /
- **GORAJEC,** piątek-niedziela 18-20 listopada, spotkania z Aleksandrą Chrzanowską, Pawłem Pieniążkiem, Marcinem Piotrowskim i ks. Mieczysławem Puzewiczem, „Solidarność bez granic" / stacjonarne /

REZERWUJ CZAS!

KLUB TP KLUBTYGODNIKA.PL

jt STOWARZYSZENIE IM. JERZEGO TUROWICZA

Więcej na **KlubTygodnika.pl/wydarzenia**

Dziura w tożsamości

S. KATARZYNA KOWALSKA NDS, TEOLOŻKA:

W licznych krajach większość osób zaangażowanych w dialog międzyreligijny to kobiety. Tymczasem na plakatach ze spotkań międzyreligijnych widać jedynie starszych mężczyzn w strojach duchownych.

ARCHIWUM PRYWATNE

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ: Właśnie minęło 57 lat od ogłoszenia soborowej Deklaracji o stosunku Kościoła do religii niechrześcijańskich „Nostra aetate" (28 października 1965 r.). Dlaczego ten dokument uważa się za przełomowy?

S. KATARZYNA KOWALSKA NDS: Zwykle rozmawiając o tej deklaracji, skupiamy się na relacjach chrześcijańsko-żydowskich, ale ewenement tego dokumentu polega także na tym, że bardzo szeroko otworzył drzwi do dialogu z różnymi religiami i nie da się ich już zamknąć. Dzieje się to dzięki afirmacji innych religii, nawet jeśli tylko bardzo podstawowej: że mają prawo istnieć i są w nich zawarte pierwiastki dobra. W stosunku do Żydów zmienił on radykalnie katolickie spojrzenie na judaizm: po wiekach teologii pogardy i zastępstwa weszliśmy na drogę szacunku i dialogu.

Omawiając powstawanie poszczególnych dokumentów II Soboru Watykańskiego, wskazuje się na wpływ ważnych teologów połowy XX wieku. Pomija się jednak działania innych osób, także sióstr z Twojego zgromadzenia Notre Dame de Sion (Matki Bożej z Syjonu, popularnie: Siostry Syjonu).

Nie chcę odbierać zasług biskupom i księżom teologom, ale warto pamiętać, że dokumenty Soboru tworzyły się i odgórnie, i oddolnie. Trzeba też przypomnieć o tym, jak przyjaciel naszego zgromadzenia, żydowski historyk Jules Isaac, zwrócił się do Jana XXIII rok po ogłoszeniu Soboru z usilną prośbą, by wykorzystano tę okazję do weryfikacji „nauczania pogardy" względem Żydów, i papież obiecał, że Sobór to podejmie.

Nie poszło jednak łatwo...

Pomysł ogłoszenia tekstu poświęconego stosunkowi do Żydów i judaizmu, czy szerzej religiom niechrześcijańskim, wywoływał liczne kontrowersje wśród ojców soborowych. To, że nad dokumentem pracowano kilka lat, dyskutowano jego kolejne wersje, ale nie zarzucono starań i w końcu doszło do ogłoszenia deklaracji na tamte czasy przełomowej, wynika właśnie z ogromnej oddolnej potrzeby nowego spojrzenia na relacje międzyreligijne.

I tu pomogły Twoje siostry?

Ich wpływ był dwojaki. Po tym, jak projekt wypadł z obrad pierwszej sesji Soboru, Siostry Syjonu, zwłaszcza s. Bénédicte Salmon i s. Magda Manipoud, zaczęły serię spotkań z teologami i biskupami, rozmawiając z nimi o potrzebie przywrócenia projektu, pozyskując przychylność dla pomysłu umieszczenia w nim kwestii żydowskich korzeni chrześcijaństwa. Pozyskiwały sojuszników. S. Bénédicte Salmon, katolicki ks. Kurt Hruby oraz zaproszony przez niego protestancki ks. Georges Richard-Molard opracowali propozycję projektu tekstu na temat relacji chrześcijaństwa i judaizmu, które przekazali francuskim teologom i biskupom, zyskując aprobatę i zapewnienie o potrzebie dyskusji nad tymi punktami na Soborze. Przedstawiony przez kard. Augustina Beę na drugiej sesji Soboru projekt dokumentu „O stosunku do niechrześcijan, a zwłaszcza Żydów" jest zbieżny z ich propozycjami, choć nie udało się ustalić, czy to bezpośredni wpływ.

Idea przemyślenia na nowo i ogłoszenia dokumentu na temat relacji Kościoła do Żydów i innych religii nie przetrwałaby, gdyby nie głos osób, które miały praktyczne doświadczenia różnych kontaktów z Żydami i wyznawcami innych religii.

Wydaje mi się, że dokument nie powstałby, gdyby nie rozwijały się relacje międzyludzkie osób z różnych religii – zarówno przez liczne osobiste przyjaźnie, jak i ze względu na tragiczne doświadczenia Szoah. Nie da się przecenić wpływu Zagłady na relacje chrześcijańsko-żydowskie.

Nasze zgromadzenie już od założenia w połowie XIX wieku miało liczne kontakty z Żydami i przechodziło w latach przed Soborem bardzo intensywny proces zmian w rozumieniu swojego stosunku do judaizmu, np. poprzez rezygnację z modlitw w intencji „nawrócenia Żydów", do czego przyczyniły się nie tylko osobiste przyjaźnie, ale również intensywne studia biblijne, wraz ze zrozumieniem żydowskich korzeni chrześcijaństwa, jak i doświadczenie Szoah. Dla naszego zgromadzenia kwestie zawarte później w „Nostra aetate" nie były tylko teorią, ale wiązały się z naszą codziennością i charyzmatem życia.

Mówisz, że deklaracja „Nostra aetate" otworzyła drzwi do dialogu. Dla Ciebie otworzyła drzwi do studiów w koledżu rabinicznym. Jak do tego doszło?

Jako początkująca studentka teologii w 2003 r. miałam szczęście wziąć

S. KATARZYNA KOWALSKA należy do Zgromadzenia Sióstr Matki Bożej z Syjonu, jest teolożką katolicką, religioznawczynią. Obroniła doktorat na żydowskiej uczelni Leo Baeck College w Londynie i The Open University. Wykłada na Uniwersytecie w Betlejem, w Harare (Zimbabwe), Akademii Katolickiej w Warszawie (Bobolanum), Sion Center for Biblical Formation w Jerozolimie, Sion Centre for Dialogue and Encounter w Londynie. Od 20 lat zaangażowana w działania dialogowe w Wielkiej Brytanii, Polsce i Izraelu. Członkini Polskiej Rady Chrześcijan i Żydów oraz Klubu Chrześcijan i Żydów „Przymierze".

Na zdjęciu (po prawej) podczas spotkania z liderkami dialogu w meczecie w Lund. Od lewej: Deborah Weissman (Izrael) i Liyana Asmara (Singapur). Szwecja, lipiec 2019 r.

udział w międzynarodowym seminarium chrześcijańsko-żydowskim, które spowodowało w moim życiu rewolucję – zarówno gdy chodzi o dialog, jak i rozumienie siebie. Odkryłam ogromną dziurę w mojej tożsamości i tożsamości miejsca, z którego pochodzę – Rzeszowszczyzny; i to, jak na tym terenie kwitło życie żydowskie, z którego nie zdawałam sobie sprawy. Jednocześnie zobaczyłam wyraźnie, że potrzebuję zrozumieć, kim są Żydzi i czym jest judaizm, ze względu na moją tożsamość chrześcijańską. To bardzo w duchu „Nostra aetate", gdzie mowa zarówno o doświadczeniu Szoah, jak i o tym, że judaizm jest Kościołowi potrzebny do zrozumienia samego siebie, że nie jest tylko czymś zewnętrznym dla naszej wiary.

Wkrótce później spotkałam w Krakowie Siostry Syjonu, zaczęłam poznawać charyzmat zgromadzenia i tam znalazłam to, co pragnęłam robić: poznawać judaizm i uczyć się dialogu. Już na studiach teologicznych najważniejsze było dla mnie poznawanie Pisma Świętego, i spotkawszy siostry, odkryłam zgromadzenie zakonne, w którego centrum życia znajduje się Biblia czytana w obu tradycjach: żydowskiej i chrześcijańskiej. Dołączyłam do nich i znalazłam w Zgromadzeniu Matki Bożej z Syjonu swój dom.

Zostałaś wysłana na studia judaistyczne?

Po pierwszych ślubach siostry pytają, co chce się robić. Rozważając i swoje zainteresowania, i potrzeby zgromadzenia, doszłam do wniosku, że skoro w Syjonie mogę otrzymać dalszą formację w teologii katolickiej, to chcę dalej poznawać judaizm na studiach doktoranckich. W takiej sytuacji relacje chrześcijańsko-żydowskie oraz dialog będą i tak nieustannie częścią mojego życia. Uzmysłowiłam sobie wtedy, że bardzo chcę uczyć się o współczesnym judaizmie i o tym, jak żyją Żydzi dzisiaj.

Dlaczego?

Nasze korzenie – czasy biblijne, czasy Jezusa – są bardzo ważne, ale nie możemy się na tym zatrzymywać. Chcę rozumieć, kim jest mój sąsiad, bliźni, który jest Żydem, jak on przeżywa judaizm, który różni się od judaizmu z czasów świątyni jerozolimskiej. Żyjemy w świecie, w którym coraz częściej spotykamy osoby, które nie są chrześcijanami – wyznają inną religię albo nie wyznają żadnej religii – i trzeba je poznawać w tym, jak one same siebie rozumieją i jak przeżywają swoją religijność czy jej brak.

Jak odbył się wybór uczelni?

Jedną z propozycji, które mi przedstawiono, był Leo Baeck College w Londynie, z którym nasze zgromadzenie ma relację już od około 60 lat i od początku istnienia tej szkoły kilka naszych sióstr już tam studiowało, ucząc się historii oraz tradycji żydowskiej. To progresywna szkoła rabiniczna dla Żydów konserwatywnych, reformowanych i liberalnych w Wielkiej Brytanii i Europie.

Będąc katoliczką chciałam mieć możliwość poznawania judaizmu najbliżej i najbardziej bezpośrednio jak się da. Wybrałam kameralną uczelnię, w której murach religia żyje, a nie jest tylko obiektem studiów. Przez sześć lat mojego pobytu byłam tam jedyną chrześcijańską studentką, ale wcześniejsze kontakty z naszym zgromadzeniem powodowały, że moja obecność była zrozumiała dla wykładowców i studentów. Zostałam przyjęta z otwartymi ramionami. Bardzo ważne było dla mnie to, że zawsze, gdy chciałam, mogłam uczestniczyć w modlitwach synagogalnych, a moja obecność nie burzyła porządku rytuału, ponieważ byłam z nimi na co dzień. Dzięki temu uczyłam się, jak Żydówki i Żydzi w koledżu rozumieją modlitwy i przeżywają rytuał, a jednocześnie poszerzało się moje rozumienie rytuału religijnego, także chrześcijańskiego. ↦

Nieraz słyszałam wśród katolików przekonanie, że to tylko my się staramy o dialog. Czy dla Żydów dialog z innymi religiami jest w ogóle ważny?

Bardzo ważny! Leo Baeck College jest bardzo otwarty na dialog międzyreligijny. Jednym z przedmiotów w programie studiów są „inne religie" i dla mnie samej spotkanie z nimi dokonało się właśnie w koledżu rabinicznym. Omawialiśmy tam siedem religii i po wprowadzeniu teoretycznym przedstawiciel każdej z nich przychodził na nasze zajęcia i opowiadał o swoim doświadczeniu modlitwy i tradycji, a następnie – gdy tylko było to możliwe – odwiedzaliśmy świątynię danej religii i spotykaliśmy się z jej wyznawcami. W ten sposób na przykład po raz pierwszy odwiedziłam świątynię sikhów i jedną ze świątyń religii Indii.

Czułaś się w koledżu rabinicznym jak u siebie?

Czasem nazywano mnie *ahotenu*. Wiedziano, że jestem siostrą, czyli po hebrajsku *ahot*, i nazywano *ahotenu* – naszą siostrą, a ten sam termin oznacza także osobę w trakcie konwersji na judaizm. Było to żartobliwe, ale było mi miło, że jestem zżyta z tą wspólnotą, której uczestnicy w koledżu przygotowywali się do zostania rabinami i rabinkami.

Czy to nie prowadzi do rozmycia własnej tożsamości?

Dużo myślałam o tym, jak się zachowywać, by być częścią wspólnoty, a jednocześnie nie rozmywać różnic między judaizmem i chrześcijaństwem ani nie udawać kogoś, kim nie jestem. Dwa razy w trakcie mojej obecności w koledżu rabinicznym zdarzyło się, że zostałam spontanicznie zaproszona do podejścia do Tory, czytania z niej i odmówienia błogosławieństwa – co było dla mnie wielkim zaszczytem i wyrazem zaufania. Nie skorzystałam jednak z tego zaproszenia, ponieważ w tym błogosławieństwie znajdują się słowa o wybraństwie i darze Tory, tak ściśle związane z tożsamością żydowską, że uważam, iż nie mogę ich wypowiadać, skoro nie przeszłam konwersji i nie jestem Żydówką. To także ważny element dialogu – nie tylko integracja, ale także określenie tego, że istnieją granice tożsamości i jesteśmy odrębni i szanujemy się w swojej odrębności. Możemy być bardzo blisko, a jednocześnie zachować swoją tożsamość.

Moi koledzy i koleżanki oraz kadra z Leo Baeck College szanowali moją tożsamość, również tak obcą dla judaizmu kwestię życia zakonnego. Gdy wróciłam na uczelnię po moich ślubach wieczystych, które odbyły się pod Rzeszowem, po tradycyjnych modlitwach zaproszono mnie do bimy i odmówiono specjalne błogosławieństwo z tej okazji. Z kolei mój promotor, ortodoksyjny żyd, wziął udział w zorganizowanym w mojej wspólnocie w Londynie spotkaniu modlitewnym i obok jednej z naszych sióstr wygłosił naukę o wybranych przeze mnie czytaniach. Przyszli także moi żydowscy przyjaciele z koledżu.

Czym obecnie przede wszystkim zajmują się Siostry Syjonu?

(śmiech) Trzeba o to pytać każdą siostrę oddzielnie. Owszem, wszystkie żyjemy wspólnym charyzmatem i duchowością biblijną, ale każda siostra ma sama sobie odpowiedzieć na to, jak przeżywa ten charyzmat.

Co to znaczy?

Każda siostra rozeznaje, w jaką pracę w przyszłości chciałaby być zaangażowana – do czego czuje się wezwana. Każda ma obowiązek czytać Biblię i odpowiadać na wezwanie Słowa, które czytane i medytowane wzywa do podjęcia konkretnych działań. To nas łączy – rozumienie i przekuwanie na działanie myśli zawartej w naszych konstytucjach: iż Bóg ukochał swój lud – Izrael i że wzywa nas do budowania królestwa Bożego – świata, w którym będzie więcej dobra, miłości i pokoju. A gdzie i jak – tego nie da się podać jednoznacznie, bo trzeba słuchać Ducha i odpowiadać na Jego wezwanie każdego dnia. Tak siostry odpowiadały w latach 50., 60. i 70. ubiegłego wieku, a dziś ja muszę tak samo odpowiedzieć sobie. Są siostry, które tak jak ja zajmują się dialogiem teologicznym i dialogiem życia, bo przecież nie zajmujemy się nim tylko na poziomie akademickim.

Gdzie działacie?

Dużo warunkuje kontekst geograficzny. Na przykład w Manili na Filipinach wspólnota żydowska jest bardzo mała, ale są liczni muzułmanie, więc dialog toczy się głównie z islamem oraz lokalnymi, mniej licznymi religiami, odbywają się też spotkania ekumeniczne z innymi wyznaniami chrześcijańskimi. Jednocześnie siostry organizują we wsiach spotkania biblijne, na których uczą o żydowskich korzeniach chrześcijaństwa, uczą hebrajskiego i opowiadają o współczesnym judaizmie. W Izraelu prowadzimy intensywny dialog z Żydami, ale inny niż ten w Polsce czy Londynie.

Relatywnie nowym wyzwaniem dla naszego zgromadzenia są prośby od lokalnych Kościołów w Amazonii, Indiach i Afryce, byśmy do nich przyjechały i uczyły Biblii oraz o judaizmie.

Czyli głównie studiujecie i dyskutujecie?

To nie takie proste! Dialog z Żydami jako mniejszością przez wieki prześladowaną popchnął nas także do życia dialogiem w działaniu, czyli w stronę sprawiedliwości społecznej. W różnych krajach, np. na Filipinach czy w Egipcie, nasze siostry działają na rzecz poprawy sytuacji kobiet, dzieci, osób LGBT+, w różny sposób wykluczonych. Dialog, który prowadzą, to w mniejszej mierze dialog teologiczny, a bardziej spotkanie z innym – kimkolwiek jest. W Polsce znana jest nasza siostra Emmanuelle (zm. w 2008 r.), która żyła wśród najbiedniejszych mieszkańców Egiptu na wysypiskach śmieci, wspierając ich materialnie i duchowo – z poszanowaniem dla ich religii, islamu.

Te dwie drogi przypominają mi początek naszej rozmowy o oddolnym i odgórnym procesie dialogu.

Postawa dialogiczna powinna kształtować nasze bycie. Nie można prowadzić tylko dialogu teologicznego i skupiać się na tworzeniu dokumentów. One, jak „Nostra aetate", są nieraz konieczne, ale stanowią tylko punkt wyjścia do dalszej rozmowy na poziomie lokalnym. Już dzisiaj w wielu krajach większość osób zaangażowanych w dialog międzyreligijny to kobiety, podczas gdy plakaty reklamujące wielkie wydarzenia międzyreligijne czy relacje medialne o nich pokazują głównie starszych mężczyzn w strojach duchownych. Dialog toczący się w lokalnych wspólnotach i społecznościach może być trudny i przynosić owoce powoli, dopiero w skali dekad, ale to w nim dzieje się prawdziwe życie. Uważam, że każda konferencja międzyreligijna powinna włączać kobiety i mężczyzn prowadzących dialog życia ze swoimi sąsiadkami, przyjaciółmi, współpracownikami i słuchać ich doświadczeń.

© Rozmawiała AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

Dziewczyna z Watykanu

EDWARD AUGUSTYN

Historię Emanueli Orlandi znamy od dawna. Serial Netfliksa porządkuje dotychczasową wiedzę i sugeruje, że rozwiązanie zagadki jej zaginięcia znajduje się za murami watykańskiego państwa.

FRANCO ORIGLIA / GETTY IMAGES

Pietro Orlandi (z prawej) na placu św. Piotra w 30. rocznicę zaginięcia siostry, 22 czerwca 2013 r.

Spotkali się raz, na schodach kościoła św. Anny, po niedzielnej mszy dla mieszkańców tej watykańskiej parafii. Rozmowa trwała kilka sekund. – Emanuela jest w niebie – powiedział papież. – A ja mam nadzieję, że żyje – odparł Pietro Orlandi. – Jest w niebie – powtórzył Franciszek.

Brat zaginionej przed 39 laty Emanueli jest przekonany, że papież przekazał mu w ten sposób informację, dotąd ukrywaną, o śmierci siostry: „Skoro mówi takie słowa, to znaczy, że wie więcej od nas".

To było 17 marca 2013 r. Franciszek był papieżem od czterech dni.

Trzy ślady

Serial dokumentalny „Dziewczyna z Watykanu", w którym możemy zobaczyć tę scenę, miał premierę 20 października 2022 r. na platformie Netflix. To czterogodzinna opowieść o poszukiwaniu 15-letniej córki watykańskiego urzędnika, która zaginęła w czerwcu 1983 r. i do dziś nie natrafiono na żaden ślad jej życia ani nie znaleziono ciała.

Motywy uprowadzenia pozostają nieznane. Śledztwo, prowadzone przez policję, rodzinę i media, sprawdzało wiele tropów. Najważniejsze były trzy.

Kilka dni po zaginięciu dziewczynki z rodziną i mediami skontaktował się przedstawiciel domniemanych porywaczy (ze względu na obcy akcent nazwany „Amerykaninem"), żądając – w zamian za uwolnienie Emanueli – wypuszczenia z więzienia zamachowca Alego Ağcy. Później badano trop finansowo-mafijny. Po zeznaniach byłej kochanki rzymskiego gangstera uznano, że za porwaniem stał jeden z rzymskich gangów, który lokował pieniądze w „watykańskim banku", zarządzanym przez powiązanego ze światem przestępczym abp. Paula Marcinkusa. W końcu pojawił się wątek wykorzystywania seksualnego i zabójstwa dziewczynki.

Znamy tę historię od dawna. Serial nie odkrywa nowych tajemnic, a jedynie porządkuje dotychczasową wiedzę, by narracja była klarowna, oraz selekcjonuje materiał źródłowy, by biegła zgodnie z przyjętym założeniem. Jest ono od początku jasne: klucz do rozwiązania zagadki znajduje się w Watykanie.

– Nie wiadomo, która z teorii jest prawdziwa. W każdej jest ziarnko prawdy. W każdej – wszystkie drogi prowadzą do Watykanu – mówią autorzy filmu.

Ukryte emocje

Zaletą filmu jest spojrzenie na historię Emanueli oczyma jej najbliższych: matki, trzech sióstr i brata (ojciec zmarł w 2004 r.). Dzięki temu watykańskie tajemnice, mafijne porachunki i finansowe skandale nie przesłaniają nam tego, co najważniejsze: bólu, strachu i poczucia opuszczenia rodziny Orlandich.

Ale to, co przydaje filmowi ludzkiego, niemal intymnego charakteru, staje się dla niego zagrożeniem. Pozornie spokojne twarze najbliższych skrywają emocje, których można się jedynie domyślać.

„Miałem ją zawieźć, ale tamtego dnia chyba mi się nie chciało. Teraz bardzo tego żałuję" – mówi Pietro Orlandi. A w innym miejscu: „Mama wciąż pytała: »Znalazłeś ją? Na co czekasz? Czemu jej nie szukasz?«". I jeszcze w innym: „Mój ojciec tuż przed śmiercią powiedział: »Zdradzili mnie ci, którym służyłem«".

Pietro całe życie poświęcił szukaniu siostry. Robi wszystko, by świat o niej nie zapomniał. Jest obecny w mediach, organizuje marsze pamięci, protestuje przeciwko umarzaniu śledztwa, znajduje coraz to nowe dowody. Opinia publiczna we Włoszech od lat jest pod wpływem jego interpretacji faktów. Autorzy filmu również.

Karkołomne wnioski

– Ufam w poczucie człowieczeństwa tych, którzy ponoszą za to odpowiedzialność – mówił Jan Paweł II na zakończenie modlitwy Anioł Pański 3 lipca 1983 r. Te słowa przypominane są wielokrotnie w kluczowych momentach filmu. Dla Pietra Orlandiego były dowodem, że dwa tygodnie po zaginięciu jego siostry papież wiedział, że została porwana i kto tego dokonał.

A w przytoczonych już słowach Franciszka („Emanuela jest w niebie"), wypowiedzianych po 30 latach, Pietro znalazł potwierdzenie dotąd ukrywanej przez Watykan informacji o śmierci Emanueli. ↦

↦ Nawet jeśli wszyscy wokół zrozumieli je jako radę, by pogodził się z tym, co nieuchronne, i zaprzestał wyniszczającej go walki.

Podobnych, karkołomnych logicznie wniosków jest w filmie więcej. Decyzja Sekretariatu Stanu o otwarciu, na wniosek adwokatów rodziny, dwóch grobów na cmentarzu teutońskim, skwitowana została zdaniem: „Wyrażając zgodę na ekshumację, Watykan przyznał, że ktoś z wewnątrz miał związek z tą sprawą". Jaki byłby komentarz, gdyby decyzja była odmowna?

Brak też argumentów na forsowany w serialu pogląd, że porwanie dziewczynki było zemstą za przekazanie przez Jana Pawła II mafijnych pieniędzy podziemnej Solidarności. Jedynym dowodem ma być zbieżność czasu: w dniu zaginięcia Emanueli Orlandi papież kończył wizytę w ojczyźnie, w której od dwóch lat trwał stan wojenny. Prawdą jest, że antykomunistyczna opozycja dostawała pieniądze z Watykanu. Ale w żaden sposób nie da się dowieść (ani wykluczyć), że były to fundusze mafijne.

Dodajmy, że w netfliksowej produkcji zdarzają się też błędy absurdalne, jak opinia, że w Polsce lat 80. „praktykowanie wiary było nielegalne i ludzie robili to potajemnie", ilustrowana zdjęciami tłumów uczestniczących w mszy.

Zgubione wątki

Dużo poważniejszym problemem filmu jest dopasowywanie faktów do z góry założonej tezy. Jak w przypadku zeznań Sabriny Minardi, byłej kochanki rzymskiego gangstera, która miała widywać przetrzymywaną Emanuelę Orlandi. To najważniejszy wątek serialu. Opowieść kobiety pokazana jest jako spójna, rzeczowa i wiarygodna. W rzeczywistości Minardi kilkakrotnie zmieniała zdanie, podawała sprzeczne informacje, myliła fakty. Policyjni eksperci uznali, że to efekt zażywania dużych ilości kokainy w czasie, którego dotyczyły zeznania. W filmie wykorzystano tylko te ich fragmenty, które zgadzały się z przyjętą narracją. Pominięto np. opowieść o zabetonowaniu ciała zamordowanej Emanueli na jednej z budów prowadzonych przez powiązane z mafią firmy. Pozostawiono, jako wiarygodną, scenę przekazania dziewczyny przedstawicielowi Watykanu (który miał przyjechać po odbiór porwanej w sutannie i kapłańskim kapeluszu).

> Jedna z hipotez głosi, że porwanie dziewczynki było zemstą za przekazanie przez Jana Pawła II **mafijnych pieniędzy podziemnej Solidarności.**

W nierzetelny sposób przedstawiono też sprawę dokumentu, rzekomo wykradzionego z Watykanu, który zestawiał koszty ukrywania Emanueli przez 14 lat w Londynie. W czasie realizacji zdjęć do filmu było już wiadomo, że to „sprawozdanie finansowe" jest fałszywką. Zresztą można to było stwierdzić na podstawie błędów rzeczowych w tekście, na jakie nie pozwoliłby sobie nawet najniższy rangą urzędnik kurii rzymskiej, a co dopiero kardynał, którego nazwisko figuruje pod dokumentem. W serialu nie zająknięto się o tym słowem.

Nowy świadek

W ostatnim odcinku serialu pojawia się nowy, nieznany dotąd świadek – przyjaciółka Emanueli. Zeznaje przed kamerą, że na kilka dni przed porwaniem Orlandi zwierzyła się jej, że była molestowana przez jednego z najbliższych współpracowników Jana Pawła II.

Nie jest to trop nowy. W 2012 r. o. Gabriele Amorth, egzorcysta diecezji rzymskiej, mówił w wywiadzie, że Emanuela została uprowadzona, wykorzystana seksualnie i zamordowana. Wątek ten pojawił się też w zeznaniach Sabriny Minardi, ale w filmie nie skorzystano z żadnego z tych źródeł.

W kontekście informacji, jakie przynoszą ostatnie lata, motyw wykorzystania seksualnego wydaje się co najmniej prawdopodobny. Można jedynie pytać, dlaczego Franciszek, który wypowiedział wojnę pedofilii, miałby ten fakt ukrywać? Odpowiedź, jakiej udziela film, brzmi: „Nigdy nie oskarżono o molestowanie seksualne nikogo z Watykanu". A to nie jest prawdą. Zarzuty w tej materii miał postawione kard. George Pell, prefekt sekretariatu ds. gospodarczych (potem uniewinniony), papiescy nuncjusze – Józef Wesołowski i Luigi Ventura – oraz wychowawcy z watykańskiego niższego seminarium. Jest wiele dowodów, że za tego pontyfikatu nie tuszuje się już nadużyć seksualnych, przekrętów finansowych czy mafijnych powiązań duchownych. Co takiego musiałoby być w aktach Emanueli Orlandi, by nikt, nawet ten papież, nie miał odwagi o tym powiedzieć?

Trudno uwierzyć

Czy zatem postawiona w filmie teza, że Watykan wie, co się stało z Emanuelą Orlandi, jest fałszywa? Tego powiedzieć nie można. Ale na jej potwierdzenie można by znaleźć wiele innych dowodów i poszlak, nie uciekając się do manipulacji i naginania faktów.

Każdy z przedstawionych w filmie wątków jest jednakowo prawdopodobny i jednakowo nieudowadnialny. Każdy może okazać się fałszywy, ale też – paradoksalnie – prawdziwe mogą być nawet wszystkie naraz (ekspertyza fonoskopijna nagrań „Amerykanina" wykazała, że zanim opanował język włoski, musiał posługiwać się biegle łaciną; Sabrina Minardi zeznała, że abp Marcinkus „odwiedzał" uwięzioną Emanuelę).

Z drugiej jednak strony po 39 latach śledztwa, w którym niejedną ekspertyzę obalono, a słowa niejednego świadka zdezawuowano, i które biegło dziesiątkami tropów, sprowadzane na manowce przez szalonych albo przebiegłych informatorów, niczego już nie można być pewnym. Czy można dać wiarę wielokrotnym zapewnieniom Sekretariatu Stanu, że nie posiada żadnych dokumentów na temat Emanueli Orlandi? Kto choć raz spotkał się z tak zbiurokratyzowaną instytucją, jak rzymska kuria, wie, że zbiera się tam dokumenty na każdy, nawet najbłahszy temat. A żandarmeria wszczyna śledztwa w najdrobniejszych sprawach, dlaczego więc miałaby go nie prowadzić po zaginięciu obywatelki Watykanu?

Choć z drugiej strony, znając te instytucje, trudno uwierzyć, że przez blisko 40 lat żaden z tych dokumentów nie wydostał się poza leoniańskie mury i – by uderzyć w Watykan – trzeba produkować fałszywki.

Rzeczywistość okazuje się bardziej skomplikowana niż film, nawet dokumentalny.

©℗ EDWARD AUGUSTYN

DZIEWCZYNA Z WATYKANU: ZAGINIĘCIE EMANUELI ORLANDI, scenariusz i reżyseria Mark Lewis, Netflix 2022.

ZUZANNA

Radzik: *Wybierz kraj*

Pewnie jest coś niewłaściwego w odwiedzaniu nie swojego kraju w trakcie ważnych wyborów. Nie pomyślałam o tym wcześniej. Zresztą, co było robić, skoro izraelski rząd upadł i rozpisano już piąte w ciągu niecałych czterech lat wybory w terminie, w którym dużo wcześniej zaplanowałam urlop. Już jednak pierwszego dnia poczułam, że to trochę jak podglądanie czegoś wstydliwego. Moje wakacje tu zwykle polegają na spotykaniu przyjaciół. Tym razem okazały się spotkaniem z ich strachem i niemocą.

– Boję się. Nie bałem się tak wyborów od 1999 r. Wiesz, wtedy głosowaliśmy nie za, tylko przeciw – mówi mi w dniu wyborów polityczny komentator wyciągnięty z pracy na krótką kawę. – Nie wiem, czy ci młodzi, którzy za nim szaleją, wiedzą, kim on jest, ale ja pamiętam, że w jego gabinecie przez lata wisiał portret Barucha Goldsteina, zamachowca z Hebronu. Że był młodym kahanistą. Bo to już nawet nie powrót Bibiego Netanjahu zasmuca wszystkich wokół mnie, ale pojawienie się w nowym rozdaniu prawicowego ekstremisty Itamara Ben Gwira. Zwycięzcą tych wyborów okazała się religijna prawica, która dostała więcej miejsc w Knesecie niż kiedykolwiek wcześniej.

Już kilka dni przed wyborami było czuć, że coś się dzieje. Nawet w ultraortodoksyjnych dzielnicach widać było plakaty i wlepki z jego podobiznami. Nie pomogły zaklęcia rabinów, by głosować tradycyjnie, wyklejane na słupach ogłoszeniowych. Pojawił się w piątek na jerozolimskim targu, a pochód jego roztańczonych młodych zwolenników wyglądał bardziej jak ekipa krisznowców niż uczestników kampanii wyborczej. Ulica szeptała między sobą „Tylko Ben Gwir", gdy biegłam na kolejne spotkania z wyborcami lewicowych partii, załamujących ręce, że radykał chce być ministrem bezpieczeństwa wewnętrznego.

Inny znajomy dzień po wyborach opowiadał: – Mój syn jest w histerii. Przypomina mnie samego z dnia, w którym w 1977 r. wygrał Menachem Begin. Myślałem, że świat się skończył. Ale tak się nie stało. Lepszy jednak nie jest. Rozumiem strach syna. Judeofaszyści w naszym rządzie? – kręci z niedowierzaniem głową.

– Jest mi po prostu strasznie smutno. Nawet już nie myślę o sobie, ale o tym, jaką przyszłość mają w tym kraju moje córki; i czy mają – mówi spotkana przypadkiem czterdziestolatka. Dwa dni po wyborach ludzie schodzą się rano w ulubionej kawiarni na placu Disengoffa i dzielą się strachem. Ona brzmi, jakby zaraz religijna prawica miała wprowadzić dyktaturę. – Myślisz? – powątpiewam w wizję nieznajomej, że oto lada chwila rządowym dekretem zamkną otwarte w szabat knajpy i sklepy. – No, może jednak nie, w końcu wtedy spalilibyśmy ten kraj – nabiera na moment pewności siebie, ale chwilę później znów się kuli.

– Wybierz kraj, mówią moi znajomi. Po prostu wybierz kraj – relacjonuje przyjaciółka. – Jak mam wybrać jakiś inny kraj? Moja matka jest ocalałą z Zagłady i zawsze powtarza, że lepiej żyć tam, gdzie kogoś przejmuje nasze bezpieczeństwo. Tylko czy ich przejmuje akurat moje bezpieczeństwo? I wiesz, nawet na kampusie uniwersytetu w Berkeley pojawia się teraz antysemityzm. To jaki inny kraj ja mam wybrać i czuć się w nim bezpiecznie?

Najtrudniej słucha się najstarszych. Tych, co mówią, że nie taki kraj budowali przez całe życie. Co się stało? Co przegapiliśmy? Tamten moment w 1967 r., kiedy zachłysnęliśmy się zwycięstwem, a trzeba się było dogadać? Tamtych liderów – a przecież byli tacy – którzy mówili, że bycie okupantem zniszczy nam duszę? Mówią to dziadkowie, których wnuk trzy lata pracował w wywiadzie w bunkrze przy Gazie, a zaraz służbę zacznie kolejny, pewnie w oddziale bojowym. Mówią to, myśląc o polityku, który w armii nie był ze względu na zbyt radykalne poglądy. Bano się dać mu karabin, dostanie ministerstwo.

Nie wiedzą więc, czego dokładnie się boją. I jaką przyszłość przyniesie im ekstremalna partia zlepiona po to, by zabezpieczyć wygraną Beniamina Netanjahu, a która z niespodziewaną siłą pozyskała wyborców. Jak w innych krajach, i oni rozglądają się wokół, wstydliwie pytając: „Czy jeśli nie znam nikogo, kto by na nich głosował, to nie znam swojego kraju? Przez noc staniemy się teokracją?".

Mówią: „Obudziłem się dziś i pomyślałem, że tak samo było w Polsce". A ja już nie chcę odpowiadać, że chyba jednak inaczej, chyba mniej ekstremalnie. Ale może sama nie doceniam z bliska.

Tak, nie powinno odwiedzać się przyjaciół, gdy w ich kraju trwają ważne wybory. Spotkasz ich strach, podzielisz ich smutek, a ekstremistyczni politycy staną się, chcesz czy nie chcesz – towarzyszami twojej podróży. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Tarnowie, pod sygn. akt I Ns 363/21, toczy się postępowanie z wniosku Grażyny Dobrowolskiej i Piotra Dobrowolskiego przy uczestnictwie Alicji Dobrowolskiej, Krzysztofa Dobrowolskiego, Teresy Dobrowolskiej, Józefy Nesterak, Jana Półkoszka, Beaty Kras, Moniki Grabowskiej, Doroty Załawy, Wacława Kierasa, Marii Półkoszek, Jolanty Pawłowskiej, Joanny Szafraniec, Jana Kierasa, Bogdana Kierasa, Heleny Zdeb, Ryszarda Dobrowolskiego, Małgorzaty Wojnar, Danuty Zawady, Zbigniewa Kierasa i Ryszarda Bobrowskiego o stwierdzenie nabycia przez wnioskodawców przez zasiedzenie, na mocy wspólności małżeńskiej, prawa własności nieruchomości w postaci działki ewidencyjnej numer 11/2 o powierzchni 0,0188 hektara położonej w Tarnowie, gmina i powiat miasto Tarnów, w obrębie nr 209, powstałej z podziału działki ewidencyjnej numer 11 objętej wykazem hipotecznym liczba 104 gminy katastralnej Rzędzin, w której jako współwłaściciele nieruchomości pozostają ujawnieni Paulina Łaz, Wiktoria z Łazów Bobrowska, Julia Łazówna, Maria Łazówna, Katarzyna Łazówna, Józef Łaz, Balbina z Łazów Kierasowa, Jan Łaz, Bronisława z Łazów Strojna i Balbina z Łazów Zauchowa.

Wzywa się wszystkich zainteresowanych, aby w terminie 3 miesięcy zgłosili się w Sądzie Rejonowym w Tarnowie i wykazali swe prawa do przedmiotu postępowania o stwierdzenie nabycia z mocy prawa własności nieruchomości, gdyż w przeciwnym razie sąd może stwierdzić nabycie własności zgodnie z wnioskiem.

GDYBY NIE POLACY

Prócz wsparcia od polskiego rządu, ukraińskiej armii pomaga polskie społeczeństwo. Choć nie tak spektakularna jak czołgi, pomoc ta jest kluczowa dla walczących – tak mówią Ukraińcy.

FILIP RUDNIK ZE LWOWA

Widzisz, to kamizelka kuloodporna przywieziona z Polski – mówi Serhij, ukraiński żołnierz pochodzący ze Lwowa, pokazując w komórce zdjęcia swoich towarzyszy walczących pod Bachmutem w obwodzie donieckim. – O, a tu polskie umundurowanie, kupione i dostarczone. A tu okulary taktyczne, też z Polski.

Przewija fotografie. Na jednej pojawia się polowy palnik z podgrzewaną na nim konserwą – puszką polskiej mielonki. Serhij wymienia, co dostał od Polaków po rozpoczęciu inwazji. Służbowy samochód z polskiej firmy, w której pracował, cały załadowany prowiantem i bateriami. Odzież termiczną, spodnie softshellowe ze zbiórek. Kiedy „poszli na robotę" i stracili drona zwiadowczego, zadzwonił do kolegi ze szkolnej ławki, który pracuje w Polsce. Ten w ciągu kilku dni zebrał pieniądze, kupił urządzenie i przysłał na front.

– Takie rzeczy ratują życie. Lepiej stracić kawałek plastiku, niż wysłać kogoś na zwiad, żeby zginął. Z dronem chłopcy mogą pracować – dodaje.

Na bieżąco

Rozmawiamy w kawiarni na lwowskim rynku. W odróżnieniu od poprzedniego dnia tym razem od rana nie ma alarmu bombowego. W parasol nad stolikiem dudni deszcz.

Opowiadając swoją historię, Serhij podkreśla, jak ważna jest pomoc z zagranicy dla ukraińskiej armii.

Przed 2014 r. Serhij pracował jako kucharz. Gdy Rosja zaczęła wojnę w Donbasie, zaciągnął się do wojska i służył na wschodzie. W 2016 r. został ranny w przedramię i zdemobilizowany. Otworzył restaurację w rodzinnym Lwowie, zaczął jeździć do Polski, by dołożyć do interesu. Przyszła pandemia, knajpę trzeba było zamknąć, a pracę za granicą zacząć na stałe. Najpierw jako kucharz w Krakowie, potem jako elektryk w firmie drogowej.

– Szef zapytał, jakie mam plany: czy chcę wracać do Ukrainy czy zostać w Polsce – wspomina. – Powiedziałem, że na razie przyszłość planuję w Polsce. Zaznaczyłem tylko, że jestem rezerwistą i mogę dostać wezwanie. Szef rzucił: „Co ty gadasz, jaka wojna".

27 lutego, czwartego dnia inwazji, Serhij przekraczał granicę z powrotem. Autem, które przekazali mu koledzy z firmy.

Walczył na północ od Łysyczańska. Był w oddziale zwiadowców, złożonym z 15 osób. Operowali po „szarych strefach" i przekazywali koordynaty, gdzie stoi wróg. W maju, gdy jechali na kolejną akcję dwoma samochodami, trafili pod ostrzał moździerzowy. Wybuch był tak silny, że wyrwał Serhijowi z biodra kawał mięśnia; miał też złamaną kość biodrową.

– Dziura na pół biodra – pokazuje zdjęcie ze szpitala. – Pięć miesięcy z tym leżałem.

Wrócił do Lwowa, teraz chodzi o kulach. Tu, będąc w kontakcie ze szkolnym kolegą, który pracuje w Polsce, organizuje pomoc dla „swoich chłopaków", którzy są teraz pod Bachmutem. Jest z nimi w stałym kontakcie – wie na bieżąco, czego im brakuje.

Dla konkretnych ludzi

– Mam bezpośrednią łączność z frontem, to istotne – zaznacza Julia, wolontariuszka z Charkowa, która samodzielnie organizuje zbiórki i sprowadza przez polską granicę auta dla armii. Zajmuje się wszystkim: sporządza dokumenty, a auta przygotowuje do operowania w warunkach frontowych. Ostatnio udało się jej kupić drona za blisko 150 tys. zł; pieniądze przelewali jej m.in. Polacy.

– Teraz jest dużo fundacji pomocowych – mówi Julia, gdy spotykamy się koło lwowskiego pomnika króla Daniela. Wylicza: prezydencki United24, inicjatywa Powiernis' Żywym. Jednak rola pojedynczych osób, zaangażowanych w całym łańcuchu pomocy, jest nie do przecenienia. – Mnie, jako wolontariuszce, jest łatwiej szybko reagować na konkretne potrzeby.

→

Z Niemiec przez Polskę na Ukrainę: punkt medyczny na froncie gdzieś w obwodzie charkowskim. Widoczni na zdjęciu ranni są ratowani specjalistycznymi opatrunkami oraz kocami termicznymi, które podarowały Uniwersytet i Szpital Uniwersytecki RWTH w niemieckim Akwizgranie. Transportowali je najpierw polscy wolontariusze, a na front dostarczyli wolontariusze ukraińscy. Październik 2022 r.

SŁUŻBA MEDYCZNA JEDNOSTKI A2582

ARCHIWUM PRYWATNE SERHIJA BONDARUKA

Serhij Bondaruk, żołnierz z Lwowa, (po lewej) z kolegą z jednostki, zwiadowcą Władysławem Januszewem z otrzymanym od polskich znajomych dronem. Okolice Bachmutu, obwód doniecki, kwiecień 2022 r.

Po prawej: żołnierz 93. Zmechanizowanej Brygady „Chołodny Jar" przy samochodzie ofiarowanym przez Julię Napolską, październik 2022 r.

↦ – Parę tygodni temu znajomi żołnierze napisali do mnie, że rakieta zniszczyła cały ich sprzęt. Mogę działać szybciej niż wielkie organizacje, w parę dni gromadzę fundusze od Ukraińców i cudzoziemców, po czym wysyłam to, co jest potrzebne. Liczy się szybkość. A często chodzi tutaj o małe rzeczy, dla konkretnych ludzi. Także takie, które niekoniecznie są finansowane w ramach pomocy międzyrządowej.

O tym, jak ważne jest spełnianie małych próśb dotyczących wyposażenia od konkretnych żołnierzy, mówił także Serhij („Na froncie nie ma przecież sklepów"). Poza tym w ukraińskich sklepach na zapleczu frontu taki asortyment, gdy się pojawia, wykupywany jest w błyskawicznym tempie.

Chodzi o wszystko to, co ułatwia życie na froncie: dobre buty, odzież na zimę, kamizelki, okulary taktyczne chroniące oczy od pyłu i dymu. Popyt jest wielki. Bywa, że wojskowi wykupują towar za własne pieniądze. A ci, którzy mają kontakty, sprowadzają go z zagranicy.

Pomoc „na zamówienie" jest w cenie – podkreślają zgodnie Julia i Serhij. Szczególnie teraz, gdy idzie zima.

Z Polski, Holandii i Anglii

Serhij żartuje, że dla żołnierza na froncie najważniejszy jest dostęp do trzech rzeczy: wody, nabojów i papierosów. Mówiąc o papierosach, ma na myśli nie tylko tytoń, ale wszystko, co jest w sklepowym koszyku na co dzień.

Julia uważa, że istotna jest też konsekwencja. Ona zaangażowała się we wsparcie dla żołnierzy jeszcze przed rozpoczęciem lutowej inwazji. Pochodzi z Charkowa, do granicy z Rosją jest stąd niespełna 40 kilometrów.

Do Lwowa przeniosła się, kiedy jej rodzinne miasto znalazło się pod codziennym ostrzałem rosyjskich rakiet. – Myślałam, że zniosę to lepiej. Któregoś razu po prostu stałam na ulicy, kiedy wszystko zaczęło eksplodować – przywołuje moment, gdy zdecydowała się wyjechać z miasta. – A ja zupełnie nie mogłam się ruszyć, zamarłam. Przechodnie wepchnęli mnie do schronu, krzycząc, że oszalałam. Wtedy zrozumiałam, że lepiej będzie wyjechać.

O zbiórkach informuje na Twitterze, przeplatając informacje o nich zdjęciami swojego kota, memami czy krótkimi postami o realiach życia we Lwowie czasu wojny. „Od kiedy nie pisałam, wrócił prąd – to znaczy, że idziemy na pocztę". Albo: „Kocie, proszę, odejdź od okna" – to pisane w czasie alarmu bombowego.

Darczyńcami na jej akcjach są ludzie z całego świata, ale najbardziej hojne są osoby z trzech krajów: Polski, Holandii i Anglii. Julia jest bardzo wdzięczna Polakom. Wspomina, jak w marcu czekała na granicy na przywiezienie samochodu dla armii. Polacy zachowali się wobec niej jak rodzice, częstowali ciepłym jedzeniem i dbali, żeby nie było jej zimno.

Na pytanie, czy zauważa słabnięcie zagranicznego wsparcia, odpowiada przecząco. Jej zdaniem zmienił się po prostu jego charakter. Z początku Polacy zbierali podstawowe rzeczy: jedzenie, odzież, leki. Teraz, dzięki lepszym kontaktom, wiadomo, co jest potrzebne tu i teraz – i przywołuje zbiórkę na słynnego drona bayraktar.

Pospolite ruszenie

Julia dziękuje za pomoc dla żołnierzy – tę na poziomie rządowym, i tę oddolną, społeczną. Pierwszą zmierzyć nietrudno: od rozpoczęcia inwazji Polska przeznaczyła na rzecz Ukrainy wsparcie o wartości blisko 14 mld zł, co stawia ją zaraz za Łotwą i Estonią w kontekście wielkości tej pomocy w stosunku do PKB danego kraju.

Oszacowanie pomocy ze strony polskiego społeczeństwa jest trudniejsze – nie można przecież prześledzić przelewów prywatnych osób czy wycenić wartości wsparcia materialnego. Polski Instytut Ekonomiczny w raporcie z lipca 2022 r. oceniał, że Polacy od początku inwazji do sierpnia mogli wydać nawet do 10 mld zł na rzecz Ukrainek i Ukraińców uciekających przed wojną. A na pomoc dla walczących? Nie znalazłem takich szacunków. I być może nie da się tego zliczyć – prywatne dostawy konserw czy ubrań dla konkretnych żołnierzy nie zostaną odnotowane na poziomie żadnego dowództwa.

Pomoc taka idzie od samego początku – często za sprawą pojedynczych osób z Polski, z każdego zakątku kraju. Takich jak

ARCHIWUM PRYWATNE SERHIJA BONDARUKA

Katarzyna, architektka z Piotrkowa Trybunalskiego.

– W marcu u nas w Piotrkowie rozpoczęło się pospolite ruszenie i naprawdę wszyscy pomagali, z każdej strony. Ludzie dowozili rzeczy na granicę bądź zabierali stamtąd ludzi – opowiada Katarzyna. – Moja pomoc dla żołnierzy zaczęła się od tego, że po miesiącu od rozpoczęcia inwazji napisałam do znajomych w Kijowie, których znałam z zawodów w bikepolo. To gra w polo, tyle że na rowerach.

Ojciec jednego z nich był na froncie – brakowało rękawic i nakolanników, w Ukrainie już nie dało się tego kupić. Katarzyna kupiła sprzęt przez internet i dowiedziała się o zbliżającym się transporcie dla żołnierzy, za pośrednictwem którego wyposażenie trafiło do adresata.

Wtedy, jak mówi, wsiąkła. Do organizacji następnych zbiórek wykorzystywała grupy charytatywne na Facebooku, do których należała wcześniej. Szybko okazało się, że takich równoległych sieci aktywistów jest w samym tylko Piotrkowie więcej.

Solidarność w dobie inflacji

W kontekście tej pomocy ważny był właśnie przygotowany wcześniej grunt instytucjonalny, na którym można było budować – choćby grupy, które pomagały osobom starszym podczas pandemii. Teraz, w czasie wojny za wschodnią granicą, można było wykorzystać istniejący potencjał w nowym celu.

– Wszyscy starali się to raczej ukrywać, kontakt odbywał się głównie przez telefon i na zamkniętych czatach. Sprzętu wojskowego szukano u znajomych – mówi Katarzyna. – Znam przypadki, kiedy cywile kupowali amunicję czy krótkofalówki. Ciężko oszacować, ile tego szło, ale wydaje mi się, że było tego bardzo dużo. W Polsce przecież są myśliwi czy ludzie chodzący na strzelnice, oni mają do tego dostęp.

Jednak wbrew temu, co mówiła Julia z Charkowa, Katarzyna jest bardziej sceptyczna co do tego, jak ta pomoc wygląda teraz – pospolite ruszenie wygasło, punkty prowadzące zbiórki zaczęły się zamykać. Widać też, że zaangażowanie na dłuższą metę odbija się na życiu prywatnym.

Katarzyna: – Teraz wszyscy widzimy, jak jest. W Polsce ludziom wydatki idą w górę. Wróciliśmy do pracy i zaczęliśmy zajmować się swoim życiem. Jak się zadzwoni do konkretnej osoby, to ona przyjdzie i pomoże, ale nie ma już „ruszania na hasło”.

– Wydaje mi się, że ludzie zaczęli też oszczędzać i dochodzą do wniosku, że trzeba będzie pomagać także samym Polakom – dodaje Katarzyna. – Możliwe, że wsparcie instytucjonalne jest teraz większe niż to społeczne, tego drugiego już nie widać aż tak, jak na początku.

Kwestia ceny

Tymczasem w medialnych wieściach z frontu – ostatnio skupiających się na sukcesach ukraińskich w rejonie Chersonia czy Charkowa, a także na rosyjskich atakach na infrastrukturę – nieczęsto wspomina się, jak ekstremalne warunki panują na froncie, jak często niszczony jest sprzęt, i jaką cenę ponoszą tam Ukraińcy.

– Ludzie przyzwyczają się do tego nawet tutaj, w Ukrainie – mówi Julia. – Tymczasem ludzie giną codziennie, a Rosjanie ostrzeliwują cywilów. Musimy o tym pamiętać, również za granicą. Na każdym z cmentarzy, również tutaj na zachodzie kraju, co chwila pojawiają się nowe groby, mogiły żołnierzy. Wygramy tę wojnę, jestem pewna. Jedyne pytanie to kwestia ceny.

Podobne przekonanie wyraża Serhij, gdy pytam, czy rosyjska mobilizacja odmieni losy wojny: – W rosyjskiej armii wiele rzeczy istnieje tylko na papierze. Najlepsze, co mogło jeździć i strzelać, już pojechało na Ukrainę i zostało zniszczone. A w miesiąc z chłopa żołnierza nie zrobisz. U nas jest motywacja, tu jest mój dom, moja rodzina, moje dzieciaki, ja bronię swojego. A oni?

Nie zapomnimy

Julia i Serhij zgodnie twierdzą, że polskie wsparcie można tłumaczyć prostą wspólnotą doświadczeń. Trochę inaczej widzi to Katarzyna z Piotrkowa: dla niej skala pomocy stanowiła niespodziankę.

Julia: – Poza tym Polacy czują, że Ukraina to nie jest kraj, na którym Rosja się zatrzyma. I wiedzą, czym jest ta słynna „rosyjska dusza”.

Serhij: – Gdy pojechałem do Europy, do Polski, zrozumiałem: aha, chodzę do pracy, starcza mi na życie i na to, żebym wziął kredyt na samochód i dom. Patrzyłem na to i zrozumiałem, że chcę, żeby w moim domu też było lepiej. U Ruskich psychologia jest inna. Oni nie chcą żyć lepiej. Chcą, żeby ich sąsiad był sprowadzony na ziemię, do ich poziomu.

– Myśmy są takie sąsiady, że na zmianę albo ze sobą walczymy, albo się przyjaźnimy – dodaje Serhij. – To mimo wszystko coś innego niż tamten duży „sąsiad”, który na siłę każe ci być jego bratem. A Polak pamięta, co to Sowiety. – Ukraiński weteran przywołuje wspomnienie, jak jego polscy koledzy z pracy załadowali mu samochód jedzeniem, gdy wracał w lutym do Ukrainy. – Mówili, że sami strzelać nie potrafią, więc chociaż tak mogą pomóc. Na froncie zawsze miałem polskie konserwy.

– Nie poradzilibyśmy sobie, gdyby nie Polacy – mówi Julia. – Pomagacie nam dalej. O tym nigdy nie zapomnimy.

© FILIP RUDNIK

Lesia ze zdjęciem 21-letniego syna, który jest w wojsku gdzieś pod Kijowem.
Z prawej: Oksana i Lesia z ich siatką maskującą. Niżankowice, listopad 2022 r.

Pościel, co ratuje życie

TEKST I ZDJĘCIA: WOJCIECH PIĘCIAK
Z NIŻANKOWIC (OBWÓD LWOWSKI)
I POKROWSKA (OBWÓD DONIECKI)

1300 kilometrów: taką drogę pokona na front w Bachmucie siatka maskująca. Wykonana przez kobiety z ziemi lwowskiej, chroniąca przed dronami, jest jedną z tych rzeczy, o którą proszą dziś walczący.

WSZYSTKO ZACZYNA SIĘ TUTAJ: W WIOSCE na karpackim pogórzu, którą od granicy z Polską dzieli paręset metrów. Do Przemyśla jest w linii prostej kilka kilometrów, ale by tam dotrzeć, trzeba odbyć dłuższą podróż: naokoło, do przejść granicznych w Bieszczadach lub Medyce.

Przynajmniej na razie, bo już wkrótce tu, w Niżankowicach, ma zostać otwarte nowe przejście – jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem. Jeśli, bo choć prace są intensywne – po stronie ukraińskiej drogę Sambor-Niżankowice remontowano w ostatnich miesiącach; teraz to najlepsza droga w regionie – ostatnio rozeszła się wieść, że archeolodzy, towarzyszący remontowi po stronie polskiej, mieli „coś" znaleźć i prace mogą być opóźnione.

Ale to, co martwi pewnie miejscowych przedsiębiorców – tych, którzy zainwestowali już w ziemię wzdłuż drogi, pod sklepy i punkty usługowe – nie jest największym problemem dla 50-letniej Lesi i 39-letniej Oksany. Mieszkanki Niżankowic z niepokojem patrzą na kurczący się zapas starych prześcieradeł. Ostatnio podratowali ich polscy sąsiedzi zza bliskiej granicy, podwieźli ich zapas. Ale na długo nie starczy.

STARE PRZEŚCIERADŁA to surowiec, z którego kobiety z Niżankowic plotą siatki maskujące dla żołnierzy. Proces produkcyjny wygląda tak: najpierw farbują je (a także stare koszulki, polary itp.) na kolory adekwatne do pory roku. Potem tną na paski. Te zaś zaplatają na siatkach. Siatki są rozciągnięte na wielkich krosnach w budynku silrady, wiejskiej rady. Te większe osłonią stanowiska w okopach, ziemianki, a także auta, którymi na front dostarcza się zaopatrzenie, i którymi z powrotem odwozi się rannych oraz poległych. Te najmniejsze, plecione na niewielkich drewnianych ramkach, ochronią hełm.

– Zaczęliśmy 27 lutego – mówi Oksana. Na co dzień przedszkolanka, do silrady przychodzi codziennie po pracy, z wyjątkiem niedziel. Podobnie inne kobiety. Czasem przychodzą z dziećmi: te pomagają, a do gotowych siatek dołączają swoje rysunki. Emocjonalną wartość dodaną dla człowieka gdzieś w okopie.

– Do tej pory zrobiłyśmy około pięciuset wielkich siatek. Do tego mniejsze. Ile? Nie wiem, nie liczyłyśmy – mówi Oksana. – Tak, jesteśmy już tym bardzo zmęczone. Ale potem dostajemy zdjęcie z frontu. Albo wiadomość, że nasza siatka uchroniła kogoś od drona, który krążył nad chłopcami. I prośbę o kolejne siatki, teraz w kolorach jesiennych. Albo zimowych, mamy już takie prośby. To co robić? Przecież nie możemy przestać.

DZIESIĘĆ WIELKICH: tyle siatek mamy zawieść z Niżankowic do Pokrowska, powiatowego miasta w obwodzie donieckim. Pokrowsk leży na zapleczu oddziałów ukraińskich, które bronią Bachmutu. To dziś najcięższy odcinek frontu. I jedyny, na którym Rosjanie teraz nieustająco i intensywnie atakują.

Dlaczego akurat tu? Trudno powiedzieć. Może to kwestia prestiżu, cel minimum (Putin kazał wszak „wyzwolić" Donbas). A może kwestia przeciwnika: pod Bachmutem walczy Grupa Wagnera. – W internecie ludzie śmieją się, że u Wagnera walczą zeki, zrekrutowani więźniowie – mówi Wasyl (imię zmienione), wolontariusz ze stażem od 2014 r., który od lutego odbył kilkadziesiąt kursów na front, także pod Bachmut. – Ale to nie tak. Trzon wagnerowców to wciąż weterani z Syrii czy Afryki. To nie żołnierze. To zabójcy. Dla nich zabić to jak splunąć. I są w tym dobrzy.

– Tu jest strasznie – przyzna także (anonimowo) ukraiński oficer, jeden z dowodzących na tym odcinku. – To *miasorubka*, maszynka do mięsa. Jednego dnia my idziemy do przodu dwieście metrów, następnego dnia oni. Tak, mamy straty. Ale się trzymamy – dodaje. Brzmiałoby to jak urzędowy optymizm, gdyby nie rozmowy ze zwykłymi żołnierzami. – Tak, to piekło, ale wytrzymamy – zapewniają.

Tu mają trafić więc siatki z Niżankowic. Oraz rzeczy, które podarowali lub sfinansowali czytelnicy i czytelniczki „Tygodnika": polary, śpiwory zimowe, termobielizna, skarpety i czapki, a także generatory prądotwórcze.

PIERWSZY TRANSPORT z rzeczami zebranymi przez „Tygodnik" zawieźliśmy już wcześniej do Lwowa i tam przekazaliśmy na ręce Ihora, znajomego wolontariusza, który na front chersoński miał wyruszyć w pierwszy weekend listopada. Teraz ten drugi transport, upchany z trudem do 21-letniego mercedesa vito, zawieziemy sami do obwodu donieckiego.

Auto tam zostanie, w szpitalu polowym: kupione przez Ukraińców z Polski, ma służyć jako sanitarka (choć nie od razu: podczas 1300-kilometrowej podróży najpierw wysiądą klocki hamulcowe w prawym przednim kole, a potem lewe tylne koło zacznie grozić odpadnięciem; w czasie remontu, w jednostce wojskowej gdzieś po drodze, okaże się, że sprzedający, który zapewniał, iż auto jest sprawne, wadliwe miejsca ukrył pod warstwą masy bitumicznej).

Auta-sanitarki, czyli często zwykłe samochody – furgonetki lub choćby kombi – są tu w cenie. System ewakuacji z pola walki – gdzie po pierwszym ustabilizowaniu ranny musi być wieziony samochodem do wysuniętego punktu medycznego pierwszej pomocy, zwykle kilkanaście kilometrów po polnych drogach – sprawia, iż pojazdy zużywają się szybko. Albo padają ofiarą rosyjskich dronów. Także frontowi medycy potrzebują więc siatek maskujących. Te nasze, z Niżankowic, trafią jednak do kogoś innego.

W POKROWSKU oczekuje nas bowiem Wiktor (imię zmienione). Niespełna 30-letni starszy lejtnant – to ranga pośrednia między porucznikiem a kapitanem – dowodzi oddziałem rozpoznania jednej z brygad walczących pod Bachmutem. Aby odebrać siatki, weźmie krótką przepustkę od swojego dowódcy. Bardzo krótką – podczas naszego spotkania, na dworcu autobusowym w Pokrowsku, dostanie wiadomość, że musi wracać, bo „orki" ruszają do przodu (żołnierze rzadko mówią „Rosjanie"; zwykle mowa jest o „Moskalach" lub „orkach" – stworzeniach z „Władcy Pierścieni" Tolkiena służących Sauronowi, władcy ciemności).

Przeładunek siatek w Pokrowsku.

„Chwała Ukrainie! Niech Bóg was strzeże" – karteczka z Niżankowic dla odbiorcy siatki.

Wracając w bachmuckie piekło, Wiktor zabierze także termobieliznę, polary i śpiwory. Ale tylko trochę. – Tyle starczy, więcej nam nie trzeba – zaznaczy. To powtarzająca się obserwacja: im bliżej frontu, tym ludzie w mundurach są bardziej powściągliwi w przyjmowaniu pomocy. – Tyle nam wystarczy, inni też potrzebują – to zdanie słyszymy często. Jakby tych, którzy wiedzą, co znaczy siedzieć przez dwa tygodnie w okopie, łączyła jakaś szczególna więź. Solidarność? Braterstwo? Odpowiedzialność za kolegów? I koleżanki, bo wśród walczących jest dużo kobiet. – Dziękujemy, że tu przyjechaliście – mówi młoda żołnierka, napotkana na stacji benzynowej gdzieś w Donbasie. Poprosiła o polar, bo jej stary się przetarł. Jeden.

– Nie macie może polskiej flagi? – zapyta oficer z Kijowa, który też dostał polar (jeden) i ciepłą polarową czapeczkę (służąc w stolicy, zajmuje się formowaniem nowych jednostek). – To zabierzcie następnym razem. Chciałbym ją sobie powiesić na kwaterze.

TAKŻE LESIA I OKSANA coś dostaną: zdjęcia z pospiesznego przekazania ich siatek Wiktorowi. W listopadowy poranek, gdy w drodze powrotnej spotkamy się w Niżankowicach, będą je oglądać, wzruszone. A po południu znów będą przerabiać stare prześcieradła. Przecież nie mogą przestać. ©℗

Zbiórka „Tygodnika" dla ukraińskich obrońców

Drogie Czytelniczki, Drodzy Czytelnicy, nasza zbiórka trwa. Prosimy Was o takie rzeczy jak:

- termobielizna (rozmiary XL, L i M)
- śpiwory zimowe
- polary (najlepiej zielone, rozmiary XL, L i M)
- ciepłe skarpety
- ciepłe czapki (najlepiej w kolorze zielonym)
- ogrzewacze do stóp i rąk

Dary można przynosić do redakcji lub przysyłać pocztą.

Nasz adres:
„Tygodnik Powszechny",
ul. Dworska 1C/ LU 3-4
30-314 Kraków

Natomiast zbiórka pieniężna, o którą pytało wielu Czytelników, organizowana jest przez:

Fundacja S.O.S. Ukraina (www.ukrainasos.eu)
Numer KRS: 0000962758
Adres: ul. Wspólna 2 G, 35-205, Rzeszów

Numery kont (Bank PKO BP):
Złotówki: 28 1020 4391 0000 6102 0217 8408
Euro: PL 57 1020 4391 0000 6802 0217 8416
Dolary: PL 62 1020 4391 0000 6602 0217 8424
Funty: PL 67 1020 4391 0000 6402 0217 8432

Z tytułem przelewu: **Akcja Tygodnika Powszechnego**

Za zebrane środki planujemy zakup np. generatorów prądotwórczych. Dziękujemy!

REDAKCJA „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Powolny zmierzch putinizmu

ANNA ŁABUSZEWSKA

Rozpętana przez Putina wojna wstrząsnęła posadami jego systemu. Jak zmienia się polityczny krajobraz Rosji po ośmiu miesiącach kampanii, która miała trwać kilka dni?

Szybka „operacja specjalna" miała doprowadzić do powrotu Kijowa pod skrzydła Moskwy. Nagłe zwroty akcji, heroiczny opór Ukraińców, zachodnia solidarność i wszelkie nieprzewidziane skutki wojny zmuszają władze Rosji do szukania coraz to nowych rozwiązań i obnażają mielizny systemu. Putin walczy o życie – z punktu widzenia logiki jego rządów przyznanie się do porażki nie wchodzi w grę. Popatrzmy, jakich metod się chwyta i jakie to może mieć skutki dla trwałości jego władzy.

W obliczu porażek

Wojna okazała się sprawdzianem dla mitologii putinizmu. W ciągu kilku miesięcy padł utrwalany przez propagandę mit „drugiej armii świata": wielkiej, niezwyciężonej, szlachetnej. Rosjanie w mundurach okazali się maruderami, zbrodniarzami i gwałcicielami, prowadzonymi przez nieudolnych dowódców. Co więcej: na froncie zaczęli zbierać cięgi. W ostatnich tygodniach armia ukraińska przeprowadziła udane kontrofensywy w obwodach charkowskim i chersońskim, odbijając znaczne obszary. Odpowiedzią Kremla stała się mobilizacja, aneksja okupowanych terenów i wprowadzenie tam stanu wojennego.

21 września w telewizyjnym przemówieniu Putin uszczęśliwił rodaków ogłoszeniem „częściowej mobilizacji". Zgodnie z zapowiedzią, miała dotyczyć tylko rezerwistów, zwłaszcza tych mających wojskowe specjalności. W praniu okazało się, że osiągnięcie wyznaczonego celu zmobilizowania 300 tys. mężczyzn wymagało wręcz łapanek na ulicy, bo chętnych do wysłania na front w charakterze mięsa armatniego nie było wystarczająco wielu.

Ogłoszenie mobilizacji zakończyło ten etap „operacji specjalnej", w którym władze starały się minimalizować zaangażowanie społeczeństwa – jednostki frontowe uzupełniano żołnierzami kontraktowymi, a pojawiającym się co rusz pogłoskom o mobilizacji zaprzeczano (jeszcze 13 września rzecznik prasowy Kremla zapewniał, że jej nie będzie). W końcu skala porażek zmusiła władze do zmiany tonacji i sposobu prowadzenia wojny.

Strategie przetrwania

Komunikat o niej brzmiał łagodnie, by nie doprowadzać do wrzenia w społeczeństwie. Przymiotnik „częściowa" miał być środkiem uspokajającym. I Putin, i minister obrony Siergiej Szojgu zapewniali: Rosjanie, nic się nie stało, to dotknie tylko niektórych, nie będziemy przecież ruszać z kanapy tych, którzy oglądają wojnę w telewizji i ją popierają.

Wielu ekspertów wojskowych uznało ogłoszenie mobilizacji dopiero po kilku miesiącach nieudanej kampanii za decyzję spóźnioną. O jej efektach na froncie będzie można mówić za jakiś czas. Natomiast już teraz można powiedzieć o skutkach społecznych.

Masowych protestów mobilizacja nie spowodowała. Część społeczeństwa

AFP / EAST NEWS

się wprawdzie ocknęła, ale była to część niestanowiąca masy krytycznej. W Moskwie i Petersburgu protestowały matki młodych chłopaków, którzy mogą dostać wezwanie, ale protesty zgaszono w zarodku i nie miały rezonansu społecznego.

Największą grupę protestujących stanowili natomiast ci, którzy zamiast wychodzić z transparentami na Arbat, wybrali indywidualną strategię przetrwania: spakowali się i opuścili kraj. Przy przejściach granicznych pod koniec września tworzyły się gigantyczne korki – łącznie ponad 700 tys. mężczyzn uciekających przed mobilizacją chciało jak najszybciej opuścić Rosję z obawy przed rychłym ogłoszeniem stanu wojennego i zamknięciem granic. W mediach pojawiły się zdjęcia satelitarne tych kolejek i stały się światową sensacją.

Kreml udał, że ich nie widzi. Wyjechali głównie ludzie młodzi, przedsiębiorczy, kreatywni. Tacy, którzy nie wpisują się w paradygmaty społeczne Kremla: nie popierają wojny, krytycznie patrzą na poczynania władz i nie identyfikują się z hasłami propagandy. Takich Putin rad się pozbyć, by nie psuli pejzażu posłusznych mas, podążających za wodzem i nie myślących o tym, aby go zmienić na innego.

Nagroda pocieszenia

Wobec niemożności zrealizowania celów głoszonych na początku inwazji (pełnego podporządkowania Ukrainy i defilady zwycięstwa w Kijowie), reżim wygenerował nagrodę pocieszenia: ogłosił aneksję czterech ukraińskich obwodów.

Zaraz po ogłoszeniu mobilizacji władze okupacyjne pospiesznie zorganizowały na odebranych Ukrainie obszarach – w tzw. republikach ludowych Donieckiej i Ługańskiej oraz obwodach chersońskim i zaporoskim – *quasi*-referenda. Przeprowadzono je z pogwałceniem wszelkich norm; ich wyników (prawie sto procent za przyłączeniem do Rosji) społeczność międzynarodowa nie uznała. Choć był wyjątek: Korea Północna.

Kreml sięgnął po scenariusz krymski, sprawdzony w 2014 r.: najpierw wyrażenie woli przez ludność (zachwyconą perspektywą włączenia do Rosji), potem uroczyste podpisanie traktatów na Kremlu i koncert na placu Czerwonym dla rozentuzjazmowanego tłumu, dumnego z powiększenia państwa.

W 2022 r. ramy zostały te same, ale obrazek różnił się od tego sprzed ośmiu lat: Putin anektował tereny, o które nadal trwają walki. Kijów oświadczył, że nie uznaje rabunku swych ziem i będzie walczyć o ich odzyskanie. Co więcej, Wołodymyr Zełenski ogłosił, że Ukraina wstępuje na przyspieszoną ścieżkę członkostwa w NATO, a rozmowy pokojowe z Rosją, owszem, podejmie, ale dopiero z nowym prezydentem, który nastanie po Putinie.

Nieudany scenariusz

Przyłączenie podbitych terytoriów miało pokazać, jak to ujęli analitycy Ośrodka Studiów Wschodnich, że „Rosja nie utraciła zdolności do odzyskiwania terytoriów uznawanych przez nią za własne. Przyłączenie stanowi próbę politycznego i propagandowego przykrycia ponoszonych na froncie porażek. Sygnalizuje również, że konflikt zbrojny nie zostanie »zamrożony«, jeśli Kijów nadal będzie odrzucał rosyjską politykę faktów dokonanych. Kreml, zdając sobie sprawę, że zmiana postawy prezydenta Zełenskiego w tej kwestii nie jest możliwa, będzie się starał – wykorzystując straszak atomowy – doprowadzić do ograniczenia zachodniego wsparcia wojskowego dla Ukrainy i wpłynąć na ograniczenie działań bojowych armii ukraińskiej".

Ale z tych starań nic nie wyszło: armia ukraińska nie wstrzymała kontrnatarcia. W dniu „zjednoczeniowej" fety na Kremlu odbiła miasto Łyman, wpisane już w traktaty akcesyjne jako przynależne Rosji. Kreml musiał w biegu wnosić korekty do dokumentów.

W 2014 r. Putin był pewny swego: o Krym nie musiał walczyć, wystarczyły „zielone ludziki". Nowe władze Ukrainy, wyłonione w wyniku Majdanu, nie panowały jeszcze nad sytuacją i nie podjęły walki. Rosjan ogarnął amok: „Krym nasz!" – wiwatowali autentycznie. Zachód z trudem, ale przełknął tę aneksję – choć wprowadzono sankcje, Rosja nie miała problemów, by z ważnymi partnerami wrócić do *business as usual*. Teraz sytuacja jest inna.

Oczekiwanie na zwycięstwo

Widać to było podczas wrześniowej uroczystości na Kremlu. Zebrana elita słuchała przemówienia Putina z grobowymi minami, niektórzy zapadali w drzemkę. To symbol stanu umysłów wysoko postawionych putinistów, którzy od początku inwazji nie drgnęli, sparaliżowani strachem, i posłusznie realizują polecenia. Czy ten stan utrzyma się, gdy Kreml poniesie klęskę? Elity popierają wojnę, skoro już została wywołana, nie zważając na ofiary. Popierają, ale liczą na wygraną i profity. Na razie czekają. Ale czy tak będzie wiecznie?

A jak jest ze społecznym poparciem dla „operacji specjalnej"? Tu też, jak się wydaje, powszechne jest oczekiwanie na zwycięstwo. Miarodajnych pomiarów nastrojów w czasach panikującego putinizmu brak, ale można łapać sygnały. I tak, podczas transmisji telewizyjnej koncertu poświęconego przyłączeniu nowych ziem realizatorzy musieli podkładać odgłosy aprobaty tłumu, bo zwieziona autokarami publiczność milczała.

Socjolog Kirił Rogow zauważa ciekawy aspekt ostatnich badań opinii publicznej, prowadzonych przez Centrum Lewady: 57 proc. uczestników opowiedziało się za podjęciem rozmów pokojowych z Ukrainą, 36 proc. zadeklarowało akceptację dla kontynuacji działań zbrojnych. Jednocześnie na pytanie, „czy popierasz działania rosyjskiej armii na terytorium Ukrainy?", aż 73 proc. odpowiedziało twierdząco – i wskaźnik ten ostatnio się nie zmienił.

Jeśli zestawić te dane, okazuje się, że tych, którzy są za kontynuowaniem wojny, jest dwa razy mniej niż ją popierających. I nie jest to paranoja: ludzie nie chcą wojny, ale nie są na razie gotowi, by podjąć konfrontację z reżimem z tego powodu – podsumowuje Rogow.

Wszystko dla armii

Utrzymanie pod kontrolą anektowanych ziem okazuje się jednak trudniejsze, niż mogło się wydawać. Stąd jednym z narzędzi mających służyć ich podporządkowaniu ma być podpisany 19 października dekret o wprowadzeniu na tych terenach stanu wojennego.

Po częściowej mobilizacji przyszedł czas na częściowy stan wojenny. Celem ma być odparcie agresji zewnętrznej (za takową Rosja uważa kontrofensywę ukraińską) i wzmocnienie gospodarki, która powinna więcej pracować dla frontu. Ma powstać rada koordynacyjna; na jej czele postawiony został premier Michaił Miszustin. Gubernatorzy mają okazać mu wsparcie. Wszystkie ręce na pokład, wszystko dla armii. Wybrane ↦

Policja zatrzymuje uczestniczkę protestu przeciwko mobilizacji. Moskwa, wrzesień 2022 r.

↦ przepisy mają obowiązywać nie tylko w czterech ukraińskich regionach – jeśli zajdzie taka potrzeba.

Kijowski publicysta Witalij Portnikow tak ocenia sens hybrydowego stanu wojennego: „Chodzi nie tyle o podbite terytoria, gdzie okupacyjne władze od dawna stosują bandyckie metody, o wiele bardziej represyjne niż ogłoszone przepisy stanu wojennego: obozy koncentracyjne, filtracja, segregacja, odbieranie własności. Celem nowego dekretu Putina jest okupacja samej Rosji. Nie ma w tym nic nowego. Każdy tyran wcześniej czy później realizuje ideę okupacji własnego państwa, unicestwienia nawet najbardziej kruchych praw, które jeszcze zostały społeczeństwu".

Przymusowa mobilizacja, przymusowa praca na rzecz państwa, zamykanie ust niezadowolonym – dla Putina głównym celem jest utrzymanie się u władzy wszelkimi sposobami i zlikwidowanie jakichkolwiek zagrożeń. Dekret o stanie wojennym to tylko kolejne narzędzie w tej grze.

Warto zwrócić tu uwagę, że Putin idzie koleiną przetartą podczas pandemii, gdy delegował część uprawnień na niższe szczeble, zrzucając z siebie odpowiedzialność za niepopularne decyzje. Teraz też chciałby uciec przed winą za niepowodzenia. Niemniej to on pozostaje głównodowodzącym – człowiekiem, którego Rosjanie rozliczą za porażki. Ciekawe będzie też obserwowanie, na ile stworzenie – równolegle do istniejących instytucji – rad zarządzających kryzysem wpłynie na dalsze osłabianie stworzonego przez Putina słynnego „pionu władzy", który okazuje się dziś niewydolny.

Nowi gieroje

Wojna miesza w kremlowskim bagnie: są tacy, którzy w nowej sytuacji widzą szansę na zajęcie eksponowanego miejsca w pobliżu szczytów władzy, a może nawet mają chrapkę na sam szczyt. Ostatnio wiele hałasu narobiły szarże petersburskiego biznesmena Jewgienija Prigożyna („kucharza Putina", zawiadującego wagnerowcami i internetowymi trollami) oraz Ramzana Kadyrowa (władcy Czeczenii i „piechura Putina"). Pojawiły się domniemania, że Prigożyn mógłby zająć miejsce Putina.

Kim on jest? Na początku lat 90., po odsiedzeniu wyroku za kradzież, rozbój i oszustwa, zajął się małą gastronomią. Potem otworzył modne restauracje, w których bywali urzędnicy petersburskiego merostwa. Także ówczesny zastępca mera, Władimir Putin, lubił przyprowadzać tu gości z zagranicy.

> Tak jak podczas pandemii, Putin próbuje dziś zrzucić z siebie **odpowiedzialność za niepopularne decyzje.**

Prigożyn rozszerzał działalność, dostawał lukratywne kontrakty na dostawy żywności do szkół i koszar; przynosiło to krociowe zyski. A potem, około roku 2010, jego nazwisko zaczęło wypływać w związku z działalnością niemającą nic wspólnego z gastronomią. W 2012 r., gdy przez kraj przetaczały się protesty przeciw powrotowi Putina na Kreml, Prigożyn został przyuważony na finansowaniu fabryki trolli, obliczonej na dyskredytację opozycji. Trolle Prigożyna używane były też podczas wyborów prezydenckich w USA; ich działalność mogła wpłynąć na wybór Trumpa. To już były zadania nowego kalibru, świadczące o zaufaniu Kremla. Prigożyn zaczął firmować tak ważne akcje, jak wysyłanie wagnerowców (najemników z Grupy Wagnera, przypisywanej mu prywatnej firmy militarnej) na kluczowe dla polityki Moskwy odcinki: do Syrii, Republiki Środkowoafrykańskiej, Libii itd.

To wątek ważny także dziś. Gdy okazało, że regularna armia zawodzi, Kreml dał Prigożynowi zielone światło: wagnerowcy zaczęli nowe werbunki. Gdy i to nie starczyło, „kucharz" ruszył z misją pozyskania więźniów. Za zgłoszenie się i wykazanie się odwagą kryminalista może liczyć na amnestię.

Pretendent do władzy

Prigożyn coraz częściej pozwala sobie na krytykę resortu obrony. Z każdym niepowodzeniem armii umacnia swą pozycję na kremlowskim dworze, pragnąc uchodzić za tego, kto potrafi organizować siłę militarną skuteczniejszą niż hufce Szojgu. Analitycy podkreślają, że mając własne armie, Prigożyn i Kadyrow łamią monopol państwa. I mogą dyktować warunki. Na tym podglebiu wyrosła teza, że Prigożyn (sam lub w sojuszu z Kadyrowem) może pretendować do objęcia władzy.

Czy to możliwe? Popatrzmy, dokąd sięgają jego macki. Prigożyn od dawna ma na pieńku z gubernatorem Petersburga Aleksandrem Biegłowem, co chwila żąda jego dymisji. Ale Putin się z tym nie spieszy. Prigożynowi pozwala się na krytykę, ale nie na personalne decyzje. Tu jego wpływy się kończą.

Politolożka Tatiana Stanowaja pisze w Telegramie: „Oficjalnie Prigożyn jest nikim. Nieoficjalnie pogrążony jest w licznych konfliktach – z FSB, z ministerstwem obrony. Niemniej to człowiek, który regularnie spotyka się z Putinem (...) i może nawet pretendować do roli prywatnej służby specjalnej Putina".

Prigożyn wypuszcza coraz to nowe sygnały, że chce mieć wpływ na to, co dzieje się w rosyjskiej polityce. Ostatnio zwrócił się do Prokuratury Generalnej o ograniczenie dostępu do YouTube'a i uznanie Google'a za „organizację niepożądaną" w Rosji; jego zdaniem YouTube „dyskredytuje rosyjską armię". Politolog Andriej Kolesnikow ocenia, że Prigożyn zaczyna przypominać Rasputina na dworze cara Mikołaja II: „Putin go teraz potrzebuje, gdyż za wszelką cenę musi osiągnąć cele militarne (...) Przyzwyczailiśmy się mówić o Prigożynie: kremlowski kucharz. Ale ten kucharz gotuje różnorodne dania, nie tylko kulinarne. (...) Czy stanie się konkurentem Putina? Myślę, że Putin zachowuje na razie narzędzia sprawowania władzy. Najprawdopodobniej wykorzysta Prigożyna, a potem w każdej chwili będzie mógł się go pozbyć. Wiele będzie zależało od tego, na ile zagrywki Prigożyna będą w stanie przekonać Putina, że kucharz jest mu niezbędny, i że nie ma on ambicji politycznych".

■■■

Co dalej? Z kremlowskich korytarzy dobiegły ostatnio słuchy, że urzędnicy administracji pod wodzą Siergieja Kirijenki – odpowiedzialnego za przyspawanie nowych terytoriów do Rosji i politykę wewnętrzną – już zaczęli prace nad przygotowaniem do wyborów Putina w 2024 r. Rzecznik prezydenta pospieszył z zapewnieniem, że szef jeszcze nie podjął decyzji, czy wystartuje. A po rzeczonych korytarzach popłynęły szepty, iż Prigożyn będzie w tych „wyborach" wymarzonym sparringpartnerem dla Putina.

O ile w 2024 r. obaj będą o czymkolwiek decydować. ©℗ ANNA ŁABUSZEWSKA

SAMEER AL-DOUMY / AFP / EAST NEWS

Migranci wodują ponton w okolicach Dunkierki, Francja, październik 2022 r.

Albańscy łącznicy

MARCIN ŻYŁA

Szlaki migracyjne zawsze przyciągały grupy przestępcze. W ostatnich dniach nigdzie nie widać tego lepiej, jak na obu brzegach kanału La Manche.

To nietypowy kryzys: zaczął się nagle, a jego bezpośrednią przyczyną nie jest wojna ani bieda. Dotyczy też narodowości, dla której celem migracji były dotąd inne państwa.

W sierpniu 2022 r. w sieci społecznościowej TikTok zaczęły masowo pojawiać się oferty transportu do Wielkiej Brytanii, skierowane do obywateli Albanii. Szmuglerzy ludzi wyceniali usługę na ponad 2 tys. euro. Oferowali też promocję: darmowa podróż w zamian za przyszłe „usługi", świadczone przez migrantów już na Wyspach.

Dziś, czyli trzy miesiące później, 80 proc. osób przepływających nielegalnie La Manche z Francji do Anglii to Albańczycy. Brytyjskie statystyki odnotowały w tym roku już 12 tys. obywateli tego kraju (dla porównania: w 2021 r. było ich ośmiuset). Aż 10 tys. z nich to podróżujący w pojedynkę mężczyźni.

W Wielkiej Brytanii wywołało to wrzenie. Podczas debaty w Izbie Gmin minister spraw wewnętrznych Suella Braverman mówiła wręcz o „inwazji" Albańczyków. Skrytykowano ją za to, ale nawet politycy opozycji nie kwestionują, iż w ostatnich tygodniach migracją sterują grupy przestępcze. „Usługi" zaś, którymi wielu niekaranych dotąd Albańczyków jest zmuszonych płacić za transport, polegają ni mniej ni więcej, tylko na współpracy z dilerami narkotyków.

WYRÓŻNIANIE WŚRÓD MIGRANTÓW kategorii „młodych samotnych mężczyzn" krytykują organizacje praw człowieka – z obawy, że w ślad za tym idą stygmatyzacja i nielogiczne założenie, iż tacy ludzie nie mogą uciekać przed wojną czy biedą (bądź, jak niedawno w przypadku Rosjan, przed powołaniem do wojska). W praktyce ta kategoria bywa jednak użyteczna przy określaniu charakteru migracji. Ostatnie tygodnie nad kanałem La Manche pokazują też, jak mszczą się nierozwiązane kłopoty z przeszłości.

Ze śledztwa przeprowadzonego przez dziennikarzy BBC wynika, że grupy narkotykowe jako swoje punkty rekrutacyjne traktują obozowiska migrantów w północnej Francji – te same, które od kilku lat usiłują chaotycznie likwidować lokalne francuskie władze. Do Dunkierki i innych miejscowości na wybrzeżu migranci przyjeżdżają samochodami i autobusami, korzystając z ruchu bezwizowego między Albanią a Unią Europejską. Czasem już w Paryżu i Brukseli czekają na nich pośrednicy – często związani z operującymi na Wyspach od lat grupami przestępczymi. National Crime Agency, odpowiedniczka polskiego CBŚ, szacuje, że obywatele Albanii stoją za importem marihuany „na skalę przemysłową"; pełnią też istotną rolę na rynku obrotu kokainą.

Z kolei według policji francuskiej członkowie albańskich grup przestępczych pełnią na razie rolę pośredników w kontaktach z irackimi Kurdami, którzy kontrolują szlak przemytniczy przez La Manche, odpowiadając za ok. 80 proc. nielegalnych rejsów. Istnieje jednak obawa, że Albańczycy będą chcieli założyć własną sieć przemytniczą, co może doprowadzić do ich konfliktu z Kurdami. Walka o wpływy między różnymi grupami narodowymi – na której zwykle najbardziej cierpią niezaangażowani w spory migranci – to problem, który w okolicach francuskiego Calais narasta od dawna.

Z NIEKTÓRYCH MIEJSCOWOŚCI w Albanii w ostatnich latach wyjechała już za granicę ponad połowa mieszkańców. Według standardów międzynarodowych państwo jest uznawane za bezpieczne. Nie kojarzy się już także z najmniej rozwiniętym krajem Europy, jakim było za komunistycznej dyktatury Envera Hodży (rządził on państwem do 1985 r.).

Jednak Albanii daleko do stabilności: jest przeżarta korupcją, a w niektórych miejscach powiązane z politykami grupy przestępcze kontrolują życie w stopniu znanym z opowieści o włoskiej mafii. Dochód na mieszkańca jest tu dziesięciokrotnie mniejszy niż w Wielkiej Brytanii. Historycznie celem albańskich migrantów ekonomicznych były jednak zawsze sąsiednie Włochy, bliższe kulturowo (język włoski jest w Albanii równie popularny co angielski).

Teraz premier Albanii Edi Rama oskarżył brytyjskich polityków, iż jego rodacy stali się w całej sprawie kozłami ofiarnymi. Rama uważa, że oskarżenia pod ich adresem mają odciągnąć uwagę od niepowodzeń polityki migracyjnej na Wyspach. O rozróżnianie między przestępcami oraz Albańczykami, którym należy się azyl (tu znów w większości pozytywnie rozpatrywane są wnioski kobiet i nieletnich, uznawanych zwykle za ofiary procederu handlu ludźmi), apelują też brytyjskie organizacje praw człowieka.

Według sondażu Gallupa z grudnia 2018 r. aż 60 proc. ankietowanych Albańczyków deklarowało, że chce wyjechać ze swojego kraju. ©℗

Od pucybuta do głowy państwa

DOMA MATEJKO

Jako dziecko marzył, aby być kierowcą tira. Potem pracował w fabryce, awansując na związkowego lidera. W ostatnią niedzielę października został prezydentem Brazylii – już po raz trzeci. Kim jest Lula da Silva?

W ciasnym pokoju z aneksem kuchennym leży ośmioro rodzeństwa: pięciu chłopców i trzy dziewczynki. Zaraz otworzą drzwi do łazienki, żeby zrobić jeszcze miejsce dla trzech kuzynów.

Najmłodszy z chłopców to Luiz Inácio Lula da Silva, obecny prezydent Brazylii, a wtedy jeszcze po prostu śpiący Luiz. Kiedy ktoś tak jak on urodził się w 1945 r. w Caetés, w samym środku biednego stanu Pernambuco, nie mógł od życia wymagać zbyt wiele.

Miał za to wszystko, czego trzeba, żeby zostać nikim. Na świat przyszedł w skrajnym ubóstwie, pośrodku niczego, i nawet imię miał pospolite. Jego matka, Dona Lindu, robiła wszystko, aby dzieci wychować na przysłowiowych ludzi. Sama była niepiśmienna, więc za cel obrała sobie, aby cała ósemka nauczyła się pisać i czytać. Luiz, jej ulubieniec, miał znacznie przewyższyć jej oczekiwania. Ale o tym Dona Lindu nigdy się nie dowiedziała, zmarła wcześniej.

W tamtych czasach z Caetés do São Paulo jechało się dziewiętnaście godzin starym autobusem, który przypominał bardziej pojazd do przewozu bydła, a nie ludzi. Luiz marzył, żeby jeździć prawdziwym samochodem transportowym. Najlepiej takim żółtym, jakie posiadała firma Shell. W wieku 14 lat to był szczyt jego marzeń.

Jego ledwo wiążąca koniec z końcem matka postanowiła zabrać dzieci do São Paulo. Tam odkryła, że jej wiecznie nieobecny mąż, ojciec Luiza, nie tylko ma romans z jej własną kuzynką, lecz również posiada z nią czworo dzieci. Łącznie ojciec przyszłego prezydenta spłodził dwadzieścia siedmioro dzieci; na koniec umarł w samotności. Może dlatego dekady później Luiz powie, że chce być dla Brazylijczyków niczym matka, a nie ojciec.

Sprzedawca wszystkiego

Kiedy jesteś z Brazylii, a los (albo Bóg) nie dał ci łaski urodzenia się wśród elit, możesz zacząć od czyszczenia butów, pobierając za to drobną opłatę.

Tak zrobił Luiz w wieku lat dwunastu. Zapewne nie był profesjonalnym czyścibutem w stylu latynoamerykańskim – to znaczy z własnym krzesłem z podstawką na stopy oraz, co ważne, z własnym parasolem – tylko takim zwyczajnym, ze szmatką w ręce. W każdym razie za pierwsze odłożone pieniądze, dwa lata później, kupił sobie kauczukową piłkę, wierząc, że kiedyś uda mu się grać w klubie Corinthians. W międzyczasie sprzedawał na ulicy owoce tropikalne, które dla niego były czymś tak oczywistym jak dla nas jabłka.

Ten sam los (albo Bóg), który zgotował mu skrajne ubóstwo, pomógł mu później znaleźć pracę w fabryce. Luiz miał wtedy siedemnaście lat i pięć lat szkoły za sobą. Umiał czytać i pisać. Ukończył szkołę zawodową w ramach Serviço Nacional de Aprendizagem Industrial (Krajowej Służby Praktyk Przemysłowych). Wiele lat później w budynku jego dawnej szkoły powstanie wystawa jego imienia, z gablotami i ze zdjęciami, na których jego twarz wezmą w czerwone kółko, żeby zaznaczyć, że tam był.

Wtedy jako siedemnastolatek nie oczekiwał większego sukcesu i pewnie myślał, że to, co najgorsze, jest już za nim. Mylił się. Ostatniej nocy marca, w roku 1964, pracował na zmianie w fabryce karoserii. Tę noc do końca życia zapamiętają Brazylijczycy żyjący w tamtym okresie, a Luiz w szczególności.

W kraju doszło bowiem do zamachu stanu. Władzę przejęło wojsko, a Luiz da Silva stracił mały palec u lewej dłoni – na skutek chwilowej nieuwagi podczas pracy przy maszynie. Pierwszy dzień kwietnia roku 1964 był początkiem najbardziej krwawej dyktatury wojskowej w Brazylii. Tej, którą Lula miał pomóc obalić ponad dwie dekady później.

Albo związki, albo narzeczona

Od tamtego 1 kwietnia 1964 r. Brazylijczycy żyli w ciągłym strachu. Wielu opozycjonistów w tamtym okresie siedziało w celach, czując biegnący po całym ciele prąd. Jedną z torturowanych osób był brat Luiza – Frei Chico – którego wojsko wsadziło do więzienia, ponieważ był członkiem Partii Komunistycznej, zdelegalizowanej w październiku 1965 r.

Ten sam Frei, przydomek „Jose", załatwił Luizowi pracę w przedsiębiorstwie metalurgicznym Industrias Villares. Luiz zaczął zarabiać równowartość pięciu pensji minimalnych i szczerze gardził polityką. Co prawda był członkiem związków zawodowych, ale po godzinach wiódł w miarę, jak na tamte czasy, spokojne życie. Kupił samochód, miał żonę i powody do tego, żeby myśleć – teraz naprawdę – że to, co najgorsze, jest już za nim.

Znowu się mylił. W 1971 r. umarli jego żona i syn. Rok później wybrano go na dyrektora Wydziału Ochrony Socjalnej. Luiz nie marzył o takiej karierze. Co więcej, jego ówczesna narzeczona, Marisa Letícia, postawiła mu ultimatum: albo ona, albo związki zawodowe. Luiz, na podstawie własnej naiwności, zapewnił Marisę, że nie trafi do więzienia.

Para wzięła ślub, a w roku 1975 Luiz stanął na czele związków zawodowych.

Narodziny „Luli"

Luiz nie chciał tajnych spotkań ani roznoszenia po cichu nielegalnej „bibuły". To, co chciał powiedzieć, mówił otwarcie. Tak, żeby go wszyscy dobrze słyszeli.

W maju 1978 r. zaczął się największy strajk robotników, jaki do tej pory miał miejsce w Brazylii. We wrześniu strajkowało 235 tys. robotników, a w marcu kolejnego roku strajk generalny objął już sześćset fabryk w rejonie São Paulo. Robotnicy z Luizem na czele zorganizowali

CARL DE SOUZA / AFP / EAST NEWS

Luiz Inácio Lula da Silva na wiecu wyborczym, Belford Roxo, stan Rio de Janeiro, październik 2022 r.

demonstracje na stadionie „1 Maja" w São Bernardo do Campo.

Historia Ameryki Południowej dowodzi, że te najważniejsze, jak i te najtragiczniejsze wydarzenia historyczne prawie zawsze miały miejsce na stadionach piłkarskich. Tak było i w tym przypadku.

Luiz – w białej koszuli, z brodą typową dla końca siódmej dekady XX stulecia – przemawiał do ponad 100 tys. zebranych. Miał charyzmę, porywał tłumy, które skandowały jego imię. Już nie „Luiz", a „Lula".

Strajk przekroczył najśmielsze oczekiwania zarówno robotników, jak i dyktatury. Aby zneutralizować nastroje, rząd podniósł pensje – i to nawet bardziej, niż żądali tego protestujący.

W lutym 1980 r. powstała Partia Pracy, którą Lula współtworzył. Jednak i tym razem chwilowa poprawa była zapowiedzią nadchodzącego dramatu. Rząd, reprezentowany przez prezydenta João Figueiredo, usunął Lulę i całą dyrektywę związków zawodowych metalowców z São Bernardo do Campo ze stanowisk. Zdelegalizowano strajki. Mimo to w marcu 1980 r. wznowiono protesty.

Lula nie musiał długo czekać, aby do jego drzwi zapukali żołnierze. Żona błagała, żeby nie zabijali go na oczach dzieci.

Wtedy trafił do więzienia na 31 dni. Niedługo zaczęli nazywać go „brazylijskim Wałęsą".

Prezydentura, reformy, wyrok

Każde zło ma kiedyś swój koniec. Dyktatura wojskowa w Brazylii zakończyła się 15 marca 1985 r. Potem w wyborach w roku 1986 Partia Pracy zdobyła najwięcej głosów ze wszystkich partii lewicowych.

Lula miał coraz większe ambicje. Trzy razy kandydował na urząd prezydenta. Za każdym razem, kiedy w listopadzie przegrywał, w styczniu kolejnego roku zaczynał nową kampanię. Nie poddał się – i w 2003 r. został pierwszym w historii Brazylii robotnikiem pełniącym funkcję głowy państwa.

Podczas jego drugiej kadencji 36 mln Brazylijczyków wyszło ze skrajnej biedy – dzięki programowi socjalnemu o nazwie Bolsa Família. Był najpopularniejszym politykiem w kraju; cieszył się też popularnością na świecie. Pod koniec 2011 r. miał ponad 80-procentowe poparcie społeczne.

I jak już można odgadnąć, po tym sukcesie nastąpiła tendencja spadkowa. W czasie największej afery korupcyjnej w kraju – nazwanej „Lava Jato", czyli „Myjnia Samochodowa" – Luli przedstawiono zarzuty brania łapówek od koncernów za kontrakty publiczne oraz prania brudnych pieniędzy. Zarzuty postawiono także jego żonie. Niedługo po tym Marisa Letícia dostała nagle wylewu i zmarła, Lula zaś trafił do więzienia.

Wiosną 2021 r., po 580 dniach, wyszedł na wolność – Sąd Najwyższy Brazylii uznał (przewagą ośmiu do trzech głosów) wyrok skazujący Lulę za nieważny. Uzasadnienie miało charakter formalny: stwierdzono, że sąd niższej instancji, który wydał wyrok skazujący, nie miał prawa tego czynić, gdyż proces wobec byłego prezydenta mógł się toczyć tylko przed sądem federalnym.

Znów zaczęła się dla Luli epoka pomyślności.

Po raz trzeci

W niedzielę 30 października Lula po raz trzeci został wybrany na prezydenta kraju. Wygrał zaledwie o włos z przedstawicielem skrajnej prawicy Jairem Bolsonaro, zdobywając 50,9 proc. głosów. Teraz stoi przed nim niełatwe zadanie: zjednoczyć na wskroś podzielone społeczeństwo, z którego część nie pamięta już ani dyktatury, ani tamtego Luli-opozycjonisty.

Lula da Silva musi więc wymyślić Brazylię na nowo. ©

HISTORIA

ZAGADKA PIERWSZEGO CZŁOWIEKA

Odkrycie skamieniałości pitekantropa pod koniec XIX w. miało być przełomem w wyjaśnianiu historii ludzkości. Okazuje się ona jednak bardziej zagmatwana, niż ktokolwiek mógł sądzić.

ŁUKASZ KWIATEK

Gdy w roku 1871 Karol Darwin opublikował długo wyczekiwaną książkę „O pochodzeniu człowieka", stało się jasne, że nasi odlegli przodkowie musieli przypominać małpy człowiekowate – takie jak szympansy, orangutany, goryle czy gibony. Darwin przekonywał, że cechy obecne u nas – m.in. anatomiczne i psychologiczne, przejawiające się w naszym sposobie życia – znajdujemy też w szczątkowej formie u małp. Właśnie ta ciągłość miała świadczyć, że ludzie wyewoluowali tak jak wszystkie inne gatunki: na drodze drobnych modyfikacji, kumulujących się przez wiele pokoleń pod wpływem naturalnej selekcji.

Teoria Darwina miała jedną poważną wadę. Wynikało z niej, że w przeszłości musiały występować bardziej prymitywne formy człowieka, łączące cechy małpie i ludzkie, z których my w końcu wyewoluowaliśmy. Jednak za jego życia nikt nie odnalazł śladów takich stworzeń.

AGOES RUDIANTO / ANADOLU AGENCY / GETTY IMAGES

Ekspozycja w muzeum Sangiran, Jawa, listopad 2014 r.

Narodziny paleontologii

Zapoczątkowana sto lat wcześniej rewolucja przemysłowa zmieniła życie ludzi i powierzchnię naszej planety. Miasta – obrastające w opalane węglem fabryki i wieżowce, łączone kolejami – potrzebowały surowców, które można było znaleźć pod ziemią. To z kolei wywołało zapotrzebowanie na geologów. Sam Darwin uważał się zresztą za jednego z nich, gdy w latach 30. XIX w. odbywał wyprawę naukową na okręcie „Beagle" (to podczas niej zaświtało mu w głowie, dlaczego na świecie istnieje tak wiele gatunków).

Gdy geolodzy zaczęli więc kopać w ziemi, trafili nie tylko na cenne złoża i interesujące skały, lecz także na mnóstwo skamieniałości niespotykanych już dzisiaj istot. Tak narodziła się nowożytna paleontologia. Światło dzienne ujrzały np. szczątki ogromnych jaszczurek, które w 1841 r. Richard Owen (później twórca londyńskiego Muzeum Historii Naturalnej) nazwał dinozaurami.

Ustalenia paleontologów wywoływały zainteresowanie gazet (wtedy głównego medium komunikacji), napędzając rozwój tej dziedziny. Gdy jednych odkrywców opanowała gorączka złota, inni poświęcali życie na poszukiwaniu śladów świata, który dawno przeminął.

O paleontologii było głośno także dlatego, że znalazła się w centrum fundamentalnego sporu, w którym dwa zwalczające się obozy stworzyli tzw. katastrofiści i uniformitaryści. Pierwsi uważali, że skamieniałości to świadectwo gwałtownych globalnych zdarzeń geologicznych, które niczym biblijny potop zmiotły całe zastępy stworzeń i ukształtowały powierzchnię planety. Drudzy przekonywali, że Ziemia nie potrzebowała apokaliptycznych katastrof, a jej obecny kształt zawdzięczamy tym samym procesom, które obserwujemy także dziś (jak erozja czy akumulacja), ale rozciągniętym na wiele milionów lat.

Brakujące ogniwo

W połowie wieku XIX, jeszcze przed ukazaniem się najważniejszych prac Darwina, znaleziono skamieniałości neandertalczyka. Ustalono, że to wymarła rasa lub gatunek człowieka, odróżniająca się od ludzi współczesnych.

Jednak nawet neandertalczyk był zbyt ludzki, nie miał wyraźnie małpich cech. Był przeciętnego wzrostu (ponad 160 cm), chodził wyprostowany, miał dużą głowę (mieściła mózg nawet o większych rozmiarach niż nasz). Twarz neandertalczyków była wysunięta, szczęka pozbawiona podbródka, sklepienie czaszki nisko ułożone i raczej podłużne niż zaokrąglone, jak u nas, a niewielkie czoło chowało się za uwydatnionym łukiem brwiowym. W potylicy dało się zauważyć wybrzuszenie, zwane „neandertalskim kokiem".

Wszystko to – w połączeniu z krępą sylwetką, grubszymi kośćmi i krótszymi kończynami – w oczach XIX-wiecznych badaczy czyniło z neandertalczyków istoty zacofane kulturowo i niezbyt rozwinięte intelektualnie, ale wciąż odległe od małp. Nie mogli więc być „brakującym ogniwem" ewolucji, owymi „małpoludami", które potwierdziłyby tezy Darwina.

Takiego małpoluda postanowił znaleźć holenderski lekarz Eugène Dubois. Urodził się w 1858 r. – kilkanaście miesięcy wcześniej niemieccy paleontolodzy kłócili się, jaka istota pozostawiła po sobie pokrzywioną czaszkę w dolinie Neandertal, a rok później John Murray III, wydawca Darwina, gratulował sobie sukcesu finansowego książki „O powstawaniu gatunków".

Prócz prac Darwina, wrażenie na Dubois zrobiła „Historia stworzenia" Ernsta Haeckela, w której ten niemiecki biolog i rysownik spekulował o anatomicznych cechach „brakującego ogniwa". Haeckel rozróżniał między dwiema formami: małpoludem (łac. *Pithecanthropus*), czyli człowiekiem przypominającym małpę, oraz małpą człowiekowatą, wówczas nazywaną *Anthropopithecus*. Formą przejściową, o znalezieniu której marzył Dubois, miał być małpolud.

Darwin zakładał, że główne etapy ewolucji człowieka musiały rozegrać się w Afryce. Dubois wolał prowadzić poszukiwania w Azji, m.in. ze względu na mieszkające tam gibony – uważał, że małpolud musiał być najbardziej podobny do nich. Ale o wyborze celu wyprawy rozstrzygnęły kwestie praktyczne: Dubois nie dostał dofinansowania (usłyszał od urzędnika, by nie marnował życia na szalone teorie Darwina), pozostało mu ↦

↦ więc zaciągnąć się do armii stacjonującej w Indonezji, będącej holenderską kolonią, i prowadzić badania w wolnych chwilach. Trafił na Jawę i tam, w miejscowości Trinil, w 1891 r. odnalazł upragnionego małpoluda.

Sen na Jawie

Najpierw w jego ręce wpadł wyraźnie ludzki ząb trzonowy. Później fragment czaszki, nieco mniejszej i grubszej od ludzkiej. W tej samej warstwie osadowej, kilkanaście metrów dalej, znajdowała się także kość udowa. Dubois wierzył, że te wszystkie skamieniałości pochodzą od tego samego osobnika.

Nie mógł być jednak pewien, czy ma do czynienia z małpoludem (pitekantropem), czy małpą człowiekowatą (antropopitekiem), mniej istotną z punktu widzenia ewolucji człowieka. Cechy kości udowej przemawiały na korzyść małpoluda: była długa i prosta, zatem stworzenie to musiało chodzić wyprostowane.

To jednak było zbyt mało, by przypisać sobie epokowe odkrycie – w pierwszych listach z Jawy Dubois zachowawczo pisał o antropopiteku. Ale w końcu wymyślił, na czym powinien oprzeć swoją argumentację: jako pierwszy zastosował w badaniu skamieniałości człowieka metody dziedziny nazywanej allometrią. Opiera się ona na porównywaniu rozmiarów części ciał zwierząt i ich proporcji. W biologii ewolucyjnej odgrywa ważną rolę, gdyż pozwala wykazać, że spokrewnione zwierzęta mają podobne plany anatomiczne.

Dubois rozumował tak: u małp człowiekowatych widzimy pewną proporcję długości ciała do objętości mózgu. Szympansy mierzą ok. 1-1,5 metra i mają czaszki o pojemności ok. 0,4 litra. Goryle są trochę wyższe, a ich mózgi mają rozmiar ok. 0,5 litra. Kość udowa z Trinil była podobnej wielkości, jak kość udowa samego Dubois, który mierzył 175 cm, a pojemność czaszki z Trinil mogła wynosić litr. Gdybyśmy więc przyjęli, że te skamieniałości zostawiła jakaś wyrośnięta małpa człowiekowata, musielibyśmy uznać, że miała ona nadspodziewanie duży mózg.

Z drugiej strony, gdybyśmy przyjęli, że te szczątki pochodziły od zwyczajnego człowieka, to powinien być on podobnego wzrostu jak Dubois – a u osoby o takim wzroście spodziewalibyśmy się czaszki większej o 40 proc. od tej z Trinil.

W ciągu dwóch milionów lat istnienia Homo erectus ludzie zmienili się z owłosionych padlinożerców w zręcznych łowców, panujących nad ogniem i pływających po morzach.

Proporcje wykluczały więc zarówno typową małpę, jak i typowego człowieka – musiało chodzić o coś pomiędzy. Czyli o małpoluda, przepowiedzianego przez Ernsta Haeckela. Do nazwy rodzajowej *Pithecantropus* Dubois dodał przymiotnik gatunkowy *erectus*.

W ten sposób świat dowiedział się o małpoludzie wyprostowanym – brakującym ogniwie ewolucji człowieka.

Między krytyką a sławą

Według Pat Shipman – badaczki ewolucji i biografki Eugène'a Dubois – jego odkrycia, metody i sposób argumentacji czynią z niego założyciela paleoantropologii.

Ale pośmiertna sława, która na niego spadła, kontrastuje z reakcjami świata naukowego, jakich doczekał się za życia. Nie wszyscy bowiem byli zachwyceni małpoludem. Wprawdzie Haeckel był jego zwolennikiem, ale wielu innych biologów dyskredytowało odkrycie. Dubois usłyszał zarzut, że sam sobie stworzył pitekantropa z trzech skamieniałości, które mogły należeć nie tylko do trzech różnych osobników, ale nawet do trzech różnych gatunków – małpich i ludzkich. Dubois, który nie był łatwy w obyciu, źle przyjmował nie tylko tę naukową krytykę, ale nawet sugestie, że jego odkrycie nie było wyjątkowe.

Jednym z badaczy, którzy poszli w jego ślady, był młodszy o cztery dekady Niemiec Gustav von Koenigswald. On też prowadził prace na Jawie, w Sangiran – miejscowości, w której przez jakiś czas stacjonował Dubois, zanim przeniósł się do Trinil. Koenigswald miał tam więcej szczęścia niż Holender: znalazł m.in. dwie czaszki podobne do tej, którą opisał Dubois. Nazwał je pitekantropem II oraz pitekantropem III. Wierzył, że potwierdzają ustalenia Dubois, ale Holendra takie wsparcie nie ucieszyło – wpadł we wściekłość i zaczął kampanię oczerniania młodszego kolegi.

Był już wtedy po siedemdziesiątce i zestarzał się gorzej niż jego odkrycie, którego znaczenie w końcu przestano podważać. W książce „My, człowiekowate" Frank Westerman pisze, że po powrocie do Holandii Dubois zamieszkał w wiejskiej posiadłości z małpą, a według relacji sąsiadów młode kobiety nie były bezpieczne w jego towarzystwie.

Na jego spuściźnie cieniem kładą się też decyzje podejmowane w Indonezji. Podczas wykopalisk wykorzystywał lokalnych skazańców, co część z nich przypłaciła życiem. Właściwie żadnej ze skamieniałości pitekantropa Dubois nie wydobył z ziemi sam. Uznaje się go za ich odkrywcę – zresztą słusznie – bo kierował pracami, potrafił docenić znaczenie znalezisk i opisał je w naukowych czasopismach. Ale to nie on brudził sobie ręce i oblewał potem, machając łopatą w tropikalnym słońcu.

W stadzie małpoludów

Jeszcze zanim Koenigswald opisał pitekantropa II i III – zwanych później, by nie drażnić Dubois, człowiekiem znad rzeki Solo (*Homo soloensis*) – a potem także serię podobnych skamieniałości (w tym gigantopiteka i megantropa), uwagę paleoantropologów przyciągnęły Chiny.

W latach 20. XX stulecia znaleziono tam szczątki nazwane człowiekiem pekińskim lub sinantropem (*Sinanthropus pekinensis*). Gdyby zastosować te same kryteria, którymi posłużył się Dubois, wszystkie te skamieniałości należałoby uznać za małpoludy – ich czaszki były zbyt małe jak na człowieka, ale zbyt duże jak na małpę.

W tym samym czasie poznaliśmy też australopiteki, odnalezione przez Raymonda Darta w południowej Afryce. Nie zaliczono ich do małpoludów, lecz do małp człowiekowatych. Jednak Dart upierał się, że to pierwszy gatunek, który stworzył kulturę – jego przedstawiciele mieli posługiwać się bronią wytwarzaną z kości, zębów i rogów zwierząt (tą hipotezą inspirował się Stanley Kubrick, gdy kręcił początkowe sceny „2001: Odysei kosmicznej"). Choć Dart był krytykowany za wizję małp machających zaostrzonymi kośćmi, nie mogła już go opuścić. Zawdzięczamy mu też przekonanie, że jesteśmy najbardziej „morderczą małpą" – agresja i kanibalizm miały

w naszej ewolucji odegrać fundamentalną rolę.

Wśród samych paleoantropologów nie dochodziło do agresji i krwawych pojedynków, ale burzliwych sporów tu nie brakowało. Co rusz kolejni badacze dokładali nowe znaleziska i proponowali dla nich unikalne nazwy gatunkowe, aż nie dało się już w tym wszystkim połapać. „Nie znajdziemy dwóch uczonych, którzy zgadzaliby się co do nomenklatury skamieniałości lub ich interpretacji" – pisał w 1950 r. Ernst Mayr.

Mayr był człowiekiem spoza środowiska (ornitologiem), ale uznał, że paleoantropologia potrzebuje nowego ładu. Przekonywał, że powinno się mówić tylko o trzech gatunkach człowieka: *Homo sapiens* (objął on także neandertalczyków), *Homo transvaalensis* (zbierający najbardziej „małpie" skamieniałości, np. australopiteki), a także *Homo erectus*. Do tego ostatniego Mayr zaliczył wszystkie egzemplarze „małpoluda" – na czele z pitekantropem, *Homo soloensis* i człowiekiem pekińskim.

Mayr przekonywał, że mówienie o wielu różnych gatunkach człowieka nie ma biologicznego sensu, gdyż ludzie potrafią dostosować się do wielu środowisk. A skoro nie istnieją dla nas bariery ekologiczne, trudno zakładać, że mieszkańcy różnych regionów żyli od siebie odizolowani. Bez takiej izolacji nie mogłoby zaś dojść do kumulowania się różnic genetycznych i powstania oddzielnych gatunków.

Nowa nazwa przyjęła się i *Homo erectus* wyparł rozdrobnioną konkurencję. Jednak historia ludzkości nie stała się z tego powodu ani trochę jaśniejsza.

Dwa miliony lat

W podręcznikach do paleoantropologii *Homo erectus* zajmuje wyróżnione miejsce. Niektórzy uważają, że to pierwszy „prawdziwy" gatunek człowieka, a znany ze szkolnych lekcji *Homo habilis* (pojawił się ok. 2,5 mln lat temu) reprezentuje małpy człowiekowate i można go wrzucić do jednego worka z australopitekami.

Homo erectus pojawia się ok. 2 mln lat temu, a przypisywane mu najmłodsze skamieniałości (zresztą pochodzące znad rzeki Solo) mają niewiele ponad 100 tys. lat. Jego początek wydaje się nieźle określony: krótko po wyłonieniu się tego gatunku (ok. 1,7 mln lat temu) dochodzi do rewolucji technologicznej – pojawiają

WIKIPEDIA.ORG

Dmanisi 2, Gruzja. Jeden z najstarszych (1,8 mln lat) śladów człowieka poza Afryką.

się pierwsze precyzyjnie obrabiane narzędzia.

Tej technicznej nowince towarzyszy zmiana w rozmiarach ciała: *Homo erectus* staje się o kilkanaście centymetrów wyższy od współwystępujących z nim hominidów, waży kilkanaście kilogramów więcej i ma od nich wyraźnie większy mózg. Jako pierwszy człowiek zaczyna zdobywać nowe kontynenty i ekosystemy. Najstarsze ludzkie skamieniałości poza Afryką stanowi zbiór pięciu czaszek znalezionych w Dmanisi w Gruzji. Liczą ok. 1,8 mln lat i znacznie się od siebie różnią, ale przyjmuje się, iż reprezentują lokalną odmianę *Homo erectus*.

Jednak sprawa się komplikuje, jeśli uświadomimy sobie, że prawie dwa miliony lat, przez które miał istnieć *Homo erectus*, wypełniają niemal całą ewolucyjną historię człowieka. W tym czasie z włochatych istot zamieszkujących afrykańską sawannę i żywiących się padliną ludzie stali się wyspecjalizowanymi łowcami, opanowali ogień, nauczyli się podróżować po morzach i kolonizować wyspy.

Nawet wśród skamieniałości zaliczanych do *Homo erectus* można stwierdzić duże zmiany: najmłodsze czaszki mają mózgi niemal dwukrotnie większe niż najstarsze. I co najważniejsze: kilkaset tysięcy lat temu u boku *Homo erectus* pojawiają się też bardziej „wyspecjalizowane" gatunki: neandertalczycy (w Europie), denisowianie (w Azji), *Homo sapiens* (w Afryce) oraz hobbici (na indonezyjskiej wyspie Flores i filipińskiej Luzon; dorosłe osobniki osiągały metr wzrostu, a ich mózgi miały rozmiary typowe dla szympansa). Na południu Afryki występuje też *Homo naledi* – być może najdziwniejszy ze wszystkich. Wyższy i cięższy od hobbitów, ale z dość małym mózgiem i ciałem, które jakby nie mogło się zdecydować, czy warto było schodzić z drzewa. Czy te wszystkie populacje człowieka wywodzą się od lokalnych grup *Homo erectus*? Nie wiadomo. Ale jeśli nie od nich, to skąd?

Pytania, pytania...

Jeszcze przed paroma dekadami o współczesnych rasach człowieka myślano w sposób następujący: miały być potomkami różnych populacji *Homo erectus* – z Afryki, Chin, Europy i Indonezji – które rzekomo przez ponad milion lat żyły w izolacji. Dziś wiemy, że to nieprawda: 60-70 tys. lat temu grupa *Homo sapiens* wyruszyła z Afryki i skolonizowała wszystkie kontynenty, zastępując w wielu miejscach dotychczasowych mieszkańców. A czasem się z nimi mieszając.

Nie brak dziś głosów, że *Homo erectus* jest raczej „historycznym przypadkiem", a nie „biologiczną rzeczywistością", bo ta nazwa połączyła różniące się od siebie grupy ludzi. Obecnie znamy już ślady użycia kamiennych narzędzi z Chin i Indii, które mają ok. 2,1 i 2,5 mln lat, a więc powstały w czasach, gdy poza Afryką „oficjalnie" nie postała ludzka noga.

Skąd te ślady się wzięły? W Azji nie znaleźliśmy nigdy australopiteków. Ale nie można wykluczyć, że istniała tam jakaś lokalna odmiana małp człowiekowatych, która faktycznie stworzyła bogatą kulturę. O tym, że takie stworzenia byłyby do tego zdolne, możemy być pewni – w Kenii znaleziono prymitywne kamienne narzędzia sprzed aż 3,3 mln lat, a w tym czasie nie mówi się jeszcze o człowieku.

Ale jeśli Azja miała swoje australopiteki – albo trochę wcześniejszych niż *Homo erectus* ludzkich kolonizatorów – to może się okazać, że hobbici z Filipin i Indonezji, a może także populacja z Gruzji wywodzą się od tych bardziej prymitywnych form człowieka, które dopiero później natknęły się na *Homo erectus*.

W paleoantropologii od czasów Dubois zmieniło się wiele. Ale jedno pozostało: nadal zbyt mało wiemy o małpoludzie, by naszą historię opowiedzieć do końca.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

NAUKA

CZY RUCH ISTNIEJE

Paradoks wymyślony ponad dwa tysiące lat temu zyskał nieoczekiwanie drugie życie dzięki współczesnej nauce. W świecie kwantów dzieją się rzeczy, które śniły się filozofom.

MARTA BIELIŃSKA

Być może słyszeliście kiedyś o paradoksach Zenona z Elei, w których kwestionował on istnienie ruchu. Twierdził np., że nawet Achilles nigdy nie dogoni żółwia, który wcześniej wystartował w wyścigu, a wypuszczona strzała nigdy nie doleci do celu. A przecież ruch w świecie jawi się nam w sposób oczywisty. Nawet sam Zenon nie brał swoich paradoksów dosłownie, jako negujących możliwość przemieszczania się rzeczy; sformułował je raczej jako eksperymenty myślowe, w celu wyszydzenia poglądów pitagorejczyków, będących głównymi przeciwnikami reprezentowanej przez niego szkoły eleackiej.

Okazuje się jednak, że pomysły Zenona nie były całkowicie oderwane od rzeczywistości. W drugiej połowie XX w. fizycy kwantowi przewidzieli zdumiewające zjawisko, które zostało potwierdzone eksperymentalnie: układ fizyczny poddawany pomiarom ewoluuje – tzn. zmienia swoje własności, np. ułożenie swoich elementów – wolniej niż układ pozostawiony bez obserwacji. Wobec tego można przypuszczać, że przy nieskończenie częstych pomiarach przestanie on zupełnie ewoluować, czyli zaniknie w nim ruch. Z uwagi na podobieństwo do intuicji filozofa z Elei odkrycie to zostało nazwane kwantowym efektem Zenona.

Byt jest, niebytu nie ma

Parmenides, jeden z czołowych przedstawicieli szkoły eleackiej, w poemacie „O naturze" opisał swoje spotkanie z bezimienną boginią, która objawiła mu, że „to, co jest (...) jest niezrodzone i niezniszczalne, albowiem jest całe, nieruchome i wieczne. Nigdy nie było ono ani nie będzie, gdyż teraz jest od razu wszystkie, jedno i jednolite". To doprowadziło go do słynnego przekonania, które stało się punktem wyjścia szkoły eleackiej, że „byt jest, a niebytu nie ma".

Choć na pierwszy rzut oka to stwierdzenie może wydawać się zwykłym pleonazmem, dla eleatów niosło ze sobą ogromny bagaż filozoficznych przekonań o naturze rzeczywistości. Według jednej z interpretacji wierzyli oni, że świat nie ma ani początku, ani końca, gdyż w przeciwnym razie musiałby powstać z niebytu lub się w niego obrócić – a przecież niebytu nie ma. Świat jest również na pewnym poziomie abstrakcji niezmienny, ponieważ gdyby taki nie był, to musiałby się zmieniać w niebyt. To zaś nie jest możliwe, bo przecież niebyt nie istnieje. W podobny sposób eleaci argumentowali również za niepodzielnością świata, który w przeciwnym razie musiałby się dzielić na niebyt, a także za jego ciągłością – gdyż każda nieciągłość byłaby niebytem. Jak widać, z tego „niewinnego" założenia wynika wiele konkretnych przekonań kosmologicznych.

Wspomniani pitagorejczycy postrzegali zaś świat jako harmonię dziesięciu par sprzeczności, takich jak męskie-żeńskie, prawo-lewo, parzyste-nieparzyste, ruch-spoczynek, ograniczone-nieograniczone, jedność-wielość, proste-wygięte, światło-ciemność, dobro-zło oraz kanciaste-obłe. Wierzyli też, że proporcje między takimi przeciwstawnymi jakościami reguluje Liczba.

Wkład Zenona w myśl eleacką opierał się bardziej na poszukiwaniu coraz to nowych argumentów potwierdzających

DONALD MIRALLE / IRONMAN / GETTY IMAGE

Jeśli ruch nie istnieje, to nawet Achilles nie prześcignie żółwia... Zawody Ironman w Kailua-Kona na Hawajach, październik 2016 r.

poglądy swojego mistrza niż na formułowaniu własnych tez. Pomimo tego pozornego braku oryginalności zapisał się on na kartach historii jako autor aż czterdziestu argumentów przeciwko wielości oraz pięciu przeciwko ruchowi. Część z nich została opisana w „Fizyce" Arystotelesa, dzięki czemu były one żywo dyskutowane przez wiele stuleci. Jednym z nich jest paradoks dychotomii. Jego najkrótsza wersja, spisana właśnie przez Arystotelesa, głosi, że ruch nie może istnieć, „gdyż poruszające się ciało zawsze musi najpierw dotrzeć do środka, zanim osiągnie cel".

Wyobraźmy sobie obiekt, który ma przemieścić się z punktu A do punktu B. Aby do tego doszło, musi on najpierw znaleźć się w połowie odległości między A i B. Nazwijmy ten punkt C. Ponowienie tego rozumowania prowadzi do niepokojących obserwacji: aby ciało dotarło do punktu C, najpierw musi się znaleźć w punkcie D – połowie odległości między A i C. W ten sposób szybko zabraknie nam liter alfabetu do nazywania punktów znajdujących się w połowie kolejnych odległości – takie odcinki można dzielić bez końca. Nie istnieje więc najkrótsza odległość między dwoma punktami, ponieważ zawsze można znaleźć mniejszy dystans przez podzielenie wyjściowego na dwie części.

Ta obserwacja prowadzi nas do sedna paradoksu: ciało nie dotrze do punktu B, ponieważ nigdy nie wyruszy z punktu A.

Spacer na dowód

Historycznie pierwsza reakcja na paradoksy Zenona negujące istnienie ruchu opiera się na zdrowym rozsądku i konfrontacji z empirią. Jest ona przypisywana Diogenesowi, który należał do szkoły cyników. Zgodnie z przekazem Symplicjusza, usłyszawszy argumenty Zenona, ↦

↦ nie skomentował ich, a jedynie zaczął spacerować – na dowód możliwości ruchu.

Trudno zresztą znaleźć kogoś, kto wierzyłby, że paradoks dychotomii dowodzi niemożności ruchu w przestrzeni fizycznej. W ostateczności bowiem, bez względu na moc przekonywania argumentów teoretycznych podobnych do paradoksów Zenona, ostateczną weryfikacją ich prawdziwości w świecie nauki jest eksperyment. A jego wynik trudno podważyć: skoro możemy wstać i chodzić, to ruch istnieje.

Na ironię zakrawa więc fakt, że to właśnie w świecie naukowym odkryto poważne przesłanki przemawiające za prawdziwością spostrzeżenia Zenona. Zdroworozsądkową podstawą do rozstrzygnięcia paradoksu dychotomii jest obserwacja domniemanego ruchu. Choć w klasycznej skali układów fizycznych proces pomiaru nie wpływa na stan układu (piłka nie przesunie się sama od tego, że na nią spoglądamy), sytuacja ma się zupełnie inaczej w mikroświecie, gdzie panują prawa mechaniki kwantowej. A ponieważ w paradoksie dychotomii rozważa się coraz krótsze odcinki, to z punktu widzenia fizyki przekraczamy granicę, za którą należy brać pod uwagę kwantowe efekty.

W szczególności pojawiają się dwa pytania: (1) o fizyczną możliwość dokonywania pomiarów na nieskończenie małych odległościach, a także (2) ewolucję układu przy nieskończenie częstym dokonywaniu pomiaru. Zjawisko odpowiadające na drugie pytanie znane jest jako kwantowy efekt Zenona.

Moja własna czarna dziura

Zacznijmy od pytania o możliwość wykonywania pomiarów na nieskończenie małych odległościach – czyli takich, do których dochodzi się przez dzielenie drogi na połówki w paradoksie dychotomii. Żeby na nie odpowiedzieć, musimy przywołać słynną zasadę nieoznaczoności Heisenberga. W szkolnej wersji głosi ona, że nie można z dowolną dokładnością wyznaczyć jednocześnie położenia i pędu cząstki. W ogólności odnosi się ona do szerszej grupy wielkości fizycznych i mówi, że istnieją takie pary wielkości fizycznych, których nie da się dokładnie zmierzyć z dowolną dokładnością. W 1931 r. fizycy Lew Landau i Rudolf Peierls zasugerowali, że w przypadku pola elektromagnetycznego takimi wielkościami są składniki tego pola w zadanym punkcie czasoprzestrzeni: jeśli zmierzymy część elektryczną takiego pola, ograniczona zostanie nasza możliwość zmierzenia pola magnetycznego, i *vice versa*. Ich publikacja została jednak szybko podważona przez badania innych wielkich naukowców: Nielsa Bohra oraz Léona Rosenfelda. Dopiero kilka lat później Matwiej Bronstein, który był uczniem Landaua, wykazał, że obliczenia jego nauczyciela były prawidłowe, o ile zastosowało się je nie do pola elektromagnetycznego, ale grawitacyjnego. Jego rozumowanie można streścić następująco.

> Gdyby kwantowy efekt Zenona obowiązywał w makroświecie, to intensywne wpatrywanie się w wyrzuconą do góry piłkę **powstrzymałoby ją od upadku na ziemię.**

W celu zmierzenia wartości pola w danej lokalizacji należy umieścić w niej cząstkę. Wychodząc z zasady nieoznaczoności Heisenberga dla położenia i pędu, a także posiłkując się dodatkowymi założeniami, Bronstein wykazał, że dokładność pomiaru położenia cząsteczki jest odwrotnie proporcjonalna do jej masy. Oznacza to, że przy dowolnie niewielkiej (w żargonie fizyków: prawie nieskończenie małej) dokładności pomiaru położenia cząstki jej masa stanie się dowolnie duża (czyli prawie nieskończenie duża). Rodzi to ryzyko, że przy bardzo dokładnym pomiarze – takim, jakiego potrzeba do eksperymentalnego rozstrzygnięcia paradoksu dychotomii – dojdzie do zgromadzenia bardzo dużej masy w małej objętości i... cząstka zniknie pod swoim własnym mikrohoryzontem zdarzeń – czyli, innymi słowy, powstanie czarna dziura, wewnątrz której wszelki pomiar jest niemożliwy.

Aby uniknąć takiej sytuacji, należy uwzględnić warunek wprowadzający minimalną możliwą dokładność pomiaru. Fizycy nazywają ją promieniem Schwarzschilda, który jest charakterystyczną odległością stowarzyszoną z każdą masą. Obiekt posiadający objętość mniejszą niż ta związana z jego promieniem Schwarzschilda jest czarną dziurą. Po kilku matematycznych przekształceniach wykorzystujących wcześniejsze obserwacje Bronstein otrzymał warunek na minimalną możliwą dokładność pomiaru, który nie zależy od masy i jest wyrażony wyłącznie w stałych fizycznych.

Ten wynik rzuca nowe światło na paradoks dychotomii. Pytanie, przed którym stawia nas Zenon, dotyczy coraz mniejszych odległości. Te natomiast można poznać jedynie przez obserwację. Jednakże, jak zauważyli Landau, Peierls oraz Bronstein, istnieje pewna charakterystyczna skala wielkości, poniżej której pomiar nie jest możliwy. Wobec tego paradoks dychotomii kończy się dla obserwatora, gdy pytamy o możliwość przebycia przez ciało odległości krótszej niż minimalna dokładność pomiaru. Ostatecznie pytanie o możliwość podziału drogi w nieskończoność traci sens.

Nie podglądaj!

Okazuje się jednak, że w rzeczywistości kwantowej nie tylko mała skala pomiarów prowadzi do nieoczywistych wniosków, ale również duża ich częstotliwość. Można to zrozumieć, używając prostego modelu obserwacji znanego z lekcji biologii. Obserwacja polega na „odbiciu" fotonu – kwantu światła – od obserwowanego obiektu, który potem wpada do przyrządu pomiarowego, takiego jak siatkówka oka. O ile w przypadku klasycznego opisu obiektów makroskopowych taki proces nie ma wpływu na układ, to już przy obserwacji obiektów w skali kwantowej takie odbicie go zmienia. Dochodzi do tzw. kolapsu funkcji falowej – tego samego, który zabija bądź pozostawia przy życiu kota Schrödingera w momencie otwarcia pudełka.

Wpływ pomiaru na układ fizyczny uwzględniono już przy pierwszych próbach sformułowania mechaniki kwantowej. Jednakże dopiero w 1977 r. Baidyanath Misra i George Sudarshan opisali zjawisko polegające na spowolnieniu ewolucji układu kwantowego w wyniku częstego wykonywania na nim pomiarów. W opublikowanym przez nich artykule przyznali palmę pierwszeństwa tego odkrycia Alanowi Turingowi – bardziej znanemu jako jeden z ojców informatyki – który jednak nigdy nie opublikował swoich wyliczeń.

Wyobraźmy sobie układ fizyczny, który chcemy zmierzyć. Niech to będzie elektron „przytulony" do pewnego atomu A. Zaraz po przygotowaniu znajduje się on w czystym stanie początkowym – czyli można go opisać jako w stu procentach związany z atomem A. Nasz elektron może jednak „przeskoczyć" na sąsiedni atom B. Nie wiemy, kiedy konkretnie to nastąpi, ale z każdą chwilą wzrasta prawdopodobieństwo, że się to już wydarzyło. Wraz z upływem czasu układ osiągnie czysty stan końcowy – opiszemy go jako stuprocentowo związany z atomem B. Pomiędzy tymi dwoma skrajnymi momentami układ znajduje się w stanie będącym „kwantową mieszanką" stanu początkowego oraz końcowego: czyli nie jest przesądzone, który ze stanów otrzymamy po dokonaniu pomiaru. Im dłużej czekamy, tym większy udział w tej mieszance będzie miał stan końcowy, a tym mniejszy – stan początkowy. Dokonując obserwacji takiej „kwantowej mieszanki", doprowadzimy do wcześniej wspomnianego kolapsu funkcji falowej i otrzymamy któryś z granicznych stanów: początkowy lub końcowy, każdy z odpowiednim prawdopodobieństwem.

Załóżmy teraz, że dokonujemy pomiaru układu zaraz po przygotowaniu go w czystym stanie początkowym. Ponieważ zaczęliśmy naszą obserwację, zanim układ zdążył wyewoluować, nasza „kwantowa mieszanka" składa się prawie wyłącznie ze stanu początkowego z niewielkim udziałem stanu końcowego. Dlatego też, przy tak natychmiastowym pomiarze, z prawdopodobieństwem bliskim jeden otrzymamy stan początkowy. Ale to jeszcze nie wszystko. Obserwacja zmienia stan układu fizycznego, więc układ rzeczywiście p r z e j d z i e do czystego stanu początkowego. Wracamy zatem do punktu wyjścia.

Wyobraźmy sobie teraz, że powtarzamy ten pomiar z bardzo dużą częstotliwością. Przygotowujemy układ w czystym stanie początkowym – bardzo szybko wykonujemy obserwację – z prawdopodobieństwem bliskim jednemu otrzymujemy stan początkowy – układ wraca do czystego stanu początkowego. Zanim układ zdąży wyewoluować, szybko powtarzamy pomiar, znowu otrzymując ten sam wynik i przywracając układ do czystego stanu początkowego... W takim przypadku układ cały czas będzie się znajdował w czystym stanie początkowym – z prawdopodobieństwem tym bliższym stu procent, im większa jest częstotliwość naszych pomiarów. Innymi słowy, nasza obserwacja prowadzi do zaniku ewolucji układu.

Jony w pułapce Zenona

Kwantowy efekt Zenona jest zjawiskiem nieintuicyjnym. Gdyby stosował się do rzeczywistości makroskopowej na takich samych zasadach jak do świata kwantowego, to intensywne wpatrywanie się w wyrzuconą do góry piłkę powstrzymałoby ją od upadku na ziemię. Wobec tego pojawia się wątpliwość, czy do powyższego wywodu teoretycznego nie wkradł się jakiś błąd. Okazuje się, że nie. Już w 1989 r. David Wineland wraz z zespołem dokonał pierwszej doświadczalnej obserwacji tego zjawiska. Zbadano ok. 5 tys. jonów berylu $^{9}Be^{+}$ zamkniętych w specjalnym urządzeniu (tzw. pułapce jonowej), które były wzbudzane falą radiową. Obserwacja była dokonywana przy wykorzystaniu impulsów laserowych; w jednym ze stanów jony rozpraszały światło laserowe, a w drugim nie wchodziły w interakcję. Zaobserwowano, że wraz ze zwiększaniem częstotliwości pomiarów przejścia jonów między stanami zachodziły rzadziej. Zostało to zinterpretowane jako eksperymentalne potwierdzenie kwantowego efektu Zenona. W ostatnich latach przeprowadzono kilka podobnych eksperymentów, wszystkie z tym samym rezultatem.

Na ten moment kwantowy efekt Zenona pozostaje ciekawostką naukową. Jest on odczuwalny jedynie na poziomie kwantowym – a zatem np. biolodzy obserwujący tkanki pod mikroskopem mogą spać spokojnie. Ponadto częstotliwość pomiarów potrzebna do faktycznego odczucia jego efektów jest w zasadzie niespotykana w laboratoriach fizyków kwantowych, więc efekt ten będzie widoczny jedynie dla wąskiej klasy eksperymentów.

Ale pitagorejczycy i tak byliby pod wrażeniem. © MARTA BIELIŃSKA

Autorka jest doktorantką na Uniwersytecie Oksfordzkim, gdzie ukończyła studia z filozofii oraz z fizyki teoretycznej.

POŻEGNANIE

Dnia 28 października 2022 roku do domu Pana odeszła

Ś.† P.

prof. Helena z Ponińskich Tarnowska-Łazarska

Ukochana Mama, Babcia i Prababcia

Ceniona Maestra

Wspaniała śpiewaczka, wybitna pedagog wokalna ciesząca się światową renomą, związana z PWSM w Krakowie, Katowicach i Gdańsku, Mozarteum w Salzburgu i Universität für Musik und darstellende Kunst w Wiedniu. Inicjatorka, wieloletnia dyrektor artystyczna i przewodnicząca jury Międzynarodowego Festiwalu i Konkursu Sztuki Wokalnej im. Ady Sari w Nowym Sączu. Wychowała grono znakomitych wokalistów odnoszących sukcesy na scenach całego świata.

Za swoje zasługi odznaczona m.in. Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis", Odznaką Honoris Gratia oraz Krzyżem Małopolski. Laureatka Nagrody Miasta Krakowa.

Uroczystości pogrzebowe odbędą się 12 listopada 2022 roku o 12.00 w sanktuarium Macierzyństwa NMP w Dziekanowicach, po czym nastąpi odprowadzenie Zmarłej na miejsce wiecznego spoczynku na pobliskim cmentarzu.

POGRĄŻONY W SMUTKU SYN Z RODZINĄ

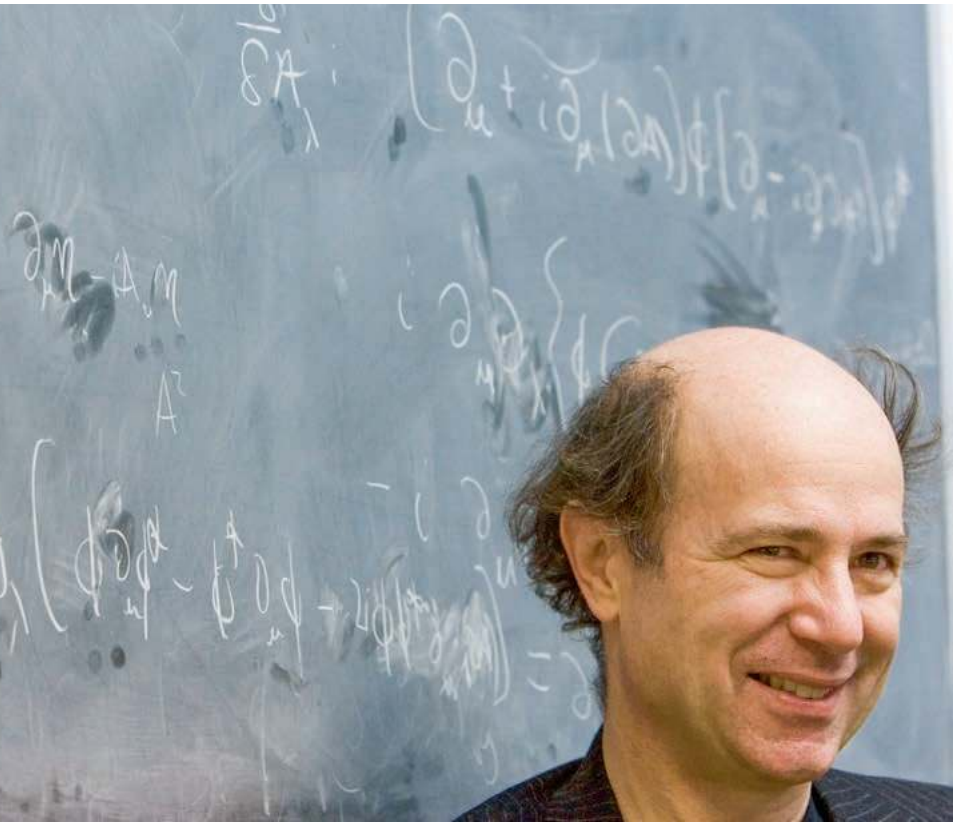

JAMES LEYNSE / GETTY IMAGES

FRANK WILCZEK (ur. 1951) jest laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie fizyki z 2004 r. oraz tegorocznej Nagrody Templetona. Największy wkład wniósł do tzw. chronodynamiki kwantowej, opisującej najsilniejsze oddziaływania między cząstkami. Aktualnie zajmuje się poszukiwaniem teorii wyjaśnianiającej naturę ciemnej materii. Wykłada na MIT.

Splątane piękno

FRANK WILCZEK, FIZYK:

Dzięki mechanice kwantowej, ogólnej teorii względności i ideom wchodzącym w skład modelu standardowego dziś naprawdę szczegółowo rozumiemy to, jak działa materia i czym właściwie ona jest.

MICHAŁ GIKOWSKI: Zaskoczyły Pana nazwiska tegorocznych laureatów Nagrody Nobla z fizyki?

FRANK WILCZEK: Nie. Ponieważ jestem członkiem Akademii Szwedzkiej, miałem dostęp do pewnych informacji i wiedziałem, że ten moment się zbliża. Ale nie dziwię się też w szerszym sensie. Ten obszar fizyki i te konkretne wyniki były długo dyskutowane jako potencjalni kandydaci do nagrody.

Za co w zasadzie jest tegoroczna nagroda? Co to jest splątanie?

Splątanie to korelacja. Jeśli mamy parę butów, i ktoś z jakiegoś powodu wysyła lewego i prawego buta w pudełkach osobno do dwóch osób w odległych miejscach, to gdy osoba w lokalizacji A otwiera pudełko i widzi, że ma lewy but, można z całą pewnością przewidzieć, że gdy druga osoba otworzy pudełko w miejscu B, będzie miała w ręce prawy but. To jest splątanie. Buty są ze sobą związane, nie są od siebie niezależne. Ale jeśli spróbujemy tę logikę zastosować do „butów kwantowych", zobaczymy o wiele bardziej paradoksalne efekty. Załóżmy, że buty mają nie tylko tę właściwość, że są lewe lub prawe, ale mogą być również czerwone lub niebieskie. Jeśli sprawdzasz kolor, nie możesz sprawdzić, czy but jest lewy czy prawy. Możesz sprawdzić – w fizyce mówimy: zmierzyć – jedną rzecz, bo w pewnym sensie w chwili pomiaru niszczysz obiekt, na który patrzysz. Więc jeśli jedna z tych osób, do których zostały wysłane buty, zdecyduje się zmierzyć, czy jej but jest lewy czy prawy, a druga zdecyduje się spojrzeć na kolor, to korelacja zostanie zniszczona.

To wszystko ma przełożenie nie tylko na teorię, ale ma też wielkie znaczenie w praktyce, w technologii.

Tak, gałąź nauki zajmująca się kwantowym przetwarzaniem informacji jest dziś rozpalona nowymi osiągnięciami, a poziom technologii poprawia się skokowo. Nauczyliśmy się przejmować kontrolę nad światem kwantowym na wielu frontach i myślę, że właśnie dlatego przyznano teraz tę nagrodę. To przede wszystkim nagroda dla całej dziedziny, której ci badacze byli pionierami.

Pięć lat temu przyznano w fizyce Nobla badaczom, którzy potwierdzili eksperymentalnie istnienie fal grawitacyjnych, a więc także intuicję Einsteina. Teraz przyznano go ludziom, którzy udowodnili, że w innych kwestiach się mylił.

To prawda – Einstein chciał podważyć teorię kwantową. Stworzył wiele eksperymentów myślowych, które, jak sądził, ją kwestionowały, ale w rzeczywistości dawały się wytłumaczyć także w jej ramach. Dyskusje te miały jednak bardzo konstruktywny wpływ na udoskonalenie naszego sposobu rozumienia najdziwniejszych aspektów teorii kwantowej. Einstein oczywiście nie był głupi, a jego zastrzeżenia były przemyślane. Nie podobało mu się to, że efekty dotyczące splątania dają się odczuć nawet przy bardzo dużych odległościach w czasie i przestrzeni. I jego zastrzeżenia zmusiły eksperymentatorów do opracowania nowych technik. To był początek ekscytujących odkryć, dzięki którym ludzie przejęli kontrolę nad światem kwantowym. Każdy, kto przesuwa granice wiedzy, popełnia błędy. Większość z nich donikąd nie prowadzi,

ale Einstein był takim geniuszem, że nawet jego błędy wytyczyły bardzo ważne ścieżki postępu.

Dlaczego ten obszar jest teraz tak istotny?

Pod koniec lat 20. i 30. XX w. pojawił się nowy, głęboki sposób rozumienia świata, odnoszący się zwłaszcza do świata atomów, nazwany teorią kwantową, który w kolejnych latach, ku zaskoczeniu niektórych jego twórców – w tym Einsteina – triumfalnie potwierdził swoje panowanie nad dziedzinami czasu i przestrzeni zarówno znacznie mniejszymi, jak i znacznie większymi, niż pierwotnie przewidywano. Wszystkie związane z nim pozorne paradoksy są czymś, z czym po prostu musimy żyć. Dla ludzi takich jak ja, którzy dorastali, gdy mechanika kwantowa była już dojrzała, to cudowne. Nie uważam jej za problematyczną czy paradoksalną. Uważam za wielki dar od Boga to, że świat działa w sposób, który jest tak interesujący, matematycznie elegancki i poszerzający nasze horyzonty.

W miarę zdobywania pewności siebie, w miarę testowania kolejnych aspektów teorii kwantowej nauczyliśmy się ją wykorzystywać do robienia coraz większej ilości niezwykłych rzeczy. Wszystko, co umożliwia nam komunikowanie się w czasie rzeczywistym na duże odległości za pomocą obrazów, np. mój komputer, opiera się na teorii kwantowej. Dzięki niej mamy tranzystory i lasery oraz możemy błyskawicznie przesyłać dane. Mechanika kwantowa naprawdę działa. Ale gdy przyjrzysz się równaniom teorii kwantowej i jej założeniom, zobaczysz, że nie wykorzystaliśmy jeszcze jej pełnego bogactwa. We wszechświecie nadal istnieje mnóstwo rzeczy, których nie używamy, a fizycy zajmujący się materią skondensowaną, fizycy atomowi i informatycy kwantowi pracują nad tym, by lepiej wykorzystać te zasoby.

Radośnie Pan brzmi, gdy mówi, że jest mnóstwo rzeczy, których jeszcze nie zrobiliśmy.

W pewnym sensie teoria kwantowa uczy, że nasze zwyczajne postrzeganie świata jest fragmentaryczne. Świat jest o wiele bardziej złożony, niż podpowiadają nam zmysły. Gdy nasz gatunek rodził się w toku ewolucji na stepach Afryki, musieliśmy radzić sobie z innymi problemami i ewolucja nie wyposażyła nas w odpowiednie do rozwiązywania naszych problemów zmysły. Ale dziś o wiele lepiej wykorzystujemy nasze umysły, lepiej panujemy nad zmysłami i mamy o wiele szerszą wiedzę. Postrzegamy zjawiska kwantowe za pomocą wielu nowych narzędzi i widzimy nowe, ogromne możliwości. To będzie przyszłość. Obserwujemy rodzaj intelektualnej wspinaczki. Im więcej rozumiemy, tym więcej jest do zrobienia.

Mamy teorię kwantową – od ponad stu lat. Mamy też teorię względności Einsteina, która również ma ponad sto lat. Obie sprawdziły się znakomicie. Czy to problem dla fizyki? Nasza wiedza opiera się na liczących wiek teoriach.

Zwłaszcza teoria kwantowa, ale w mniejszym stopniu także ogólna teoria względności nie są precyzyjnymi teoriami, są za to swego rodzaju szkieletami. W przypadku teorii kwantowej nie mówi ona, jak działają atomy, jak działają ich jądra, jak działają rozmaite materiały. Oprócz teorii względności i mechaniki kwantowej potrzebne są konkretne, dodatkowe pomysły.

Nastąpił postęp w zrozumieniu podstaw fizyki, zbudowany na ramach teorii kwantowej, ale zdecydowanie wykraczający poza wszystko, co było w głowach Maxa Plancka czy Wernera Heisenberga – twórców tej dziedziny. Myślę o rozwoju teorii oddziaływań silnych, elektromagnetycznych i słabych, które ludzie powszechnie nazywają modelem standardowym. Wiązało się to z wieloma zasadniczo nowymi pomysłami. I nie było to tylko konsekwencją założeń teorii kwantowej. Kwestionuję więc ogólne założenia tego pytania, ale rozumiem jego ducha.

Dzięki mechanice kwantowej, ogólnej teorii względności i ideom wchodzącym w skład modelu standardowego dziś naprawdę szczegółowo rozumiemy to, jak działa materia i czym właściwie ona jest. Nasze teorie zostały dogłębnie przetestowane. Aby podważyć najmniejsze elementy tych modeli, musimy dziś tworzyć gigantyczne akceleratory i przeprowadzać precyzyjne eksperymenty, a mimo to teoria nadal się trzyma. Nie tylko jeśli chodzi o jej ramy, ale i o szczegóły. Czy to jest problem? Tylko jeśli szukamy rewolucji. Ale jeśli stawiamy na zastosowania, jeśli chcemy budować nowe rzeczy, wykorzystywać potencjały drzemiące w równaniach, które nie zostały jeszcze wykorzystane w praktyce, to problemu nie ma.

Co fizykom teoretykom pozostało do zrobienia?

Wciąż jest wiele do zrobienia. Jednak bardzo trudno dziś jest robić rewolucje. Tak dobrze poradziliśmy sobie w fundamentalnym zrozumieniu świata, że trudno jest znaleźć rzeczy, których brakuje.

Istnieją konkretne kwestie, które należy rozwiązać, konkretne tajemnice. Myślę, że najbardziej wyróżnia się z nich ta: czym jest ciemna materia. Byliśmy tak dumni z siebie, poklepywaliśmy się po plecach za dogłębne zrozumienie zwykłej materii na podstawie teorii kwantowej, teorii modelu standardowego i ogólnej teorii względności. Tymczasem astronomowie odkryli coś, co do tych modeli i teorii nie pasuje. Coś dodatkowego. Mamy całkiem dobre pomysły na temat tego, czym to coś jest. Na początku października nasze konsorcjum naukowe wydało białą księgę opisującą propozycję przeprowadzenia nowego eksperymentu w poszukiwaniu aksjonów – pewnych hipotetycznych cząstek, które mogą być powiązane z ciemną materią.

Nawet sto lat po sformułowaniu teoria kwantów ma opinię niezwykle trudnej do zrozumienia. Gdzie tkwi jej piękno?

Fundamentem nowoczesnej teorii kwantowej jest artykuł Heisenberga z 1924 r., a jej zalążki sięgają prac Plancka z 1899 r. Jest to więc stara teoria, ale wciąż kwitnie.

Obawiam się jednak, że jej pełne piękno jest trudne do uchwycenia bez przygotowania, ponieważ leży ono w zbieżności między rodzajem idealnego świata pojęciowego, który można sformułować tylko w języku matematyki, i świata rzeczywistego. Aby naprawdę docenić teorię kwantową, musisz nauczyć się algebry liniowej, zmiennych zespolonych, liczb zespolonych i tym podobnych rzeczy. To są podstawowe narzędzia. To wbrew pozorom nie jest tak straszne. Jeśli rzeczywiście chcesz dobrze zrozumieć nawet najbardziej podstawowe zjawiska mechaniki kwantowej, to nie możesz tego uniknąć. Inaczej to tak, jakby mówić o pięknie polskiej poezji bez znajomości języka polskiego. ©

allegro
„NASZ NAJWIĘKSZY SKLEP"
Książki, których szukasz, czekają na Ciebie w jednym miejscu.
allegro

REKLAMA

Spotkanie z Mohamedem Mbougarem Sarrem poprowadził Jerzy Franczak. Kraków, 29 października 2022 r.

FOT. ALEKSANDER KARDYŚ / FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Razem-osobno

GRZEGORZ JANKOWICZ

Festiwal Conrada to wyjątkowy na kulturalnej mapie Polski punkt krzyżujących się dróg pisarek i pisarzy z najdalszych zakątków świata.

Hasło tegorocznej edycji Festiwalu Conrada – „Wspólnoty" – wymyśliliśmy w listopadzie 2021 r. Uznaliśmy, że właśnie to zjawisko powinno znaleźć się w centrum naszego zainteresowania, gdyż od sposobu, w jaki zawiązywane są relacje między jednostkami a grupami, zależy dziś przyszłość nie tylko społeczeństw, ale wręcz całego świata. Nie spodziewaliśmy się wówczas, że kilka miesięcy później kolejny etap wojny w Ukrainie i brutalna agresja Rosji uczynią naszą ideę przewodnią – niestety! – jeszcze bardziej aktualną.

Tytułowe słowo zapisaliśmy w liczbie mnogiej nie tylko dlatego, że dziś – w dobie globalnych środków komunikacji – przynależymy zazwyczaj do kilku różnych wspólnot, lecz także dlatego, że w owej przynależności nie ma nic oczywistego. Jak przekonywał włoski filozof Roberto Esposito, który otworzył tegoroczną edycję Festiwalu, relację ze wspólnotą determinują dwie siły: dośrodkowa i odśrodkowa. Ta pierwsza wciąga nas w obręb wspólnoty i skłania do współdziałania z innymi. Ta druga, przypominająca reakcję systemu immunologicznego na zewnętrzne zagrożenie, skłania do separacji, której czasem wszyscy potrzebujemy.

Gdy jednak siły odśrodkowe zaczynają przeważać, gdy już nie tylko jednostka, ale jakaś grupa społeczna, np. dany naród, zaczyna uszczelniać swe granice i jednoczyć się wyłącznie po to, by przeciwstawić swoją tożsamość tożsamościom innych wspólnot, powstają warunki, w których rodzi się faszyzm. ↦

JOANNA GAŁUSZKA / MATERIAŁY PRASOWE X3

Konflikt nie jest skutkiem tego rodzaju myślenia i działania, lecz jego istotą, dlatego prędzej czy później musi wybuchnąć. Według Esposita po zamachach z 11 września 2001 r. siły odśrodkowe zneutralizowały impulsy, które wcześniej skłaniały nas do podtrzymywania dużych wspólnot. Jest to globalny trend, którego destrukcyjne skutki w dowolnym momencie mogą dotknąć każdy kraj. By przeciwdziałać temu zagrożeniu, musimy współpracować ze sobą ściślej niż kiedykolwiek. Ani wojna w Ukrainie, ani żaden inny konflikt, który aktualnie toczy się na świecie, nie jest zatem sprawą lokalną i – z powodów moralnych oraz politycznych – nie możemy pozwolić sobie na bierność.

Przekonywał nas o tym m.in. Óscar Martínez, który w swych reporterskich książkach opisuje sytuację w krajach Ameryki Środkowej i Południowej. Sam wywodzi się z Salwadoru, gdzie przestępczość zorganizowana jest tak dużym problemem, że stała się częścią oficjalnej polityki. Dla ludzi pozbawionych wszelkich perspektyw przynależność do gangu staje się kuszącą opcją. Innym rozwiązaniem jest ucieczka, ale by wyrwać się np. z Gwatemali, Hondurasu czy wspomnianego Salwadoru i dotrzeć do upragnionych Stanów Zjednoczonych, emigranci muszą przejść przez piekło. Skoro o tym wiemy – przekonywał Martínez – i nie reagujemy, podejmujemy decyzję polityczną, której skutki prędzej czy później uderzą w naszych sąsiadów lub w nas samych.

Właśnie takie zaniechanie jest jedną z przyczyn toczącej się w Ukrainie wojny, o czym na Festiwalu opowiadali Natałka Biłocerkiweć, Tania Malarczuk oraz Mykoła Riabczuk. Cała trójka wskazywała na potrzebę natychmiastowego odrzucenia kolonialnego dyskursu, za pomocą którego Rosja definiuje pozycję i znaczenie państw Europy Środkowej i Wschodniej. Imperialna narracja, od kilkudziesięciu lat podawana za pośrednictwem najprzeróżniejszych – również literackich – opowieści, tworzy toksyczne warunki społeczne i polityczne. Stereotypy, które przez długi czas skłaniały Zachód do ignorowania ukraińskich starań o akces do Unii Europejskiej, wciąż determinują sposób myślenia jednostek i całych społeczeństw. I choć wojna to czas, w którym najbardziej potrzebujemy informacji, ważną rolę w walce z rosyjską propagandą odegrać może literatura.

Inercja pewnych sposobów myślenia – swoista zmowa milczenia, która jednostkom uniemożliwia reakcję na nowe formy zagrożenia – ma wiele źródeł. Jednym z nich jest dziedziczona trauma. Mówiła o tym Verena Kessler, która napisała powieść o zbiorowym samobójstwie popełnionym w 1945 r. przez mieszkańców niemieckiego miasteczka Demmin. Wybrali śmierć nie tylko ze strachu, ale także dlatego, że nie wyobrażali sobie życia w świecie, w którym Niemcy to kraj przegranych. Jak opowiedzieć taką historię, by objąć nią sprawców i ofiary (wśród osób, które popełniły samobójstwo, znajdowali się nie tylko naziści, ale też ludzie biernie akceptujący nazistowski porządek władzy)?

Po lewej: Carmen Maria Machado podczas spotkania. Kraków, 29 października 2022 r.
Obok: Mariana Enriquez w foyer Akademii Sztuk Teatralnych. Kraków, 28 października 2022 r.
Powyżej: laureatka Nagrody Conrada Paulina Siegień oraz pełnomocnik prezydenta miasta Krakowa ds. kultury Robert Piaskowski. Kraków, 30 października 2022 r.

Jak uniknąć zarzutu o próbę rewizji historii II wojny światowej, którą od lat próbuje przeprowadzić w Niemczech skrajna prawica?

A jak za pomocą opowieści pracować ze wspólnotami, które należą do większych grup narodowych, by mogły zaznaczyć swą odrębność i pielęgnować własną – często złożoną – tożsamość, nie wywołując przy tym szerszego kryzysu? Wokół tego pytania krążyła rozmowa ze Zbigniewem Rokitą, który w książce o Śląsku proponuje wiele różnych strategii narracyjnych, pozwalających na negocjacje między wspomnianymi wcześniej siłami dośrodkowymi i odśrodkowymi.

Festiwal Conrada to punkt krzyżujących się dróg pisarek i pisarzy z najdalszych zakątków świata. Przez siedem dni przysłuchiwaliśmy się opowieściom o tym, jak relacje wspólnotowe ukazuje literatura powstająca w różnych miejscach: Leïla Slimani opowiadała o Maroku i Francji, Mariana Enriquez o Argentynie, Aflian Sa'at o Singapurze, Mohamed Mbougar Sarr o Senegalu, Ayfer Tunç o Turcji, Carmen Maria Machado o USA, Andrus Kivirähk o Estonii... Uczestniczyliśmy w Queerowych Lekcjach Czytania poświęconych literaturze opowiadającej o doświadczeniach osób LGBTQA+, a także w dyskusjach o szeroko rozumianej branży literackiej, podczas których opracowywano nowe standardy współpracy między osobami tworzącymi opowieści a wydawcami.

Po raz kolejny wręczyliśmy Nagrodę Conrada za najlepszy debiut ubiegłego roku, a otrzymała ją Paulina Siegień za reportaż „Miasto bajka. Wiele historii Kaliningradu". Pozostali nominowani to: Monika Drzazgowska („Szalej"), Krzysztof Pietrala („Story Jones"), Bartosz Sadulski („Rzeszot") i Jaga Słowińska („Czarnolas"). Odbierając statuetkę, laureatka mówiła o wyjątkowym momencie, w którym ukazała się jej książka. „Dziś Kaliningrad wydaje się odległy jak nigdy wcześniej. Sama się zastanawiam, czy to miasto jeszcze istnieje, czy już stało się bajką".

Każda edycja Conrada jest dziełem wspólnym, wspólnotowym. Podziękowania kierujemy pod adresem wszystkich osób, które przez ostatni rok tę wspólnotę z nami współtworzyły: pisarek i pisarzy, prowadzących spotkania, tłumaczek i tłumaczy, zespołu festiwalowego, całej obsługi technicznej (gdyby nie poświęcenie osób, które po każdym dniu porządkowały centrum festiwalowe, nie mielibyśmy tak komfortowych warunków, a trzeba pamiętać, że ze względu na nasz harmonogram osoby te musiały pracować późnym wieczorem i w nocy). Dziękujemy wszystkim instytucjom partnerskim, naszym sponsorom i darczyńcom. Wreszcie Wam, wspaniałym Czytelniczkom i Czytelnikom! Obawialiśmy się, że pandemia osłabiła naszą więź, ale przybyliście na Festiwal w liczbie większej niż kiedykolwiek.

Do zobaczenia za rok podczas 15. edycji Conrada, którą właśnie zaczęliśmy dla Was przygotowywać.

©℗ GRZEGORZ JANKOWICZ,
Dyrektor Programowy Festiwalu Conrada

NAJLEPSZY SPEKTAKL ŚWIATA

ANNA JADOWSKA, REŻYSERKA:

Starsza kobieta w filmie to trudny bohater, dlatego wkłada się ją zwykle w nawias humoru. Nie wolno jej być mędrcem, tylko wiedźmą. Ma budzić strach albo śmiech.

KATARZYNA KUBISIOWSKA: Prawdziwa Mira istnieje?

ANNA JADOWSKA: Istnieje w takim sensie, że kilka historii kobiecych splotło się w tej postaci. Wszystkie wpadły w spiralę długów. Pisząc scenariusz do „Kobiety na dachu", nawiązałam kontakty z kobietami przez stronę zajmującą się konsolidacją długów. Na chwilówki i inne pseudokredyty nabierają się głównie kobiety.

Dlaczego biorą te kredyty?

Z różnych powodów, ale rzadko z nieodpowiedzialności. Często kompensują emocjonalne braki w rodzinie, chcą komuś coś dać, by w zamian coś dostać. Za wszelką cenę próbują radzić sobie same. Bywa, że ich drastyczna sytuacja wynika tylko z tego, że nie umieją prosić o pomoc. Zostały wychowane tak, żeby radzić sobie samej, zapomnieć o własnych potrzebach i opiekować się wszystkimi dookoła – jednocześnie.

Nie wiedzą, że nie ma tanich kredytów.

Za sto lat w podręcznikach do historii będą opisywane jako system niewolniczego wyzysku biednych ludzi. Sposób ich funkcjonowania daje wrażenie, że ktoś próbuje pomóc: „Przyjedziemy do domu, gotówka do ręki...". A w rzeczywistości podpisuje się cyrograf, w którym małym druczkiem są zapisane wymagania dotyczące tylko kredytobiorcy. Dowiedziałam się, że nawet jeśli taki kredyt się już spłaciło, to nie należy wyrzucać papierów, bo zdarzało się, że jakiś parabank „przypominał sobie" po latach o dłużniku i naliczał mu rujnujące odsetki. Jeśli ktoś pozbył się tych papierów, to bieda i wszystko zaczynało się od nowa.

Dla Ciebie to było szokujące?

Kiedyś w Łodzi podsłuchałam w sklepie rozmowę. Przy ladzie jedna pani mówi do drugiej: „Ja tam mogę zjeść sobie byle co, ale mój mąż lubi luksus i od czasu do czasu to by sobie jakiś jogurcik wypił". Jak cię stać na kawę w Warszawie za 15 złotych, to można zapomnieć, ilu ludzi żyje jak ta pani i jej mąż. Całe życie pracowali dla Polski, a teraz nikt nie bierze za nich odpowiedzialności.

Znam młodych ludzi, którzy przed Bożym Narodzeniem lub pierwszą komunią świętą biorą tysiąc złotych kredytu. W ten sposób żyją – zaciągają, spłacają, zaciągają, spłacają.

Spora część polskich filmów, głównie seriali, pokazuje zupełnie inny świat – dostani, z ludźmi jeżdżącymi luksusowymi autami i mieszkającymi w pięknych domach.

Pewnie taki świat też istnieje, tyle że nie jest dla mnie interesujący. Urodziłam się na początku lat 70., wychowałam na wsi pod Wrocławiem. Kiedy byłam dzieckiem, nie istniały tak drastyczne różnice społeczne jak obecnie, wówczas wszyscy mieli mniej więcej to samo i po równo. Tamten świat był zwykły i prowincjonalny.

Wspólnotowy?

Pielęgnowane były relacje sąsiedzkie, odwiedzano się bez zapowiedzi, dzieci jadały obiady w domu koleżanek i kolegów. Coś takiego inaczej buduje możliwość wchodzenia w relacje w życiu dorosłym. Sprawia, że jesteśmy bardziej otwarci, ciekawi innych, czujemy się częścią grupy. Do śmierci też inaczej podchodzono. Jestem z pokolenia pamiętającego otwartą trumnę w domu i czuwających wkoło ludzi. Kiedy byłam w trzeciej klasie podstawówki, zginął chłopiec potrącony przez samochód. Rozmawiało się o tym, znaliśmy mroczne historie, byliśmy ich blisko.

Nasze dzieci dorastają w świecie mniej prawdziwym?

A może w bardziej bezpiecznym? Nie da się tego porównać, powiedzieć, które z tych dzieciństw jest lepsze, które gorsze. Przecież to dwie różne rzeczywistości. Dziecko nad rzeczywistością, w której istnieje, wcale się nie zastanawia, naturalnie przyjmuje to, co je otacza.

Opowiesz więcej o rodzinnym domu?

Rządziły w nim kobiety. Tata był w cieniu, dominowały babcia i mama. Babcia była typem wakacyjno-wycieczkowym, nie miała żadnych cech tradycyjnej kobiety wekującej i gotującej wnukom obiadki, raczej: zabawa, sąsiadki, plotki. Natomiast mama była osobą ciepłą i domową. Uzupełniały się.

Lubiły?

Dynamicznie. Pod koniec życia babci próbowały się dogadać, zrozumieć, przepracować to, co im się nie udało. Bo to przecież były pokolenia z wpisanymi w życiorysy tragicznymi historiami. Babcia wychowała się pod Krakowem, niedaleko Koszyc. Jako siedmiolatka została oddana na służbę do dworu w Rachwałowicach, z którego po wojnie zostały tylko zgliszcza. I tu zderzały się pokoleniowe perspektywy... Mnie wydawało się to okropne – oddać dziecko do pracy u obcych?! A z perspektywy babci to był los wygrany na loterii. Można było przecież umrzeć z głodu w swoim domu, albo można było być najedzonym przy cudzym piecu.

A Ty, pomiędzy babcią a mamą?

Zawsze buntownicza. Wszystko mi nie pasowało, podkreślałam swoje zdanie, robiłam wiele rzeczy w poprzek, co zadziwiało w równym stopniu babcię, jak i mamę. Nie mam bladego pojęcia z czego i skąd mi się to wzięło.

„Dzikie róże", przedostatnią fabułę, zadedykowałaś mamie.

Sama wtedy zostałam mamą – duża zmiana w moim życiu. Chciałam kręcić film w pobliżu miejscowości, gdzie mieszka mama. Tam jest plantacja dzikich róż, która w filmie gra ważną rolę. Myślałam wtedy, że mama zajmie się synkiem, a ja będę mogła pracować na planie. Ale moje plany, wobec planów siły wyższej, okazały się niemożliwe do zrealizowania. Mama zmarła i zrobiłam ten film już bez niej. Stąd dedykacja.

Tylko stąd?

↦

ANNA JADOWSKA (ur. 1973) jest reżyserką, scenarzystką i scenografką. Absolwentka filologii polskiej na Uniwersytecie Wrocławskim oraz Wydziału Reżyserii PWSFTviT w Łodzi. Zrealizowała m.in. filmy fabularne: „Generał – zamach na Gibraltarze", „Z miłości", „Dotknij mnie", „Teraz ja", „Dzikie róże", dokument „Trzy kobiety" oraz dokument fabularyzowany „Generał" (o gen. Władysławie Sikorskim). Dorota Pomykała za główną rolę w jej najnowszym filmie „Kobieta na dachu" została nagrodzona za najlepszą kreację aktorską na 21. Festiwalu Tribeca w Nowym Jorku oraz na 47. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni za najlepszą rolę kobiecą.

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

W „Dzikich różach” znalazło się kilka wspomnień z mojego dzieciństwa. Główna bohaterka wyplata dla swojej córki idącej do komunii wianek z prawdziwych kwiatów. Ja też byłam ofiarą pomysłu mamy – musiałam mieć wianek z żywych stokrotek, a reszta dziewczynek na głowie miała piękne plastikowe wianki kupione w sklepie. Chciałam taki plastikowy...

I podobnie jak w filmie, pierwsza spowiedź była dla mnie bardzo trudnym doświadczeniem. Wtedy, jako dziewięciolatka, miałam poczucie totalnego przekroczenia. Wydawało mi się arcydziwne, że mówię o swoich grzechach obcemu człowiekowi. Do tej pory pamiętam silne emocje temu wszystkiemu towarzyszące. Własnemu synowi takiego stresu nie zaserwowałam, nie przystąpił do pierwszej komunii.

Dziewczynka z „Dzikich róż” – nieposłuszna i konfrontacyjna – jest też chyba Twoim alter ego. I kompletnym przeciwieństwem Twoich bohaterek ze starszego pokolenia. Stłumionych, milczących, komunikujących się śladowo.

Sądzę, że w patriarchalnym systemie nie ma szansy na partnerstwo, na dialog, na rozmowę równego z równym. Zawsze ktoś, kto jest u góry, tłumaczy świat temu, który znajduje się poniżej, pod nim. Także kobiety mogą takie postawy reprezentować.

Dlatego trzeba dążyć do sprawstwa?

Takie poczucie dało mi nakręcenie z Ewą Stankiewicz „Dotknij mnie”. Byłyśmy na trzecim roku reżyserii, po zakończonych warsztatach z Wojciechem Marczewskim, same zorganizowałyśmy jeszcze jedne z udziałem Marty Mészáros i Agnieszki Holland. To moje najistotniejsze doświadczenie szkolne. Bo zdając do filmówki, nie miałam pojęcia o robieniu filmu. Byłam pierwsza pod kreską, ale rektor – Henryk Kluba – zdecydował, że można mnie przyjąć.

Nie miałaś pojęcia o kręceniu filmów?

Długo myślałam, że będę pisarką. Do dziś piszę drobne rzeczy do szuflady. Skończyłam polonistykę we Wrocławiu. W liceum zaczytywałam się Philipem Rothem. Moją ulubioną książką był „Kompleks Portnoya”, gdzie autor brutalnie, bez żadnych zahamowań przedstawia swojego bohatera. Przeczuwałam, że Roth bez opowiadania o sobie nie byłby w stanie czegoś takiego napisać – pewnych rzeczy nie da się wymyślić.

Stałam z kamerą w kuchni u pani Basi i obserwowałam, jak trze suchą bułkę.

I jej syna mieszającego łyżką w garze. Miałam wrażenie, że uczestniczę w najlepszym spektaklu świata.

Od razu wiedziałaś, że główną bohaterkę w „Kobiecie na dachu” zagra Dorota Pomykała?

Dość długa droga prowadziła mnie do Doroty. Z odpowiedzialnym za casting Piotrem Bartuszkiem zastanawialiśmy się, kto może zagrać główną bohaterkę. Intuicja mi podpowiadała, że to powinien być ktoś kompletnie nieznany, by w Polsce przynajmniej ta postać nie łączyła się z charakterystycznym wizerunkiem. Piotrek nawet myślał o aktorkach, które wyjechały za granicę i nie grają. Kiedyś rozmawiałam z moją przyjaciółką Martą Nieradkiewicz, aktorką grającą Ewę w „Dzikich różach”, która postawiła pytanie: „A gdybyś miała jutro to kręcić, nie masz wyboru i musisz zadzwonić natychmiast, to do kogo byś zadzwoniła?”. Ja na to, że do Doroty Pomykały.

Pomykała grająca sześćdziesięciolatkę eksponuje starzejącą się twarz, ciało.

Wygląda czterdzieści lat starzej niż w rzeczywistości. I z jej ekranowa postaci bije nadzwyczajna energia, także urealniona poprzez jej cielesność. Jest w tym piękna.

Pomykała dostała za tę rolę nagrody w Gdyni i Nowym Jorku. Brakuje w kinie takich autentycznych bohaterek.

Bardzo lubię filmy ze starszymi bohaterami. Ale kobiety postmenopauzalne – co za okropna nazwa – pojawiają się w kinie sporadycznie. Jeśli już, to najczęściej nie wychodzą poza funkcjonujący kanon piękna: są szczupłe i mają regularne rysy.

Jak Charlotte Rampling?

Albo Meryl Streep. Bardzo często są przedstawiane w otoczce komediowej. Starsza kobieta, jak każdy trudny bohater, musi być wzięta w nawias humoru – z ekranu nie może wiać smutą. Taka bohaterka nadal jest w strefie tabu – zostaje pozbawiona cech indywidualnych i jest wpychana w normatywną kliszę babci-staruchy. W kulturze popularnej istnieje figura starca-mędrca, ale stara kobieta może być tylko wiedźmą, budzić strach albo śmiech.

Starsza kobieta w relacji z synem alkoholikiem sportretowana jest też w Twoim dokumencie „Trzy kobiety”.

Kiedy ten film kręciłam, byłam w ciąży. Mieszkałam jeszcze w Łodzi, wszystkie bohaterki mojego filmu były moimi sąsiadkami. Najmłodsza dziewczyna mieszkała dosłownie trzy kroki ode mnie, a mamę z dwójką dzieci – Małgosię, z którą do tej pory utrzymuję kontakt – spotkałam na ulicy przy filmowanym targu. Natomiast na panią Basię, matkę alkoholika, któremu wydziela papierosy, trafiłyśmy, kiedy z operatorką Gosią Szyłak zaczęłyśmy już kręcić pierwsze scenki z miasta, spotkałyśmy ją koło manufaktury, kiedy przygotowując się do zimy zbierała patyki i drewno, by mieć czym palić w piecu.

Bardzo na czasie.

Z dwuletniej obserwacji zrodził się cały film. Chciałam w nim złapać falę wartości przechodzących z pokolenia na pokolenie. A także to, jak życie ludzkie w Łodzi wylewa się z domu na ulicę. Łódzkie społeczeństwo jest w dużej mierze wiejskie, niedawno przeprowadzone do miasta, stąd pewnie nawyk wychodzenia z życiem na zewnątrz. Kiedy wędruję przez Łódź, widzę na ulicach potok ludzkich historii. W Warszawie prawie w ogóle mi się to nie zdarza.

Na czym polega generacyjny przekaz, o którym wspomniałaś?

Łódź uczy pasywności. Człowiek jest zależny od sytuacji rodzinnych, nie ma narzędzi, by wyjść poza nie, by taki świat opuścić i stworzyć nowy, oparty na własnych regułach. Matka pokazuje córce, że lepiej nie próbować. I ta córka swojej

MATERIAŁY PRASOWE BLICKPRODUCTIONS

Kadr z filmu „Kobieta na dachu", na pierwszym planie Dorota Pomykała

córce pokazuje to samo. Trudno było mi patrzeć na dzieci, które wchodziły w wiek nastoletni, potem robiła się głęboka dziura i już byli dorosłymi przegranymi. Nie było tam miejsca na choćby jeden moment szczęścia i beztroski – od razu wpadało się w długi, w alkohol, w mnożące się trudności. Pętla.

Co Tobie dał ten film ?

Zrozumiałam, że klasyczna narracja, odwołująca się do reguł Arystotelesa, nijak ma się do prawdziwego życia. Podobnie scenariuszowe kanony: 17 minuta – pierwszy punkt zwrotny, 75 minuta – drugi punkt zwrotny... Ale to nieprawda. Najbardziej budują nas nie momenty pozytywne i radosne, tylko te, w których zderzymy się ze ścianą, z pustką, z kaloryferem.

Z prozą życia?

Lubię codzienne rytuały, starałam się to pokazać w „Trzech kobietach". Stałam kiedyś z kamerą w kuchni u pani Basi i obserwowałam, jak trze suchą bułkę. Albo jej syna, gotującego coś sobie, mieszającego łyżką w garze. Miałam wrażenie, że uczestniczę w najlepszym spektaklu świata, a jego bohaterowie pozwalają mi go oglądać. Po skończeniu filmu długo czułam się odpowiedzialna za tych ludzi i miałam wrażenie, że zrobiłam jakiś skręt w ich życiu, który powinnam wyprostować. Oni mi zaufali, pozwolili na to. Przez chwilę pojawiła się u nich kamera, która zapisała fragment ich życia. Dali mi więcej niż ja im. Nie wyobrażam sobie teraz powrotu do dokumentu.

W „Kobiecie na dachu" pokazujesz to samo, co w „Trzech kobietach" i „Dzikich różach" – zaplątanie w trudy życia.

Wiem, że są gorsze i bardziej bezwzględne sytuacje rodzinne, gdzie pojawia się agresja słowna i fizyczna, a kobiety i dzieci są bite. Ale mąż Miry również jest ofiarą patriarchatu tresującego mężczyznę do nieczucia i nierozumienia. Odcięcia od własnych emocji. Nie jest w stanie ich okazywać, jakby stał za szybą.

Relacje damsko-męskie zmieniają się od momentu, kiedy dostałyśmy prawo wyborcze. Choć wahadło wychyla się raz w jedną, raz w drugą stronę, postęp jest niezaprzeczalny. Okazuje się jednak, że zmiany legislacyjne są łatwiejsze do wprowadzenia niż zmiany w mentalności. Tutaj potrzeba naprawdę wielkiej pracy i każdy tę pracę musi wykonać sam na sobie. Nawet w swoim środowisku widzę kobiety, które od mężczyzn są bardzo zależne psychicznie.

W jaki sposób?

Swoje decyzje uzależniają od męskiego sądu, spojrzenia, opinii. Są uwikłane w toksyczne relacje. Może nawet fizycznie i finansowo są niezależne, natomiast emocjonalnie pozostają na krótkiej smyczy. I są w służebnej i opiekuńczej funkcji wobec partnera.

Bo?

Bo tak zostałyśmy wychowane, bo nie wypada itd. Ale widzę też, jak rzadko patrzymy w głąb siebie, jak mało o sobie wiemy. I kobiety, i mężczyźni.

Jesteśmy społeczeństwem straumatyzowanym przeszłością – zaborami, wojnami, powstaniami. Cały czas musieliśmy się pakować, gdzieś uciekać, szukać nowego miejsca do życia, wszystko zaczynać od nowa. I ten codzienny trud, brak pieniędzy, strach przed tym, co będzie jutro, sprawia, że nie mamy czasu, żeby zajmować się sobą.

Ludzie skupili się na przetrwaniu, a zapomnieli, że mają uczucia?

Do tego złą robotę dokłada współczesny Kościół. Narracja płynącą z ambon, a dotycząca relacji w rodzinie jest patriarchalna. Moim zdaniem polski Kościół odbiera ludziom elementarne możliwości emocjonalnego rozwoju, w zamian dając pozornie narzędzia kontaktu z czymś od człowieka większym, zabraniając myśleć konstruktywnie i sankcjonując paternalistyczne relacje między ludźmi. Dla mnie to forma bez treści, skorupa pozostawiającą człowieka z poczuciem pustki.

Co słyszysz od publiczności po seansie „Kobiety na dachu"?

Napisało do mnie wiele kobiet, jedna z nich, córka policjanta zajmującego się zakładaniem sprawcom domowej przemocy niebieskiej karty, opowiadała, że gdy ojciec wracał do domu, tłukł całą rodzinę i podejmował za nich decyzje w najdrobniejszych sprawach. W konsekwencji ona do dziś nie jest zdolna podjąć sama żadnej decyzji.

W czerwcu tego roku byliśmy z „Kobietą" na festiwalu w Nowym Jorku. Po projekcji podeszła zapłakana Polka, która opowiedziała, że jej mama wpadła w spiralę długów i popełniła samobójstwo. Dopiero po jej śmierci rodzina znalazła szufladę pełną rachunków. Nikt o nich wcześniej nie wiedział.

Kolejny Twój film też będzie opowieścią o kobiecie?

Na pewno tak, tylko muszę się porządnie zastanowić. Sytuacja na świecie jest tak trudna i skomplikowana, że muszę być pewna tego, po jaki temat sięgam. Będę z tą historią spędzać parę lat.

Chcesz lepiej zrozumieć świat?

Nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Na razie przyglądam się temu wszystkim zdumiona.

© Rozmawiała KATARZYNA KUBISIOWSKA

DOMENA PUBLICZNA

Siewca o zachodzie słońca. Arles, czerwiec 1888 r.

Pomyślny upał

JAN MARIA KŁOCZOWSKI Z RZYMU

Van Gogh malował od świtu do nocy, pomimo ataków choroby, o której do dzisiaj nie wiemy nic, choć napisano o niej tysiące książek... Może taka była cena za wiedzę, że „życie jest gdzie indziej".

Jesienny Rzym wita słońcem. Po niedawnych wyborach do parlamentu ani śladu: żadnych afiszy, ulotek czy banerów. Teraźniejszość brutalnie daje jednak znać o sobie w drzwiach do księgarni wydawnictwa Feltrinelli – na regale z nowościami przykuwają uwagę trzy tytuły: „Ostatnie dni Europy" Antonio Scuratiego, „Noce zarazy" Orhana Pamuka, „Mussolini. Przywódca gangu" Aldo Cazzullo... Wystarczy, żeby usiąść i zapłakać. Jak ten stary człowiek z obrazu Vincenta van Gogha, który oglądać można na czasowej wystawie w Palazzo Bonaparte przy Piazza Venezia.

Piętra

Co porabia van Gogh w Rzymie, na kilka miesięcy przed sto siedemdziesiątą rocznicą swoich urodzin? Kiedy żył, nie ciągnęło go nad Tybr, mimo że z szacunkiem odnosił się do swoich wielkich poprzedników, którzy tu pielgrzymowali. Dziś zjawia się w ślad za swoim dziełem: pięćdziesięcioma rysunkami i obrazami ze zbiorów holenderskiego Kröller-Müller Museum. Liczniejszą kolekcją poszczycić się może jedynie Muzeum van Gogha w Amsterdamie. Zbiór zgromadzony przez Helene Kröller-Müller (1869-1939) przechowywany jest w sercu Holandii, we wsi Otterlo, do której dotrzeć z Polski jest nieco trudniej niż do... Rzymu. Jeśli zatem w ciągu najbliższych pięciu miesięcy drogi nas tu zawiodą, należy skorzystać z okazji, aby spotkać się z van Goghiem na wystawie zorganizowanej przez agencję Arthemisia.

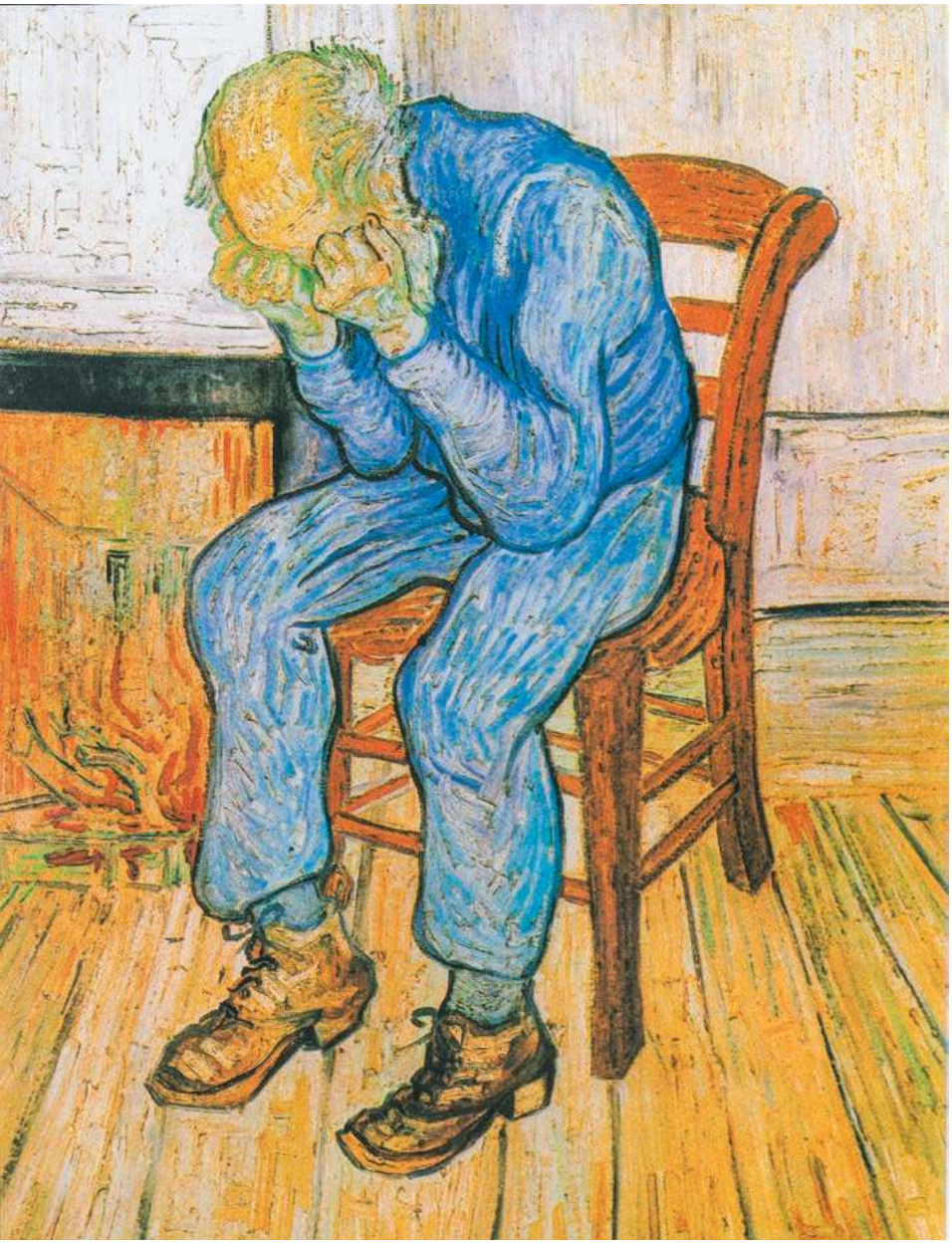

DOMENA PUBLICZNA

Stary człowiek w smutku. Saint-Rémy, maj 1890 r.

Jej kuratorki, Maria Teresa Benedetti i Francesca Villanti, postanowiły trzymać się chronologii: w wyciemnionych salach na pierwszym piętrze wiszą obrazy i rysunki powstałe w Holandii i Paryżu w latach 1881-1886, na drugim – te z okresu pobytu w Arles i Auvers-sur-Oise w latach 1888-1890. Chronologiczny klucz znajduje swoje wyraźne odbicie w kolorze płócien. Czernie, szarości i brązy z pierwszego piętra zmieniają się na drugim w żółcie, róże, błękity i czerwienie. Wystawę otwierają jednak nie dzieła van Gogha, a trzy niewielkie płótna, coś w rodzaju zastępczych wizytówek kolekcji z Otterlo: „La Madrilèna" Picassa, „W kawiarni" Renoira i „Atiti" Gauguina. Obok nich duża tablica z tekstem, który zapoznaje zwiedzających z historią zbiorów Helene Kröller-Müller. Dzięki pieniądzom męża, Antona Kröllera, prezesa spółki Wm. H.

Müller & Co – międzynarodowego koncernu z siedzibą w Hadze – na początku XX wieku Helene była jedną z najbogatszych kobiet w Holandii. Korzystając z doradztwa niejakiego Henka Bremmera (1871-1956), malarza, edukatora i krytyka sztuki, stworzyła kolekcję, której inwentarz – w chwili, gdy na rok przed śmiercią w 1939 r. przekazywała ją państwu – liczył 11 500 pozycji, z czego 91 obrazów oraz 180 rysunków i szkiców było autorstwa van Gogha.

Mroczne tonacje

Dowiedziawszy się co nieco o zbiorach Helene Kröller-Müller, zanurzamy się na chwilę w świat kreowany przez van Gogha. Najpierw w Holandii, a potem w Paryżu. To świat kogoś, kto skończył 27 lat i dopiero niedawno poczuł „tęsknotę do krainy obrazów", kogoś, kto postanowił, że nie będzie już głosił nikomu kazań, jak to robił wcześniej w Borinage, i że od teraz zajmie się własnym rozwojem duchowym. Z wiarą, że jedyną drogę do tego rozwoju otwierają przed nim rysunek i malarstwo.

Zaczynamy zatem zwiedzanie wystawy od pierwszych nieporadnych szkiców węglem, od pierwszych obrazów olejnych, takich jak „Martwa natura ze słomkowym kapeluszem" z 1881 r. To dopiero jego drugi „olej", van Gogh wie, że jest „u początku początków", o czym wspomina w liście do brata. Terminuje wtedy w Hadze, już po kłótni z ojcem, u swego kuzyna i znanego malarza, Antona Mauve'a. W tym czasie poznaje Sien, prostytutkę w ciąży, która zostaje jego kochanką i modelką. „Chciałbym też raz mieć przy sobie kobietę, nie mogę żyć bez miłości" – pisze i rysuje „Kobietę siedzącą przy piecyku". To Sien: z papierosem w ręku, siedzi smutna na podłodze, jakby przeczuwając, że za chwilę Vincent pójdzie swoją drogą... I tak się dzieje.

Van Gogh wraca do rodziców, do Neunen, nie rozstaje się ze szkicownikiem, ustawia sztalugi w warsztatach tkackich. Patrzymy na „Krosno z tkaczem" z maja 1884 r., jedno z kilku płócien o tej samej tematyce. W liście do Theo z 30 kwietnia 1884 Vincent pisał: „Mam nadzieję, że wkrótce zabiorę się za dwóch kolejnych tkaczy, ale tym razem postać będzie wyglądała zupełnie inaczej (...). Widziałem ich, jak tkają w świetle lampy, wieczorem, co daje bardzo rembrandtowski efekt". Rembrandt i Jean-François Millet to jego mistrzowie.

Bohaterkę „Głowy kobiety w białym czepku" rozpoznamy za chwilę w gronie „Jedzących kartofle". To pierwsza wersja znanego obrazu z maja 1885 r. (druga wisi w Amsterdamie), jedynego płótna z holenderskiego okresu twórczości, które van Gogh naprawdę cenił. O obrazach, akwarelach i szkicach z tego czasu pisał w „Fajce van Gogha" Wojciech Karpiński: „W okresie holenderskim malował mroczne płótna: wiejskie chaty jakby wrośnięte w ziemię, kobiety schylone ↦

↦ na polu pod ołowianym niebem, tkaczy skupionych nad warsztatem, ciemnobrązowe gniazda wtopione w jeszcze ciemniejsze tło (...). Mroczna tonacja obrazów z Neunen stanowiła świadomy wybór, odpowiadała jego naturze. Tak widział rzeczywistość pod niebem Północy, taki był jego świat wewnętrzny. Ciągle nie znalazł miejsca dla siebie".

Spalony słońcem

Van Gogh chce „robić postępy", w marcu 1886 r. przyjeżdża do Paryża. Zostanie tu przez dwa lata. Pod opieką brata Theo. Jego paleta rozjaśnia się, chociaż nadal nie jest to ten van Gogh, który odnajdzie siebie na Południu. Stajemy na dłuższą chwilę przed „Wnętrzem restauracji" z lata 1887 r. Gdyby nie powyginane nogi krzeseł ustawionych przy stolikach, można by pomyśleć, że to Georges Seurat. Krzesła malowane zdecydowanym pociągnięciem pędzla, cała reszta to kwintesencja pointylizmu. Van Gogh nadal szuka swojego „języka": zapomniawszy na chwilę o lekcjach Milleta, odkrywa malarstwo impresjonistów. Efekt tego odkrycia widzimy wyraźnie na znanym „Autoportrecie" z czerwca 1887 r., który zamyka pierwszą część wystawy.

Po koniec lutego 1888 r. van Gogh wsiada w pociąg i wyrusza na Południe, do Arles. Podczas gdy my wspinamy się wysokimi schodami na drugie piętro Palazzo Bonaparte, on, przez okno kuszetki, obserwuje oczyma malarza mijane krajobrazy: „Zauważyłem wspaniałe czerwone tereny z winnicami na tle gór o najdelikatniejszych liliowych barwach. Pejzaże w śniegu, z białymi szczytami na tle nieba równie świetlistego jak śnieg, były jak zimowe pejzaże malowane przez Japończyków". Południe i śnieg... O tak, takich paradoksów życie van Goghowi nie szczędziło!

Przed nami kilkanaście obrazów malowanych w Arles, w Saint-Rémy-de-Provence, w Auvers-sur-Oise – kilkanaście świadectw spotkania ze słońcem, ze światem Południa. „Mamy tu teraz cudownie bezwietrzny upał, po mojej myśli. Słońce, światło, które z braku precyzyjniejszej nazwy określam jako żółte – blada siarczana żółć, bladozłota cytryna" – pisze van Gogh w liście do brata. Nie wie, że przed nim jeszcze dwa lata życia. Marzy o Atelier du Midi, o Pracowni Południa, do której zaprosi Gauguina i innych malarzy.

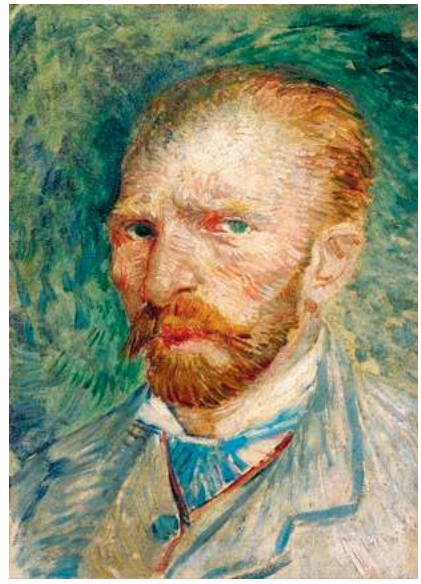

MATERIAŁY PRASOWE ORGANIZATORA

Autoportret. Czerwiec 1887 r.

VINCENT VAN GOGH:

Mamy tu teraz cudownie bezwietrzny upał, po mojej myśli. Słońce, światło, które z braku precyzyjniejszej nazwy określam jako żółte – blada siarczana żółć, bladozłota cytryna.

Gauguin wytrzyma z nim tutaj tylko przez chwilę. Ucieknie, przerażony widokiem zabandażowanej twarzy Vincenta... A ten, spalony słońcem, będzie odtąd malował jeden obraz dziennie, aż do tej feralnej niedzieli, 27 lipca 1890 r., kiedy na polu pszenicy pod Auvers-sur-Oise postrzeli się w brzuch z sześciostrzałowego rewolweru Lefaucheux, spłoszy krążące nad polami kruki, które malował tydzień temu, a za dwa dni umrze.

Grawitacja

Maluje od świtu do nocy, pomimo ataków choroby, o której do dzisiaj nie wiemy nic, choć napisano o niej tysiące książek... Alkoholizm? Dwubiegunowa choroba uczuć? Czy może cena za wiedzę, że „życie jest gdzie indziej", jak napisze w liście z 10 września 1889 r.? Pamiętając o wszystkim, co przeżył i czego dokonał na Południu van Gogh, oglądamy teraz m.in. cytrynowy księżyc wschodzący nad stogami pszenicy, kawiarnię w Arles pod gwiaździstym niebem, siewcę, „Portret młodej kobiety" z czerwca 1890 r. (obraz, o którym wiemy dzisiaj, że w kilku miejscach zmienił barwę z powodu niezbyt trwałego pigmentu – eozyny, której używał Vincent), „Miłosiernego Samarytanina" malowanego wg Milleta, „Kochanka", czyli portret porucznika Millieta, któremu van Gogh udzielał lekcji rysunków, zazdroszcząc przystojniakowi (wiemy to z listu do brata), że „mógł mieć wszystkie arlezjanki, jakie chciał". Wystawę zamyka portret rozpaczającego staruszka z twarzą ukrytą w dłoniach. Zatrzymujemy się przy nim na dłużej, sięgając raz jeszcze po „Fajkę van Gogha" Karpińskiego: „»U progu wieczności« stanowi portret van Gogha jako człowieka i artysty. Czerpiąc inspirację z siebie, z siebie przyglądającego się kiedyś biedzie i ludzkim nadziejom, przekazuje na płótnie (...) coś, co jest zmienne i trwałe, odkrywcze i odwieczne, bliskie, zaczerpnięte stąd, spod powiek, ze snów i jawy każdego z nas – i odległe, z Północy bądź z Południa, z czyjegoś przeżycia, z czyichś nadziei, z czyjejś rozpaczy, z jego, van Gogha, pamięci i wyobraźni, z jego sztuki".

Czuję pewien dyskomfort po obejrzeniu tej wystawy. Wszystko za mało, by objąć okiem i sercem dzieło i życie geniusza, który w ostatnim, już niewysłanym liście do ukochanego brata napisał: „Za moje malarstwo płacę ryzykiem życia, ono zabrało mi połowę rozumu". Nie mam ochoty, aby kończyć spotkanie z van Goghiem. Zawołał mnie rok temu w Arles, gdzie pracowałem przez miesiąc w budynku dawnego szpitala, tym samym, w którym zamknięto go na żądanie przerażonych mieszkańców miasta. Obecnie ma tu swoją siedzibę m.in. Międzynarodowe Kolegium Tłumaczy. Co mam mu odpowiedzieć? Cisną mi się jedynie na usta słowa Artauda o świecie, który po przejściu przezeń van Gogha nie jest już w stanie „zachować tej samej spokojnej grawitacji".

© JAN MARIA KŁOCZOWSKI

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego". Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | **www.radiokrakow.pl**

Arcydzielny minimalizm Hanny K.

TOMASZ FIAŁKOWSKI

W tej książce jest i przeszłość, i współczesność, i polityka, i sprawy publiczne, ale zawsze ujrzane przez pryzmat czyjejś historii, czyjegoś przeżycia, czyjejś pamięci.

JACEK DOMIŃSKI / REPORTER

Hanna Krall. Warszawa, 2017 r.

Kiedy Hanna Krall zaczęła publikować na tych łamach cykl „Za pamięci", szybko stało się jasne, że to coś więcej niż felieton. Że na naszych oczach zmartwychwstają na chwilę całe światy, powstaje mozaika ułożona z niezwykle wyrazistych odłamków, przesuwa się korowód postaci uchwyconych w jednej, za to naprawdę znaczącej scenie. I te sceny pozostawały ważne niezależnie od tego, kiedy i czy w ogóle czytelnik rozpoznał bohaterkę czy bohatera, czy coś o nich wcześniej wiedział – choć na ogół wiedzieć powinien.

„Pamięć – pisze we wstępie do książki Mariusz Szczygieł – jest dla Hanny Krall od lat, chyba od kiedy zaczęła pisać o Zagładzie, ideą niemal filozoficzną. Swego rodzaju Absolutem, do którego dąży każdy człowiek. Bo każdy chce być zapamiętany. Niektórym więc Krall pomaga do Absolutu się zbliżyć. Ale mylić się będzie ten, kto sądzi, że są to felietony o tym, co przechowuje jej kilkudziesięcioletnia pamięć. Jakieś wspominki czy wypominki. Są to prawdziwe reportaże, niewielkie, ale reportaże, do których solidnie zebrała dokumentację". Godziny rozmów, dziesiątki lektur, sterty papierów – wszystko dla dwóch-trzech stron tekstu.

Sztuka kondensacji

Każda kolejna przesyłka od Doroty Szymborskiej, przenoszącej rękopisy Hanny Krall w wersję elektroniczną, była wspaniałą przygodą. Czytać uważnie te miniatury oczyszczone ze szczegółów pozbawionych znaczenia, odnajdywać zawarte w nich odesłania do innych książek autorki i pojawiających się w nich postaci, jak oczywiście Marek Edelman, jak poetka Franciszka Arnsztajnowa z „Wyjątkowo długiej linii" czy dwie Marie Hrabowskie z „Synaps Marii H.". I docierać do puenty, w której czasem następuje kumulacja emocji, czasem zaś patos zostaje rozbrojony ironią.

Teraz czytelnika czeka przygoda kolejna, jeśli oczywiście będzie miał na nią ochotę, ale polecam: porównać książkowe wersje niektórych tekstów z ich pierwodrukami. Zobaczyć, jak konsekwentnie Hanna Krall kondensuje swoje miniatury.

Przykład? Pierwsza część „Scen z życia wolontariusza W.", która w „Tygodniku" nosiła tytuł „Buka". Rzecz o zmasakrowanej przez wojsko rosyjskie podkijowskiej Buczy („przyjemne miasteczko, wille, dużo drzew, coś jak Konstancin"), Eugenii, która ratowała porzucone zwierzęta, i najeźdźczym żołnierzu, który ocalił mopsa – bo też ma psa. Czy wobec tylu zbrodni pisać o „dobrym żołnierzu"? Nie, uważa wolontariusz Witek, bo reporter powinien wybierać... Streszczam nieudolnie i nie chodzi mi o dylemat reportera, tylko o sposób, w jaki Hanna Krall zgęściła opis, oparty na opowieściach Eugenii i Witka oraz zdjęciach. Jedno tylko zdanie. Wersja z „TP": „Niedaleko lotniska była stadnina i klub jeździecki, na lotnisku był desant, konie rozbiegły się, strzelali do nich albo rozjeżdżali czołgami". Wersja z książki: „Była stadnina, konie rozbiegły się. Strzelali do nich albo rozjeżdżali czołgami".

Że Ukraina? Bo w tej książce jest i przeszłość, i współczesność, i polityka, i sprawy publiczne, ale zawsze ujrzane przez pryzmat czyjejś historii, czyjegoś ↦

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Hanna Krall podczas Festiwalu Conrada z Mariuszem Szczygłem i Wojciechem Tochmanem. Kraków, 22 października 2015 r.

↦ przeżycia, czyjejś pamięci, czasem zresztą niedokładnej – jak w przypadku owego profesora, który miał jako dziecko jeździć tramwajem przez warszawskie getto. Wszystkie tematy muszą przejść próbę indywidualnego doświadczenia. Tak jest w przypadku wojny i Zagłady, podobnie ze stalinizmem.

A polskie przemiany minionych dekad? Na burzliwym posierpniowym zebraniu w spółdzielni mieszkaniowej bohater wojenny słyszy, że jest tchórzem, i to po trzykroć. „Pamiętał to zebranie przez cztery lata. Krótko. Do końca życia". Rocznica słynnego strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej w listopadzie 1981 r. wraca za sprawą Ewy Hołuszko, która wtedy była Markiem Hołuszką, działaczem mazowieckiej Solidarności, a po latach weterani strajku nie chcieli mieć z nią do czynienia. I jeszcze rok 1989, wizyta w Wiskitkach, gdzie wszyscy czegoś się boją – ale solidarnościowy Premier wolałby o tym nie słuchać...

Sceny prywatne

Przyznam, że dla mnie Hanna Krall jest w „Szczegółach znaczących" przede wszystkim mistrzynią portretu. Szkicowanego jakby mimochodem, widzianego też poprzez szczegół, gest, zachowanie. I wydobywającego najlepsze albo najbardziej ujmujące cechy portretowanego.

Kiedy myślę teraz o Agnieszce Osieckiej – nie znałem jej, ale uważam, że należy do trójcy wielkich polskich poetów piosenki, obok Jeremiego Przybory i Wojciecha Młynarskiego – natychmiast widzę opisaną w „Szczegółach..." scenę, w której Osiecka podczas przyjęcia krzyczy do gości zabawiających się w striptiz lalki w sukni ślubnej: „Sami się rozbierajcie! Pruderyjni jesteście! Zakłamani jesteście! Za manekinem się chowacie!". Widzę też Kalinę Jędrusik, która podczas rosyjskiej podróży wpada niemal w histerię, bo jej mąż, Stanisław Dygat, gdzieś się zgubił. Martwi się nie tym, że coś mogłoby mu grozić, tylko tym, że on będzie się martwił o nią... A potem jeszcze się okazuje, że oboje kupili identyczne malowane talerze i mają teraz komplet.

Pamiętam oczywiście sławny reportaż Hanny Krall o Annie Walentynowicz, drukowany dawno temu, bo w 1980 r. w „Tygodniku" – jednak i w tym przypadku portret bohaterki Sierpnia został istotnie wzbogacony, m.in. uroczym wątkiem fascynacji Anny W. amantem kina radzieckiego. „Sceny prywatne" z Barbarą S. – czyli poetką Barbarą Sadowską, matką Grzegorza Przemyka – zapierają dech ze wzruszenia. Jest jeszcze dziennikarka i przyjaciółka autorki Wiesława Grochola, jest wybitna, a niedoceniona pisarka (i opozycjonistka) Zyta Oryszyn, jest nadzwyczaj barwnie naszkicowana Wanda Falkowska, w której sprawozdaniach sądowych z „Przekroju" kiedyś się zaczytywałem.

Jest Adam Boniecki, poznany w krakowskim Hotelu Francuskim, gdy napisał w „Tygodniku" o „Zdążyć przed Panem Bogiem" („Wysoki, przystojny. Wie, na co Bóg może albo nie może się godzić, i nosi czarne sztruksowe wranglery. Oryginalne, żadna bazarowa podróbka"). No i pojawia się na chwilę Mieczysław F. Rakowski, wówczas naczelny „Polityki", który swoje podwładne, czyli Falkowską i Krall, prosi, by wybierając się na opozycyjną imprezę uprzedzały go wcześniej, bo nie chce się o tym dowiadywać od SB. Czasy są KOR-owskie, a spotkanie odbywało się w dawnym mieszkaniu Melchiora Wańkowicza, zajmowanym przez jego wnuczkę Annę z Erdmanów Walendowską, obywatelkę amerykańską; swoje wiersze czytał Wiktor Woroszylski.

„U Hanny Krall – zauważa Szczygieł – nikt nie jest lepszy ani gorszy. Ci, którzy przyjmują na siebie dobre bądź złe role, są traktowani tak samo. Powściągliwie, rzeczowo, ewentualnie ze współczuciem. Bo wie, że i dobro, i zło to pełnoprawne części ludzkiego losu". Co, dodałbym na wszelki wypadek, nie oznacza indyferentyzmu moralnego, stanowi raczej wskazówkę co do sposobu, w jaki pisać o świecie.

Szczegół prywatnie znaczący

Korespondując w sprawie tekstów dla „Tygodnika" ustaliliśmy z panią Hanną, że jestem ich idealnym odbiorcą, bo

każdy przywołuje bliskie mi osoby i sprawy. W kolejnym jednak liście autorytatywnie stwierdziła, że tym razem to się z pewnością nie powtórzy. Czytam więc: „Szukał Go i obcował z Nim na różne sposoby. Z żydowskimi chasydami, na medytacjach zen i na rekolekcjach u benedyktynów w Tyńcu". Hmm, mogłoby się to odnosić do co najmniej kilku moich znajomych. A potem te zdania: „Zamordowano go w nocy w centrum miasta. Znaleziono go bez butów. Zabójcy zabrali adidasy i torbę. Wyobrażam sobie ich rozczarowanie – w torbie były tylko wiersze".

Błysk olśnienia: wiem! Widzę przystojnego, jasnowłosego młodego człowieka, który przyjechał bodaj w 1987 r. do Krakowa i odwiedził redakcję miesięcznika „Znak", gdzie wtedy pracowałem. Nazywał się Krzysztof Masewicz, publikowaliśmy jego znakomite szkice i przekłady z Martina Bubera. Niedługo później przyszła wiadomość o jego śmierci.

A znajomość z nim nie była dla Hanny Krall bez znaczenia. Jak opowiada teraz w rozmowie z Michałem Nogasiem dla „Magazynu Książki": „Gdyby mi mój znajomy Krzysztof Masewicz nie dał »Opowieści chasydów« Martina Bubera, gdzie na końcu jest poczet cadyków polskich, to może bym się nigdy nie zaczęła interesować przedwojennym życiem w Przysusze, Warce, Górze Kalwarii czy Kocku? Bo znałam te miejscowości, tylko o życiu żydowskim nie miałam pojęcia. Pojechałam z Janem Jagielskim [jeszcze jedna postać z kart „Szczegołow..." – TF] do Warki i Przysuchy; od tego się zaczęło moje pisanie o Zagładzie. Nie od Edelmana, tylko od Masewicza".

Cóż zaś mam powiedzieć o innym przypadku? Tym razem tekst dotyczył Teofili Reich-Ranickiej, żony Marcela, sławnego niemieckiego krytyka literackiego, a wcześniej trochę i polskiego szpiega w Londynie. Oboje przeżyli warszawskie getto, Teofila malowała tam niezwykłe obrazki – postacie z oper i sceny gettowe. Przemycone na „aryjską stronę", ocalały. W 2000 r. w Niemczech wydano ich album – z tekstem Hanny Krall. Nigdy tej książki nie widziałem, do czego przyznałem się, nie kryjąc smutku. Odpowiedź była błyskawiczna i wprawiła mnie w radość trudną do opisania: „Przyślę Panu album Teofili. Proszę o adres".

Adres poszedł i na bodaj dobę zapadła cisza. A potem kolejny e-mail: „Zaadresowałam kopertę. Przepisałam adres (na który przedtem nie zwróciłam uwagi). Bolesława Prusa 11. To jest adres domu dziecka w Otwocku, w którym byłam od maja '45 do matury. Próbuję sobie przypomnieć numer pokoju"... Czyż nie jest to prawdziwy szczegół znaczący? Nagle drogi się przecinają, a historia świetnej pisarki staje się po trosze, symbolicznie moja. Nadal tylko nie wiem, co z tym numerem pokoju. Może osiem???

©℗ TOMASZ FIAŁKOWSKI

Hanna Krall
SZCZEGÓŁY ZNACZĄCE
Wstęp Mariusz Szczygieł. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2022

TYGODNIK POWSZECHNY

Słuchaj i rób, co chcesz!

W cyklu „Tygodnik" na ucho
co tydzień 5 wybranych tekstów z bieżącego wydania – do odsłuchania w dowolnym czasie, miejscu i na dowolnym nośniku.

Pobierz aplikację Audioteki z GooglePlay lub AppStore i słuchaj w dostępie dla Klubowiczów – dla nowych abonentów 14 dni gratis!

audioteka

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Szafa gra

ANITA PIOTROWSKA

Europa dawno nie wyglądała na ekranie tak żałośnie i staro. Upragniony las jest tylko fototapetą na drzwiach w domu opieki.

W pierwszej scenie najnowszego filmu Ulricha Seidla widzimy chór złożony z sędziwych pensjonariuszy. Usadzeni w rządku śpiewają rzewną pieśń. Jeden z nich, wyraźnie „odklejony", wymyka się ze swoim balkonikiem, poszukując ucieczki z owej sterylnej samotni. To jednak nie sklerotyczny bohater (ostatnia rola Hansa-Michaela Rehberga, którego pamięci film został dedykowany) uosabia w „Rimini" europejski uwiąd.

Staruszek reprezentuje świat dawno przebrzmiały. Wcieleniem dzisiejszej degrengolady ma być jego syn, niejaki Richie Bravo, sześćdziesięcioletni szansonista i przaśny Casanova, odwiedzający ojca w austriackim ośrodku dla seniorów z powodu pogrzebu matki. Niby nadal krzepki, ale i wyraźnie zmęczony życiem, pielęgnuje ślady dawnej świetności, mieszkając na co dzień w tytułowym włoskim kurorcie i chałturząc tam dla emerytów. Szczególnie dla austriackich turystek, którym sprzedaje także swe usługi seksualne. Dla niego zjeżdżają do opustoszałego po sezonie Rimini, aby raz jeszcze usłyszeć szlagiery z dawnych lat i znowu poczuć w żyłach gorącą krew. Tymczasem na plażach czy ulicach koczują w wichrze i chłodzie młodzi ciemnoskórzy imigranci. Od razu domyślamy się, że nie będą jedynie tłem dla tej opowieści – za jej ukryte przesłanie Seidlowi chętnie przybiłby piątkę Michel Houellebecq, a przy finale Władimir Putin i inni „zbawcy Europy" chętnie otworzyliby szampana.

Po prologu ze staruszkami ktoś powie, że wszystko przecież już było, np. w historii pracującej na Zachodzie ukraińskiej pielęgniarki geriatrycznej z „Import/Export" (2007). Podobnie *déjà vu* można odczuwać, gdy Richie odwiedza dom rodzinny i w piwnicy znajduje trofea z ojcowskich safari, w tym poroża i wypchane zwierzęta tudzież kolekcję broni i koszmarnych landszaftów. Brakuje jedynie nazistowskich symboli, ale i na nie przyjdzie czas. Patrząc zaś na łóżkowe wyczyny bohatera i wypchane koperty, musi przypomnieć się gorzki „Raj: miłość" (2012), traktujący o niemłodych europejskich turystkach seksualnych w Afryce. Tym razem staje przed nami zupełnie nowy stary Seidl. I paradoksalnie to właśnie postać Richiego Bravo, tlenionego żigolaka w kowbojkach i płaszczu z fok, beztroskiego faceta na wiecznym rauszu i debecie, ożywia tę wizję na wpół obumarłej Europy.

Zwłaszcza że pewnego dnia przed bohaterem zjawia się porzucona ongiś córka i w obstawie chłopaka o bardzo bliskowschodnim wyglądzie będzie domagać się od ojca finansowego zadośćuczynienia, jak i moralnej skruchy. W końcu stara Europa powinna zapłacić za swą brzydką przeszłość, w tym zniszczenie rodziny i życie na niekończącym się dancingu. Tylko jak nisko musi upaść ojciec marnotrawny, by wreszcie odbić się od dna? I czy można zaufać komuś, kto od lat tak bezwstydnie sprzedaje iluzję w łóżku i na estradzie? Te pytania wydają się chwilami zmarginalizowane, albowiem Seidl, współscenarzystka Veronika Franz i grający główną rolę wyborny Michael Thomas idą przez tę opowieść wyluzowanym, niemal tanecznym krokiem. Oto wieczny chłopiec, który podtrzymuje swój młodzieńczy wizerunek i wzmożoną aktywność. Rozpaczliwie nie chce porosnąć mchem i stoczyć się w samotną, wyjałowioną starość. A twórcy w równym stopniu bywają wobec niego ironiczni i empatyczni.

Zresztą „Rimini" to poniekąd musical. Richie jest w nim niczym rozmigotana, acz mocno zakurzona szafa grająca, która po wrzuceniu monety musi wykonać od początku do końca swoje „Amore mio", powodując przyspieszenie pulsu u fanek i samozachwyt u wykonawcy. Jemu zawsze, niezależnie od okoliczności, „szafa gra", bo taki ma pomysł na siebie i estradowa persona na dobre wrosła mu w twarz. Lecz Seidl nie byłby sobą, gdyby poprzestał na sympatycznej karykaturze. Sceny łóżkowe z udziałem Richiego i jego starszych klientek są mocno obsceniczne, zwłaszcza ta, w której tuż obok przebywa półżywa i prawie głucha matka seniorki. Można się zastanawiać, co napawa reżysera większym obrzydzeniem: podlane alkoholem wyuzdanie dojrzałej kobiety, cynizm usługodawcy, fizyczna niedoskonałość obojga czy ten oddech śmierci za ścianą. Jednakże puenta owej sceny nieoczekiwanie zmywa z niej cały turpizm i okrucieństwo zamienia się we współczucie.

MATERIAŁY PRASOWE AURORA FILMS

RIMINI – *reż. Ulrich Seidl. Prod. Austria/ /Niemcy/Francja 2022. Dystryb. Aurora Film. W kinach od 11 listopada*

Kino Ulricha Seidla to zjadliwa krytyka cywilizacji zachodnioeuropejskiej. Jej największe wynaturzenia – konsumpcjonizm, pozorność więzi, brak rozliczenia z historią – dostrzega reżyser szczególnie w rodzimej Austrii, patrz: „Upały", „Import/Export", trylogia „Raj" czy dokumenty „W piwnicy" i „Safari".

Trzeba przyznać, że Seidl umie obchodzić się po ludzku z paskudnymi ludźmi. Dyskretnie głaska po głowie starca, któremu w meandrach demencji przypomniały się nagle słowa hitlerowskich piosenek, i jego syna, który w genach otrzymał ksenofobiczne uprzedzenia. Skądinąd w dzisiejszym Rimini łatwo pielęgnować stereotypy. To tutaj w 2017 r. trzech nastolatków pochodzących z Afryki zgwałciło na plaży polską turystkę, jej męża zaś brutalnie pobiło. Jakby w odpowiedzi na takie incydenty Richie pozwala sobie na rasistowskie żarty i uwagi, zarówno wobec swojej czarnoskórej sprzątaczki, jak i wobec brodatego chłopaka córki. W obiektywie Wolfganga Thalera miasto urodzin Felliniego, uwiecznione w słynnym „Amarcordzie", zamienia się w ponury wygwizdów z betonu i plastiku, pełen kiepskich hoteli, barów z fliperami.

Czasami takie oswajanie potworów bywa ryzykowne. Na polską premierę ciągle czeka „Sparta", której bohaterem stał się brat Richiego, pojawiający się również w „Rimini". W drugiej części dylogii Georg Friedrich gra nieaktywnego przestępcę-pedofila, trenującego w Rumunii małych judoków. Na początku września śledztwo tygodnika „Der Spiegel" wykazało, iż na planie miało dochodzić do nadużyć, m.in. wobec dzieci i ich opiekunów, którzy nie mieli świadomości, o czym tak naprawdę jest film. Seidl zdołał się z tych zarzutów wybronić, lecz fetor pozostał. Należy bowiem do twórców, którzy dla wybrzmienia swej ostrej diagnozy muszą jechać po bandzie, czy to w doborze tematów (seksualność, religijność), czy w sposobie opowiadania (chłodny ton, bezlitosny humor, zacieranie granic między dokumentem a fikcją). Dobrze, że w tragikomedii o podstarzałym showmanie z adriatyckiego letniska wreszcie zaczął poszukiwać nowych, cieplejszych tonów, choć nie jest to z pewnością rozśpiewana pochwała Europy, wiecznej zabawy ani jurnej męskości. ©

Lektor:
Czekając na przesilenie

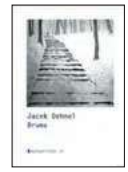

▪ *Jacek Dehnel*
BRUMA
Wydawnictwo a5, Kraków 2022, ss. 54. Biblioteka Poetycka pod red. Ryszarda Krynickiego. Tom 119.

Przeglądając zdjęcia w internecie, znalazłem grób Jezusa. Jezus – Issa Jerjos – był Syryjczykiem, chrześcijaninem, miał 24 lata. Szukał miejsca w lepszym świecie, prawdopodobnie dwukrotnie przedarł się przez granicę z Białorusią (bo raz wypchnięto go z powrotem), zmarł na polu koło wsi Klimówka. Pochowano go na cmentarzu prawosławnym w Sakach na Podlasiu.

Zmarł 13 października zeszłego roku. Pod wierszem, który otwiera nową książkę Jacka Dehnela, figuruje data 20-21 września 2021 – więc Jezus-Issa jeszcze żył. Ten długi wiersz, opatrzony długim tytułem „Odpowiadając pani która na spotkaniu autorskim zadała pytanie jak wygląda praca poety", to manifest i protest, w którym punktem wyjścia – trochę jak kiedyś u poetów Nowej Fali – jest uważne przyglądanie się językowi; chodzi oczywiście o opis wydarzeń na granicy polsko-białoruskiej. „Linia kontrolna", „ciało kobiety o niesłowiańskim wyglądzie", „przeciąganie zwłok z Polski na Białoruś", tak, wiem, że tzw. *pushback* nie jest naszym wynalazkiem, pamiętam o zbrodniach i okrucieństwach towarzyszących agresji Rosji na Ukrainę, o Buczy i Mariupolu. Jacek Dehnel też pamięta, starczy przeczytać wiersz „*Tenebrae Responsoria*", albo „Dwa razy to samo", ten sam temat ujęty w dwie wersje, z których druga – „Bajka rosyjska" – nawiązuje do jednej z próz poetyckich Herberta. No a teraz na granicy mamy mur, „już drutu kolczastego kulają się bele", więc zapanował porządek. Choć nadal nic nie jest w porządku.

To dziwna książka – mroczna, nawet elegijna w tonacji (zawiera zresztą jedną elegię w sensie ścisłym), czasem bliska publicystyce, a przy tym żonglująca formami, rytmem i rymem, muzyczna. Jak w mojej ulubionej „Kolacji", gdzie narastająca groza prowadzi do nieuchronnego finału: „Kilometry obrusów kelnerzy natchnieni / Pucują srebra zaraz będziemy jedzeni".

A nadzieja? Tajemniczy tytuł książki oznacza, jak się dowiadujemy od autora, przesilenie zimowe (Linde tego słowa nie zna). Wiersz tytułowy książkę zamyka. Schodzimy w nim po ośnieżonych i oblodzonych schodach, takich jak na zimowym pejzażu z okładki – który nie jest reprodukcją fotografii, tylko obrazu namalowanego przez Dehnela. Gdzieś tam kryje się światło, w końcu się uwolni. Na razie trzeba zbierać siły. ©℗

ĆWICZ UMYSŁ + CIESZ OKO!

DOWOLNE 3 WYDANIA

+

= **PAKIET CZTERECH ZA 77 ZŁ**

„Wiślna 12” – zeszyt o historii „Tygodnika” GRATIS do zakupów. Zamów pakiet złożony z wydania „Ciało się udało” i trzech wybranych przez siebie wydań specjalnych (w cenie za pakiet 77 złotych), a my dorzucimy „Wiślną 12” i opłacimy przesyłkę. Czekamy na Twojego maila pod adresem: zamowienia@tygodnikpowszechny.pl – my zajmiemy się resztą.

W promocji można zamówić następujące wydania specjalne: „Wiara dla dorosłych”, „Moc mózgu”, „Smak wolności”, „Halo tu Ziemia”, „W drogę”, „Wszystko, co wiemy”, „Kanon 1”, „Kanon 2”, „Rozmowy na temat”. Oferta ważna do wyczerpania nakładów.

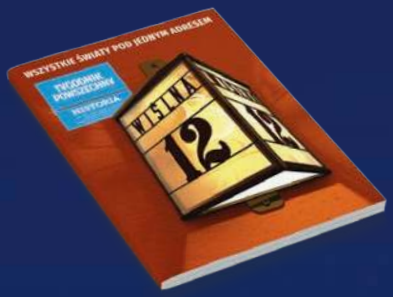

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

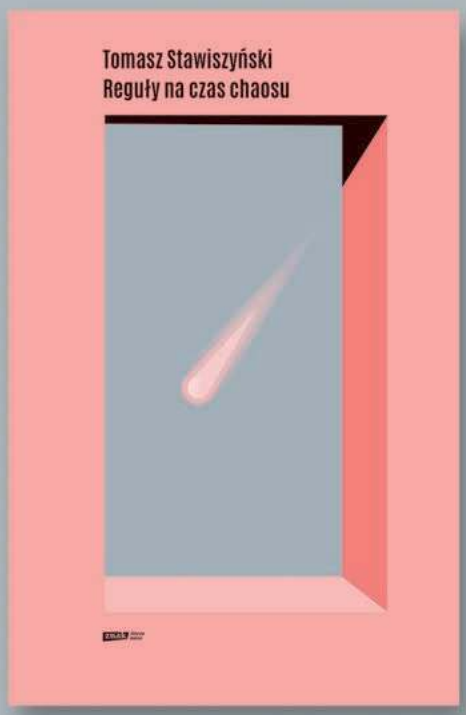

Rabat 40% dla czytelników „Tygodnika Powszechnego”
Kod: **stawiszynski**
Ważny do 10.11.2022 tylko na znak.com.pl

KSIĄŻKA, KTÓRA NIESIE POCIESZENIE W TRUDNYCH CZASACH

- Gdzie szukać sensu, gdy zewsząd zalewają nas złe wiadomości?
- Jak odnaleźć równowagę w niestabilnym świecie?
- Komu i czemu ufać, gdy w najlepsze trwa ogólnoświatowa wojna informacyjna, nadciąga kryzys ekonomiczny, a nasza planeta płonie?

KRÓTKI PRZEWODNIK DLA TYCH, KTÓRZY CZUJĄ LĘK I NIEPEWNOŚĆ

znak litera nova

„TP" 43/2022

Kto słucha premiera

Agata Kaźmierska i Michał Gikowski, autorzy interesującego tekstu „Putin w Polsce", dziwią się, że wpis premiera, który zarzucił Donaldowi Tuskowi „zbrodnię" polegającą na prowadzeniu „prorosyjskiej i proniemieckiej polityki", u nas przeszedł bez echa. Ten brak reakcji wydaje się czytelnym wskaźnikiem uwagi i znaczenia, jaką opinia publiczna przywiązuje do wypowiedzi premiera. ADAM

Katolicki, a dobry

Od tego roku zaczęłam czytać „TP" – jako pierwszy kupiłam noworoczny numer, gdyż podpowiadały mi go reklamy na Facebooku. Byłam zachwycona i zaskoczona, jak świetne artykuły mogą pojawiać się w piśmie katolickim. Bardzo imponuje mi wasza dojrzałość, empatia i rzetelność. I czytam was do dziś, czasem w wersji papierowej, a od dłuższego czasu online.

JUSTYNA

Stop poniżaniu osób transpłciowych!

My, psychoterapeuci rodzinni, indywidualni i grupowi, wyrażamy stanowczy sprzeciw wobec trwającej od kilku miesięcy kampanii poniżania i ośmieszania osób transpłciowych. Jesteśmy świadkami próby dehumanizacji i dyskredytacji tych osób przez osoby publiczne, wypowiadające się w mediach i na spotkaniach z obywatelami. Historia uczy, że dalsza eskalacja tego typu działań prowadzić może do aktów fizycznej agresji czy wręcz prób fizycznej eliminacji naznaczanej w taki sposób grupy. Stanowisko wyrażone w Deklaracji Praw Seksualnych Światowego Towarzystwa Zdrowia Seksualnego podkreśla, że prawa seksualne są prawami człowieka, a ich przestrzeganie jest warunkiem koniecznym do osiągnięcia i utrzymania zdrowia psychicznego i seksualnego. Zróżnicowanie ludzkiej seksualności i płciowości w zakresie tożsamości płciowej czy orientacji seksualnej uznane zostało przez wiodące naukowe towarzystwa międzynarodowe i krajowe za fakt niemający charakteru patologii. Dane naukowe potwierdzają, że przemoc i społeczne wykluczenie negatywnie wpływają na zdrowie fizyczne i psychiczne osób transpłciowych, a w skrajnych przypadkach doprowadzają do samobójstwa. Osobami szczególnie podatnymi na doświadczanie stresu mniejszościowego są osoby transpłciowe, które niejednokrotnie potrzebują dodatkowego wsparcia w związku z odczuwaniem dysforii płciowej, a negowanie ich odczuwanej tożsamości prowadzi do znacznego cierpienia. Wzywamy przedstawicieli partii wszystkich opcji, dziennikarzy i inne osoby publiczne do zaniechania stosowania języka nienawiści, szczególnie wobec osób nieposiadających wystarczających zasobów do bronienia swoich praw.

Zarząd Sekcji Naukowej Terapii Rodzin Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, Zarząd Sekcji Naukowej Psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychiatrycznego, Zarząd Sekcji Psychoterapii Polskiego Towarzystwa Psychologicznego

REKLAMA

OLGA

Drenda:
Złota dysproporcja

Co roku w okolicach 1 listopada w internecie pojawiają się ciekawostki, narzekania i (zwykle średnio udane) żarty o tematyce okolicznościowej. Tak było i tym razem – kilkakrotnie w strumieniu wiadomości mignęło mi zdjęcie nagrobka czekającego na lokatora o nazwisku przypadkiem zbieżnym z danymi znanego polityka. Humor niskich lotów, choć nagrobek chyba prawdziwy; ale nie nazwisko było w nim najważniejsze. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to fakt, że napis nie był wycentrowany. Względem szeregu symetrycznych kolumn (bo był to nagrobek w stylu klasycyzującym) wyglądało to po prostu jak spartolona robota, tym bardziej że przy tak dużym wydatku, no i jednak wstyd na wieczność. Aż smutno.

Gdy pracowałam kilka lat temu nad książką „Wyroby", poświęconą nieoczywistym przejawom ludzkiej pomysłowości, prof. Antoni Kroh podsunął mi pomysł na rozdział o kreatywności w branży pogrzebowej (koniec końców, nie podjęłam się tego). Jest to bowiem dziedzina podatna na mody w projektowaniu jak każda inna, a był to czas, gdy zdarzały się jeszcze często nagrobki ekstrawaganckie, wręcz rokokowe, przytłaczające skalą. Było to poniekąd zgodne z generalnym duchem epoki: ówczesne wnętrza i meble miały prezentować się obficie i połyskliwie, na potrzeby tak użytkowników żywych, jak i zmarłych. Dziś kamieniarze zgadzają się (wystarczy zajrzeć do literatury branżowej), że to już przeszłość i od kilku lat królują klasyczne, bardziej powściągliwe formy, a ulubiony kolor naszej dekady, szarość, znamionuje elegancję również na cmentarzach.

Tak mówią fachowcy. Podejrzewam, że gadżetowo-pałacowy styl mógł być skutkiem ubocznym zachłyśnięcia się nowymi technologiami w kamieniarstwie. Granit to trudna materia, ale nowoczesne plotery i piaskarki mogą uczynić z nim niemal wszystko – i stąd wziął się etap multimedialnych wodotrysków 3D, bo skoro technologia na coś pozwala, to grzech nie wykorzystać wszystkich możliwości naraz. Pewne opcje, te umiarkowane, utrwaliły się na dobre: realistyczne portrety wykonywane w technice piaskowania zamiast małych zdjęć na porcelanie, piaskowane motywy aniołów lub krzyży czy upodobanie do szeryfowych krojów pisma, zwłaszcza Brooklyn Bold, Monotype Corsiva, Amaze.

Litery na wolności – na szyldzie, wizytówce, a nawet nagrobku.

OLGA DRENDA

Nowoczesność, co zaskakuje, niekoniecznie jednak idzie w parze z precyzją, choć przecież komputeryzacja miała ją gwarantować. Na szczęście rzadko zdarza się taki popis braku wyczucia proporcji, jak na nieszczęsnym memie, ale uderza mnie, jak często inskrypcje są dziwnie małe w stosunku do powierzchni tablicy albo jak często pojawiają się rozsypane litery z nierównymi odstępami. Zastanawiałam się, czy nie czepiam się nadmiernie, ale gdy znalazłam potwierdzenie swoich wątpliwości w fachowym „Świecie Kamienia", z serca spadł mi, *nomen omen*, kamień.

Nagrobki z XX wieku, które pamiętam z bardziej niewinnych czasów, kiedy nie musiałam jeszcze nikogo żegnać, były dość podobne. Powszechne były kute, reliefowe, kanciaste litery, przypominające pismo techniczne. Solenne, surowe i jednostajne, ale z pewnością równe i proporcjonalnie wypełniające dostępne miejsce. A przecież precyzyjne oprogramowanie i maszynowe wykonanie powinno sprawiać, że wszystko wychodzi doskonale. Lecz tak nie jest.

Może, jak mawiają programiści, *it's not a bug, it's a feature*, czyli – to nie błąd, tak ma być. Nierówne inskrypcje nagrobne to tylko jeden z przejawów zjawiska, które zauważam wszędzie. I nie chodzi o urodę, bo ta jest względna, lecz o czytelność. Szyldy i banery, na których napisy czy ilustracje wydają się dziwnie malutkie w stosunku do całego obszaru albo, dla odmiany, zapychają przestrzeń tak, że trudno się rozczytać. Nieprzyjazne dla oka kolory, błędy czy literówki (choć do dzisiaj zastanawiam się, czy „NAJLEPRZY sklep z odzieżą używaną" to beztroska, czy sprytny trolling). Można by założyć, że ktoś dla oszczędności zlecił projekt początkującym studentom, ale to zjawisko jest zbyt częste, by tak je zbywać. Jego częstotliwość sprawia, że staje się neutralne, nikt nie poprawia błędów, nikogo nie dyskwalifikują w biznesie. Tak jakby harmonijna kompozycja czy poprawność przestały mieć znaczenie, a dysonans stał się mniej ważny od innych jakości. Szybkości publikacji? Wszechobecności? A może podobieństwa do innych, zgodnie z regułą inżyniera Mamonia? To ciekawe, bo znaczyłoby, że niekontrowersyjne i dość powszechnie uznawane zasady dobrego projektowania same się zdezaktualizowały.

Wywodząca się jeszcze ze starożytności „wielka teoria piękna" zakłada, że piękno to proporcjonalność, a według badań nad mechanizmami percepcji ludzki umysł pozytywnie reaguje na to, co symetryczne i harmonijne. Tymczasem nagminna beztroska w projektowaniu sprawia, że przyzwyczajamy się do kompozycji z przypadku, a nasza percepcja mutuje. Nie trzeba do tego programowej artystycznej rewolucji czy, jak woleliby niektórzy, spisku przeciwko podstawom cywilizacji. Złoty środek przesuwa się sam w zupełnie losowe miejsce. ©

PAWEŁ

Bravo:
Barman słucha prezesa

Dwudziestu lat jeszcze moja miłość do wina nie liczy, ale zbliżam się roztańczonym krokiem bachanta do tej granicy, za którą, wedle słów naszego wielkiego znawcy wszelkich ludzkich słabości, czeka mnie alkoholizm. O ile lata te wypełniło mi picie, które w pogadance dla mazurskiego elektoratu pan prezes określił jako nadmierne. Sam bym na pewno tego tak nie nazwał, może poza paroma godnymi pożałowania przypadkami, za które przepraszam swój system nerwowy oraz bliźnich zmuszonych mnie oglądać w brzydkim stanie.

Jak można bowiem mówić o nadmiarze w przypadku dobrego wina, pitego w godnych warunkach, z ciekawością (jeśli nowe dla nas) lub radością z ponownego spotkania znajomego? Nie da się, podobnie jak nie sposób tabelarycznie ustalić, od ilu uścisków czy pocałunków spotkanie z miłą sercu osobą przechodzi z fazy pełni szczęścia w fazę „nadmiaru". Uważne i ufne słuchanie własnego organizmu pozwala wyczuć stosowną miarę, granicę przyjemności, za którą dalej czai się już tylko bezrozumne zamroczenie.

Doprawdy, któż rozsądny chciałby się do tego regularnie zniżać. Nie wątpię, że takie osoby są i należy się im osobna uwaga, troska i terapia, ale gdy patrzę na świat z mojego obserwatorium, jakim jest winny bar, wydaje mi się, że rozdmuchujemy problem, skłonni przy każdym zagrożeniu popadać w przesadę, karmić nasz wrodzony głód paniki i obaw.

Kroczą więc przed moim kontuarem codzienne procesje ludzi, zwyczajnych raczej, choć każdy i każda z osobna wysyła ze swojej czarnej skrzynki impuls niepowtarzalności. Barman nie jest pisarzem ludzkich losów, lecz tylko żywą maszyną do nalewania, nie skupia się nad nikim dłużej, niż wymaga tego zajęcie się potrzebą klienta. Coś jednak kątem oka rejestruje. Nie widzi w nadmiarze ludzi jednoznacznie pijanych, zamazanych w istotny sposób przez niepożądane działanie alkoholu. Wino częściej wyostrza, podkreśla, dodaje cienia, niż rozmazuje. Widzi więc za to stres, strach, zmartwienie, żal, apatię i acedię – znacznie częściej niż radość czy żywotność. Jeśli coś się kładzie ciężarem na moich barkach, gdy spojrzę zza baru, to nie widok ludzi pijanych, tylko gdzieś w głębi smutnych i zgnębionych.

Smutne i zgnębione. Zmęczone i zgaszone. Bo tak to już jest (do czasu, mam nadzieję) w polskim obyczaju, że „na winko" wpadają częściej kobiety. Obelżywie przez prezesa potraktowane sugestią, jakoby im wystarczało dziesięć razy mniej „nadmiaru" w piciu, by popadły w uzależnienie i stały się bezużyteczne jako niedoszłe matki nowych Polaków.

Jest w tym zestawieniu niebywałe zgęszczenie nabrzmiałej stereotypem głupoty. Kobiety, po pierwsze, mają przeważnie bogatsze i wieloaspektowe doznania węchowe i smakowe, czy to z „natury", czy to przez socjalizację. Przypuszczam, że przez to drugie, to znaczy potrafią znacznie plastyczniej przetwarzać i komunikować werbalnie bodźce z aparatu zmysłowego, a więc są często ciekawszymi towarzyszkami do wina niż ich koledzy i partnerzy. Po drugie – i tu na pewno socjalizacja wchodzi na scenę, dyscyplinowanie dziewczynek, którym mniej wolno się pobrudzić na podwórku – są przeważnie bardziej świadome swojego stanu i odczuć, więc skuteczniej panują nad biesiadą, niezależnie, czy usiadły, żeby beztrosko gadać, czy żeby odreagować ciężki dzień w robocie. A nawet jeśli przez chwilę nie panują, to jest to mniej destrukcyjne, jakoś ogarnięte nawet przy braku kontroli. Na pewno nie pasuje do nich „dawanie w szyję", wspomniane w niedawnej pogadance demograficznej: ów rzekomo dobrze wychowany polityk rzadko sięga po kolokwializmy, więc ten szczególnie zapadł w pamięć, w sposób całkowicie niesprawiedliwy.

Jedenasty listopada: co roku z uporem godnym lepszej sprawy niektórzy będą znów podnosić sprawę asertywnego, inkluzywnego patriotyzmu. Na pewno warto coś takiego praktykować nie od święta, przez trzysta ileś dni w roku, a ten konkretny jedenasty jednak odpuścić tym, co wolą marsze z pochodniami. Nasza „lepsza sprawa", której poświęcam swój upór, to zamiana Święta Niepodległości na Dzień Świętego Marcina: dobrze zakorzeniony w wielu kulturach wiejskich pogodny, choć już w cieniu zimy obchodzony moment podsumowania sezonu w obejściu i na polu. A także, co u nas względnie nowe, w winnicy. Moszcz z gron zebranych późnym latem zamienił się w świętomarcińskie wino, niekoniecznie warte szczególnych zachwytów, ale gdy na stół trafi upieczona gąska (bo to jest też wielki moment tego ptaka), to smakuje zasłużoną nagrodą za to, że przeżyliśmy już prawie cały kolejny rok. I żadne mamrotanie imieninowego wuja nie ma prawa nam tego zepsuć. ©℗

Pieczeniem gęsi nie będziemy się tu zajmować – jest to czynność jednocześnie szalenie prosta i podatna na nieskończone niuanse, na które nie mamy tu miejsca. Do gęsi u nas (ale także w Niemczech, gdzie większość ptaków na św. Marcina sprowadzają z Polski) bierze się często czerwoną kapustę, której duszenie nie stanowi żadnego problemu. Chociaż można by ją potraktować inaczej. Jako sałatkę – to dość oczywiste. Siekamy ją cieniutko, mieszamy z jabłkiem pokrojonym w kosteczkę i pomarańczą oskubaną z wewnętrznej błonki i pokrojoną na kostkę, solimy i macerujemy godzinę w soku pomarańczowym z oliwą, na wydaniu dodajemy pestki słonecznika.
Ale myśleliście, żeby ją zrobić jako krem? Szklimy na oliwie 1 cebulę, dodajemy pół główki poszatkowanej kapusty, dusimy 2 minuty, zalewamy 300 ml wody, solimy, zagotowujemy i gotujemy 20-25 minut. Miksujemy, przyprawiamy (pieprz, skórka cytrynowa, szczypta kolendry), podajemy z ugotowanym osobno pęczakiem.

GRAŻYNA MAKARA

ŁAMANIE SKRZYDEŁ

Felix Baumgartner podczas przygotowań do misji Red Bull Stratos

Mityczny Ikar nieprzypadkowo spada do morza jedynie na oczach ojca.
W porażce zawsze jesteśmy sami.
O ile sponsorzy nie zadecydują, że ma być inaczej.

MAREK RABIJ

Stoper pokazał dokładnie trzynaście minut i dwie sekundy, kiedy stopy Feliksa Baumgartnera dotknęły ponownie ziemi. Misja Red Bull Stratos, której celem było pierwsze przekroczenie bariery dźwięku w trakcie swobodnego opadania ze spadochronem, dobiegła szczęśliwego końca. Realizator na kilka sekund pokazał zbliżenie twarzy partnerki śmiałka, która w centrum dowodzenia misją w Roswell dyskretnie ocierała łzy, po czym wrócił z transmisją na pustynię. Wyczerpany Baumgartner klęczał teraz na prerii, a nad jego głową, niczym sępy, krążyły dwa śmigłowce. W końcu u boku skoczka pojawił się pierwszy członek ekipy wspierającej. Fotograf. Lekarz musiał poczekać z pierwszą obdukcją do zakończenia sesji zdjęciowej.

14 października br. minęło dziesięć lat od tamtego skoku Baumgartnera. Tydzień później, 22 października, w swoim domu pod Salzburgiem walkę z rakiem przegrał 78-letni Dietrich Mateschitz, twórca marki Red Bull. Człowiek, który przeniósł sporty ekstremalne w inny wymiar.

Czyj ten rekord?

Gdy 14 października 2012 r. 43-letni Felix Baumgartner wsiadał do tytanowej kapsuły podczepionej do balonu wypełnionego helem, która miała wynieść go na wysokość 39 km, jego punktem odniesienia był wyczyn byłego pilota myśliwskiego Joego Kittingera, który latem 1960 r. skoczył ze spadochronem z wysokości 31,3 km. Tamta próba stanowiła część wojskowego programu badawczego Excelsior, w ramach którego amerykańskie lotnictwo sprawdzało szanse przeżycia załóg zmuszonych do katapultowania się na bardzo dużych wysokościach.

Organizacja misji Stratos kosztowała Red Bulla ok. 30 mln dolarów i choć przedstawiano ją jako przedsięwzięcie z pogranicza sportów ekstremalnych i nauki, w rzeczywistości była misterną akcją marketingową o globalnym zasięgu. W samym serwisie YouTube skok Baumgartnera śledziło na żywo ponad 8 mln widzów. Równoległe transmisje w 77 stacjach telewizyjnych zgromadziły przed ekranami blisko miliard osób. Gdyby firma chciała wówczas zafundować sobie równie szumną kampanię reklamową, jaką zapewnił jej przekaz z Roswell, musiałaby – jak szacowała firma Pentagon Research – zapłacić ponad jedenaście razy więcej.

Można więc założyć, że wysłanie Feliksa Baumgartnera w górne warstwy atmosfery było jedną z najbardziej opłacalnych kampanii reklamowych w dziejach Red Bulla. A jeśli – tak wynika z nieoficjalnych informacji – za prawa do transmisji stacje musiały słono zapłacić, to organizatorowi misji Stratos udała się rzecz bez precedensu w dziejach marketingu: zarobił na emisji własnych reklam. Na tym tle blednie już nawet osiągnięcie Baumgartnera, który po sukcesie misji Stratos mógł nazwać siebie „pierwszym człowiekiem, który przekroczył barierę dźwięku poza kabiną samolotu".

„Dostarczyć ludzi produktowi"

Cofnijmy się do roku 1982. W barze hotelu Mandarin w Hongkongu siedzi Dietrich Mateschitz, 42-letni Austriak pochodzenia chorwackiego, z dyplomem ekonomii i sporym doświadczeniem w sprzedaży. Niedawno awansował na dyrektora marketingu w produkującej pastę do zębów firmie Blendax i chce załatwić chlebodawcy jeszcze jeden lukratywny kontrakt w Azji. Na razie jednak kleją mu się oczy po wielogodzinnym locie i kolejną kawą próbuje zwalczyć *jet lag*. Barman nieoczekiwanie proponuje kurację napojem o nazwie Krating Daeng, produkowanym w Tajlandii i bardzo popularnym w całej południowej Azji.

Mikstura błyskawicznie stawia Mateschitza na nogi. W przebłysku marketingowego geniuszu Austriak dochodzi do wniosku, że coś takiego idealnie pasuje do szybkiego zachodniego stylu życia. Krating Daeng to po tajsku „czerwony bawół", ale Austriak jest zodiakalnym Bykiem. Tak rodzi się marka Red Bull.

Tyle korporacyjna legenda, od lat bezmyślnie powtarzana przez media. W rzeczywistości, jak przyznał w jednym z wywiadów sam Mateschitz, na pomysł wprowadzenia napoju do Europy wpadł po przeczytaniu w gazecie, że „energetyki" podbijają Azję. Przypadek sprawił, że ówczesny pracodawca Mateschitza współpracował w Tajlandii z Chaleo Yoovidhyą, który od lat 70. wytwarzał własny napój energetyczny – właśnie Krating Daeng.

Receptura miała być rzekomo autorskim pomysłem tajlandzkiego biznesmena, ale to oczywiście jeszcze jedna bajeczka na potrzeby medialnych przekazów dnia. W rzeczywistości pierwsze napoje z kofeiną zaczęto produkować jeszcze przed I wojną światową, a w 1945 r. notatniki chemików pęczniały wręcz od receptur na różnej maści preparaty pobudzające, produkowane masowo dla wojska – zwłaszcza dla lotnictwa.

Chaleo Yoovidhya urodził się zresztą w rodzinie, która od pokoleń żyła z uprawy ryżu, odebrał pobieżne wykształcenie i o chemii nie mógł mieć zielonego pojęcia. Miał za to żyłkę handlowca, która podpowiadała mu, że miliony tajskich kierowców ciężarówek i robotników drugiej zmiany chętnie zapłacą kilka groszy za coś, co szybko postawi ich na nogi, a przy okazji nieco zaspokoi pragnienie. Gdzie szukać takiej klienteli? Najlepiej podczas gal bardzo popularnego w kraju boksu tajskiego. Dietrich Mateschitz dostał więc od Chaleo Yoovidhyi nie tylko gotowy produkt, lecz także zarys strategii marketingowej.

W 1984 r. w rejestrze austriackich spółek pojawiła się firma Red Bull, w której Mateschitz i jego azjatycki wspólnik objęli po połowie udziałów. Austriak miał przekonać Yoovidhyę, że w Europie napój powinien być gazowany, nazwę lepiej zmienić na Red Bull, a logo firmy uprościć, bo austriaccy klienci nie polubią orientalnej stylistyki. Sporo czasu zajęło też zdobycie niezbędnych atestów, bo ich produkt zawierał substancje, których wcześniej w Austrii nikt nie używał w branży spożywczej. Jeden z przyjaciół podsunął hasło reklamowe o dodawaniu skrzydeł. W 1987 r., gdy spółka była wreszcie gotowa do rozpoczęcia produkcji, Mateschitz zamówił badania rynkowe, które miały podpowiedzieć, jak promować nowość.

„Nie podobał się smak, logo, nawet nazwa, nic – wspominał w 2005 r. w rozmowie z magazynem „Forbes". – Nigdy wcześniej nie doświadczyłem większej porażki". Pozostało zwinąć interes albo zlekceważyć badania i zaryzykować. Mateschitz wybrał drugie wyjście.

W supermarketach nikt nie chciał kupować Red Bulla, jego twórcy postanowili więc szukać klientów po barach, ↦

GETTY IMAGES

↦ klubach studenckich i wszędzie tam, gdzie wybicie północy nie jest sygnałem do snu. Już w pierwszym roku sprzedaż przekroczyła milion puszek, w kolejnym – po wejściu produktu do Niemiec i na Węgry – błyskawicznie wzrosła powyżej 2 mln. W 2000 r. na całym świecie przekroczyła 1,5 mld puszek (obecnie dobija już do 10 mld). Mateschitz zrozumiał, że klasyczne prawa podaży i popytu w branży spożywczej nie stanowią odpowiednika prawa powszechnego ciążenia. Można je oszukać. „Nie dostarczamy produktu ludziom, dostarczamy ludzi produktowi" – tak sformułował to w 2002 r. w rozmowie z tygodnikiem „The Economist".

W tym zdaniu streszcza się cała filozofia firmy. Red Bull to jedna z pierwszych marek, która miast zanudzać klientów opowieściami o funkcjonalności swojego produktu, zaoferowała im wciągającą narrację o stylu życia, dostępnym rzekomo na wyciągnięcie ręki. W tym świecie nie ma rzeczy niemożliwych, a doba nie kończy się po 24 godzinach. Wystarczy sięgnąć po kolejną puszkę austriackiego „energetyka".

Najwięksi producenci napojów zazwyczaj nie wydają na marketing więcej niż 10-15 procent przychodów ze sprzedaży. Budżet Red Bulla na promocję marki sięga tymczasem nawet 30 proc. przychodów, a w dodatku firma wydaje te pieniądze inaczej niż Coca-Cola czy Pepsi. Tamte firmy uwielbiają wielkie kontrakty reklamowe ze znanymi twarzami.

Austriacy dzielą budżet na dwie części. Pierwsza idzie na finansowanie dużego zinstytucjonalizowanego sportu, jak zespoły piłkarskie, skoki narciarskie, a przede wszystkim Formuła 1, w której zespół Red Bulla od lat bryluje w czołówce. Reszta idzie na wspieranie mniejszymi sumami tysięcy ambitnych przedsięwzięć spod znaku sportów ekstremalnych. Dzięki temu logo Red Bulla w tym samym czasie może pojawić się na grand prix F1 w Monako, pod Wawelem podczas zawodów w skokach do wody na byle czym i na spadochronie base jumpera Jeba Corlissa przelatującego na oczach tysięcy widzów pod słynnym skalnym łukiem Tianmen w Chinach. Działając od blisko dwudziestu lat wedle tej sprawdzonej metody, firma wypracowała sobie opinię hojnego sponsora sportu, który pomaga też rozkwitnąć wielu talentom, umiejętnie wkładając je pomiędzy puzzle własnej biznesowej układanki.

Symbioza? Czasem tak. Ale także coś, czemu bliżej do hodowli sportowych czempionów dla wykarmienia wiecznie nienażartego monstrum, jakim stała się marka Red Bull.

W pętli presji

Austriacki koncern jest bowiem także wzorcowym przykładem korporacji epoki późnego turbokapitalizmu, w której jedyną miarą sukcesu jest tempo wzrostu wartości firmy. Gdy zaś cała sprzedaż jest zawieszona na wizerunku marki, także on musi być nieustannie wzmacniany. W efekcie zawodnicy Red Bulla poddani są nieustannej presji na przesuwanie granic tego, co niewykonalne. Nierzadko ze zgubnym dla siebie skutkiem.

> Dla każdego zawodnika szybko staje się jasne, że jeśli przestanie być „wystarczająco ekstremalny" dla sponsora, jego miejsce **– i pieniądze – szybko przejmie ktoś bardziej zmotywowany**

Presja nie ma oczywiście formalnego charakteru, ale dla każdego, kto przekracza próg tego środowiska, szybko staje się jasne, że jeśli przestanie być „wystarczająco ekstremalny" dla sponsora, jego miejsce – i pieniądze – szybko przejmie ktoś bardziej zmotywowany. Ryzyko ponoszone przez ludzi reklamujących Red Bulla w korporacyjnej kalkulacji staje się więc czynnikiem traktowanym *de facto* tak samo jak wyniki sprzedaży. Musi ciągle rosnąć.

W 2013 r. dziennikarz Helmar Büchel przyjrzał się bliżej okolicznościom sześciu wypadków śmiertelnych, jakie miały miejsce podczas wyczynów promujących markę Red Bull. Jedną z ofiar był doświadczony szwajcarski base jumper (przedstawiciel dyscypliny polegającej na skokach ze spadochronem z niedużej wysokości, np. z dachu) Ueli Gegenschatz, który zginął w 2009 r. podczas skoku z 90-metrowego biurowca w Zurychu. Jego występ miał być częścią wydarzenia zapowiadającego start oferty komórkowej Red Bull w Szwajcarii. Tamtego wietrznego poranka pogoda była jednak wymagająca dla skoków z niedużej wysokości. Świadkowie wydarzenia opowiedzieli dziennikarzowi, że Gegenschatz kilka razy pojawiał się i znikał za krawędzią dachu, co z dołu wyglądało tak, jakby wahał się, czy zaczynać. Skoczył. Zniosło go w stronę sąsiedniego, niższego budynku, o który zahaczył. Zmarł w szpitalu dwa dni po wypadku. „Mówi się, że skoczył, bo były naciski ze strony sponsora" – wyznaje w dokumencie jeden z jego znajomych.

O presji na podejmowanie coraz większego ryzyka wspomina też rodzina i koledzy kanadyjskiego skialpinisty oraz skoczka Seana McConkeya, który także w 2009 r. poniósł śmierć we włoskich Dolomitach podczas kręcenia filmu sponsorowanego przez Red Bulla. Jego celem było trzystumetrowe urwisko opadające ze szczytu Sass Pardoi. McConkey miał wjechać w przepaść na nartach, w powietrzu wykonać dwa salta odpinając przy tym narty, po czym przejść w ślizg w kombinezonie typu wingsuit, który zapewnia skoczkom dwukrotnie wolniejsze opadanie. Tuż nad ziemią miał oczywiście otworzyć spadochron. W trakcie akrobacji nie wypięła mu się jednak narta, nie ustabilizował na czas pozycji niezbędnej do prawidłowego otwarcia czaszy i w efekcie uderzył w ziemię z nierozłożonym do końca spadochronem.

Zapraszamy na śmierć

Zawodnicy współpracujący z austriacką marką są oczywiście pełnoletni. Nie ma też wśród nich ludzi przypadkowych. Można wręcz zaryzykować tezę, że team Red Bulla to współczesna śmietanka sportów ekstremalnych i jeśli ktoś w ogóle może znać się na tak specyficznej robocie, jaką jest przesuwanie granic niemożliwego, to właśnie oni. Większość z nich nazywa zresztą uprawiany sport swoją największą pasją, trwaliby więc przy nim zapewne i bez kontraktu z Red Bullem, ponosząc podobne ryzyko. W czym więc problem?

Z pewnością nie jest nim sama medialna oprawa wyczynu. Generacji pionierów sportów ekstremalnych, wywodzących się głównie ze środowisk zachodniej kontrkultury

MIROSŁAW PIEŚLAK / FORUM

Konkurs „Skoków na byle czym" organizowany przez Red Bulla. Gdynia, 16 sierpnia 2015 r.

lat 60. i 70., kamery przypięte dziś do kasku, ręki, a czasem i na plecach zalatują oczywiście ekshibicjonizmem, a sama obecność logo sponsora świadczy o zgubnej komercjalizacji czegoś, co dla nich było fetowaniem wolności i indywidualizmu. Realia uległy jednak zmianie i dla współczesnych dwudziestolatków transmitowanie wyczynu w czasie rzeczywistym w mediach społecznościowych jest równie naturalne jak oddychanie.

Sama zmiana kulturowa nie unieważnia jednak pytania o priorytety. Bo czy chodzi wciąż o to, żeby zrealizować ważny dla siebie cel i przy okazji podzielić się tym z możliwie szeroką widownią – czy już o to, żeby zrobić coś, co przykuje uwagę jak największej liczby widzów i przyniesie wymierne zyski sponsorowi? W pierwszym przypadku mielibyśmy nadal do czynienia ze sportem. W drugim – z reklamowym cyrkiem.

Na jednym z filmów reklamowych Red Bulla amerykański rajdowiec i kaskader Travis Pastrana bierze tęgi łyk „energetyka", po czym wyskakuje z lecącego samolotu jedynie w butach i szortach. W trakcie opadania jeden z towarzyszących mu skoczków łapie go w pasie i otwiera spadochron. Wspólnie lądują szczęśliwie na nadmorskiej plaży – a osłupiały widz zadaje sobie pytanie, czy większe wrażenie zrobiła na nim brawura Pastrany, czy priorytety menedżerów austriackiego koncernu, którzy skierowali do realizacji tak karkołomny scenariusz. Czy to jeszcze podróż poza horyzont tego, czego dowiedziało się o sobie w trakcie poprzednich ekstremalnych prób, czy tylko inscenizacja? Nie wiadomo.

W reklamie prawda może mieszać się z fałszem tak samo, jak mieszają się konwencje. A przecież większość ekstremalnych sportowców na pytanie o motywację wciąż odpowiada tak samo jak bohaterowie Homera: że wyruszają na wyprawę w świat pełen znaków zapytania, która może skończyć się śmiercią, ale może też, po szczęśliwym zakończeniu, zaowocować trwałą przemianą bohaterów w lepszych ludzi. Ich porażki też są intymne. Mityczny Ikar nieprzypadkowo spada do morza tylko na oczach ojca, a nie gdzieś w uliczki gęsto zaludnionego miasta. W chwili klęski zawsze jesteśmy przecież samotni.

Na kameralnej arenie sportu ekstremalnego Red Bull rozstawił tymczasem wielki marketingowy kram, na zawsze zmieniając jej charakter. Żadna zmiana nie zachodzi jednak w próżni i prędzej czy później trafia na kontrę. Dla sporej części sportowców kierunek, w którym popycha ich środowisko Red Bull i inni agresywni sponsorzy, próbujący iść śladem Austriaków, jest dłużej nie do zaakceptowania. Jeśli sport wyczynowy ma być sportem, musi w nim nadal chodzić przede wszystkim o wyczyn.

W nagrodzonym Oscarem filmie „Free Solo" filmowcy w ciszy i z wielką uwagą towarzyszą jednej z najbardziej oryginalnych postaci światka współczesnej wspinaczki, Alexowi Honnoldowi, który słynie z trudnych przejść dokonywanych bez liny. Tym razem jego celem jest przejście solo – czyli bez asekuracji – urwiska El Capitan wznoszącego się na przeszło kilometr ponad dno doliny Yosemite. Filmowcy pod kierownictwem doświadczonego alpinisty i fotografa Jimmy'ego China śledzą z bliska przygotowania i rozterki człowieka, który – jak mówią – „szykuje się do czegoś w rodzaju pobicia rekordu olimpijskiego, z tą jednak różnicą, że porażka będzie równoznaczna ze śmiercią".

Podczas pierwszej próby Honnold rezygnuje ze wspinania. Dekoncentrują go kamery, ekipa opuszcza więc zaplanowane dawno miejsca do filmowania, poświęcając jakość zdjęć dla bezpieczeństwa sportowca. W drugiej próbie Honnold, jako pierwszy w historii, w doskonałym stylu przechodzi El Capitana bez asekuracji.

„Jutro być może sfilmuję śmierć przyjaciela – mówi w filmie jeden z operatorów. – Nie mogę traktować tego, jak jeszcze jednego dnia w pracy".

©℗ MAREK RABIJ

STANISŁAW

Mancewicz: *Atom*

Temat jest skomplikowany, bo wielowymiarowy. Zahacza o fizykę i psychologię, o godność narodu, o kwestie historyczne, przyrodnicze, finansowe, międzynarodowe i medyczne. Wszystko to, ale zapewne nie tylko, tkwi w pomyśle wybudowania w Polsce elektrowni jądrowej.

Każde, najmniejsze nawet dziecko wie, że elektrownia atomowa to u nas temat stary. Choć dziś uaktualniony. Kiedyś, za czasów Jaruzela, mieli ją postawić Rosjanie, dziś za Gospodarza – Amerykanie i ta koincydencja ma oczywiście jakby wstydliwe znaczenie. Jakie? Ano takie, że nie jesteśmy w stanie, my Polacy, zrobić tego sami, czy generał, czy prezes, czy w mundurze, czy bez. To przykre, przynajmniej dla co poniektórych. Dlaczego, do stu tysięcy beczek polskiej szczepionki na COVID-19, nie jesteśmy w stanie sami wybudować sobie elektrowni jądrowej, skoro umiemy postawić węglową? Taką, jak ta w Ostrołęce. A nawet ją z powodu przewidywanej, trwałej nierentowności, nieużywaną, zburzyć? Słowem, nie o pieniądze tu chodzi, bo nas stać. Nie o brak fantazji czy rozmachu idzie, bo jeśli wziąć pod lupę te cechy, to moglibyśmy i sto elektrowni jądrowych, nawet nieużywanych, wystawić, na Księżyc z nimi polecieć i tam je albo zostawić, albo z nimi wrócić, do Pcimia, dajmy na to. Czego zatem brakuje?

Domyślamy się, że argumentem za obcym wykonawcą jest kalkulacja. Lepiej kupić, niż się szarpać. Lepiej mieć na papierze gwarancję, niż samemu dokręcać śrubki, doginać styki, zaglądać do brudnego komina czy też domowym sposobem, gdzieś w Płocku albo gdziekolwiek, robić do tej elektrowni paliwo. Jądrowe. Samemu je potem dolewać do kadzi, mieszać, czekać, próbować... Są to zajęcia ryzykowne, więc będą się tym zajmować obcy. Płacimy, wymagamy – taka jest zasada i jej się trzymamy.

Jest to, każdy przyzna, tłumaczenie proste, racjonalne i można by na nim poprzestać. Ale jednak każdy odczuwa w nim niedopowiedzenie. Że to nie wszystko, że są jeszcze skrywane treści, że mamy w zanadrzu jakieś powody, dla których elektrownia atomowa w Polsce wciąż powstaje, ale przecież nie powstaje. Od dziesiątek lat. Czy to zima stulecia, czy lato stulecia, czy to generał stulecia, czy takiż prezes, wciąż grzejemy i ziębimy się tym samym. Choć nie, nie zawsze – to wtręt, popatrzmy, ciekawy – mamy identyczność starych czasów z nowymi, pod wieloma względami, też tym kryzysowym i energetycznym, z tą może różnicą, że nie możemy sobie przypomnieć, by generał W. Jaruzelski namawiał ludzi do zbierania chrustu i po ojcowsku odradzał palenie oponami. Nie, tego chyba nie mówił, a mówił, jak wiadomo, rzeczy przeróżne. Mówił je odziany w mundur, więc mógł powiedzieć bez większego ryzyka cokolwiek, ale jednak o łażeniu po lasach i paleniu po domach chrustem, może właśnie z szacunku dla munduru, nie mówił.

Tak, to był efektowny, ale jednak jałowy dowód, że historia kołem się nie toczy. Jałowy, bo co z niego wynika? Nic. Tyle, że elektrowni jądrowej jak nie mieliśmy, tak nie mamy, a wszystko jest wciąż na papierze i że jej projekty są raz opisane cyrylicą, a drugi raz po angielsku, że słowa w nich nie ma po polsku.

Wypada teraz wyznać, o czym myślimy, mówiąc: atom, patrząc w myślach na parujące reaktory, wyobrażając sobie tę imponująca budowlę. Co nas w tym wszystkim lęka? Co z tego lęku wynika? Przyznajmy, od lewa do prawa, że strach przed elektrownią jądrową na ziemiach polskich, czy to rdzennych, czy odzyskanych, czy to piastowskich, czy jagiellońskich, jest faktem. Jest to strach silny i wcale nie zabobonny. Nie ma nim nic z zabobonu. Jest w nim konkret i doświadczenie, jest w tym lęku mądrość ludowa i mądrość elit. Słabo myślącym wypada polecić udrożnienie przytkanego kanału skojarzeń: domyślacie się, co będzie się działo w biurach tej elektrowni, w jej dyżurce, w reaktorze, w czasie „Sylwestra Marzeń"? Podczas andrzejek? Podczas urodzin i imienin? Są jakieś pytania? Nie ma. Nie słychać. Ten lęk jest słuszny. Atom nie śpi. Rozszczepione jądro także. Dlatego elektrowni atomowej być na ziemiach polskich nie powinno. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ

Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie! ...szeleści

mogę kolekcjonować i zabrać do lasu

* można czytać wspólnie

przyciąga wzrok

czytam bez dostępu do internetu

nie zbiera ciasteczek

w ogóle ładnie wygląda!

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Nr konta Bank Pekao SA 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Dyrcz w godz. 11.00–15.00 od poniedziałku do piątku pod nr. tel. **668 479 075** lub adresem e-mail: **prenumerata@TygodnikPowszechny.pl**

W sprawie prenumeraty elektronicznej informacji oraz wsparcia technicznego udziela Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00 pod nr. tel. **668 475 263** lub adresem e-mail: **kontakt@TygodnikPowszechny.pl**

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Cennik ważny od 3 listopada 2022 r.

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	**rok**	**640 zł**	**770 zł**
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate**

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Albatros travel
Skandynawska jakość od 1986 r.

Rezerwacja +48 22 128 48 81
albatros.pl

REKLAMA

Afryka Mandeli

Trasa naszej wycieczki do RPA prowadzi przez najpiękniejsze miejsca tego afrykańskiego kraju.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Johannesburga. **Dz. 2** Przylot do Johannesburga - Rezerwat dzikiej przyrody Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 3-4** Safari w rezerwacie Manyeleti w Parku Narodowym Krugera. **Dz. 5** Rezerwat Manyeleti - Trasa Panoramiczna – Zebra Counry Lodge w Pretorii. **Dz. 6** Relaks w Rezerwacie Przyrody i Ochrony Gadów - Zebra Repile Center. **Dz. 7** Wycieczka do Soweto i Pretorii. **Dz. 8** Zebra Nature Reserve - Port Elizabeth - Park Narodowy Tsitsikamma - Zatoka Plettenberg. **Dz. 9** Zatoka Plettenberg. Rejs po rzece Keurbooms. **Dz. 10** Zatoka Plettenberg – wapienne groty Cango - Oudtshoorn. XIX wieczne rezydencje w Montagu. **Dz. 11** Montagu - Kapsztad. Winiarnie w Stellenbosh z degustacją wina. Ogród botaniczny Kirstenbosch. **Dz. 12** Kapsztad – dzień do własnej dyspozycji. **Dz. 13** Kapsztad. Przylądek Dobrej Nadziei. Rejs na wyspę Duiker i lwy morskie. Kolonie pingwinów w Simon's Town. **Dz. 14** Kapsztad. Podróż powrotna. **Dz. 15** Przylot do Warszawy.

15 dni | Wyloty z Warszawy 21/01, 20/02 2023

od **13.498,-**

Rejs po Karaibach

Zapraszamy w niezapomniany rejs po Karaibach eleganckim statkiem Norwegian Sky. Dodatkowo odwiedzimy Miami, a na pokładzie statku zapewnimy pełne wyżywienie.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot Warszawa – Miami. Zakwaterowanie w hotelu przy plaży Miami Beach. **Dz. 2** Miami Beach i wejście na pokład statku. **Dz. 3** Great Stirrup Cay, Bahamy. Relaksujący dzień na plaży. **Dz. 4** Rejs w kierunku Karaibów. Czas wolny na pokładzie. **Dz. 5** San Juan, Portoryko. Spacer z przewodnikiem po starym mieście. **Dz. 6** Philipsburg, St. Martin. Spacer z przewodnikiem po mieście. **Dz. 7** St. John's, Antigua. Spacer i zwiedzanie miasta z przewodnikiem. **Dz. 8** Charlotte Amalie, St. Thomas. Wycieczka po wyspie i spacer po mieście Charlotte Amalie. **Dz. 9** Puerto Plata, Dominikana. Dzień w raju. **Dz. 10** Rejs w kierunku Miami. Czas wolny na pokładzie statku. **Dz. 11** Miami oraz przejazd na lotnisko. **Dz. 12** Powrót do Warszawy.

12 dni | Wylot z Warszawy 25/04 2023

11.598,-

Zimowa podróż pociągiem przez Szwajcarię

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot na trasie Warszawa – Zurich. Podróż pociągiem do Montreux nad Jeziorem Genewskim. **Dz. 2** Spacer po stylowym Montreux i czas wolny. **Dz. 3** Montreux - Brig - Andermatt - Chur. Przejazd pociągiem Glacier Express z Brig przez Andermatt do Chur. **Dz. 4** Expresem Bernina z Chur do Tirano we Włoszech, autobusem Bernina Express przez jezioro Como i Lugano do Lugano. **Dz. 5** Lugano. Spacer po mieście i czas wolny. Pożegnalna kolacja. **Dz. 6** Przejazd pociągiem Lugano – Zurych. Wylot powrotny do Warszawy.

6 dni | Wylot z Warszawy 11/02 2023 | 7.998,-

Amsterdam i kwitnące tulipany

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Amsterdamu. Wiatraki w Zaanse Schans. **Dz. 2** Amsterdam - rejs po kanałach i pływający targ kwiatowy. **Dz. 3** Park kwiatowy Keukenhof. Wizyta na farmie serów. **Dz. 4** Amsterdam – czas wolny i powrót do Warszawy.

4 dni | Wyloty z Warszawy 20/04, 23/04 2023

od **3.398,-**

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP04

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.